

The background features a dark, starry night sky. In the upper left, there is a glowing, ethereal nebula or smoke-like formation in shades of white and light blue. In the lower half, a medieval sword with a braided hilt and a scabbard is positioned horizontally. To the right of the sword, there is a piece of medieval armor, including a helmet and a breastplate, both with a metallic sheen and some blue and white details.

Marcin
PINDEL
Bez przebaczenia

Marcin
PINDEL

Bez przebaczenia

© Copyright by
Marcin Pindel & e-bookowo 2019
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-8166-002-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2019
Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)

Bez przebaczenia

Pośród całego morza traw, przyozdobionego gdzieniegdzie kilkoma drzewami, czy krzewami, dało się widzieć niewielki, jasny punkt. Źródłem tego światła było ognisko, nieco już przygasające, otoczone kamieniami. Jego blask kładł się na siedzących przy nim dwóch męskich sylwetkach; obie trwały nieruchomo, w milczeniu, opatulone szczelnie ciepłymi pledami. Choć lato wciąż nie ustąpiło jeszcze miejsca jesieni, w chłodnym powietrzu czuło się jej bliskie nadejście.

Pierwszy z mężczyzn należał do rasy elfów, czego niezawodnym znakiem były spiczaste uszy. Okalająca czoło przepaska trzymała w ryzach sięgające ramion czarne włosy. W zielonych oczach od czasu do czasu pojawiało się odbicie ulatującej iskierki. Tuż obok niego spoczywał oręż – skryty w pochwie miecz półtoraręczny oraz drewniany łuk wraz z kołczanem nabitym ledwie kilkoma strzałami. Mężczyzna zwał się Ervill i był jednym z elfów z południa.

Światło ogniska oświetlało także i twarz jego druha. Ten nie był elfem, pochodził z rasy ludzi. Wyższy od Ervilla, twarz miał naznaczoną kilkudniowym zarostem, jasne włosy sięgały ramion. W błękitnych oczach dało się wyczuć pewien rodzaj chłodu, choć równie dobrze mógłby on zostać nazwany powściągliwością, bądź opanowaniem. Podobnie jak towarzysz, również był uzbrojony: oprócz asortymentu odpowiadającego elfowemu, posiadał także zatknięty za pas sztylet. Nosił imię Avaret.

Gałęzie górującego nad nimi dębu zaszeleściły monotonna pod wpływem wiatru, podobnie jak i rosnące w pobliżu krzaki.

– Dorzuć trochę do ognia! – zakomenderował Ervill. – Noc się robi zimna. Zresztą już jest, psiakrew! Nie czekaj, aż nam ognisko całkiem zgaśnie!

Srogie spojrzenie rzucone przez Avareta na nic się zdało. Nim zdążył odrzucić pled i podnieść się z ziemi, został jeszcze kilkakrotnie ponaglony

przez ostentacyjnie trzęsącego się z zimna elfa.

Wiatr dmuchnął, tym razem mocniej, zmuszając malejący ogień do żywiołowego tańca. Avaret ostrożnie dorzucił do niego najpierw cieńsze gałęzie, a gdy już się zajęły, przeszedł do grubszych konarów. Jego niespieszne ruchy harmonizowały z ciszą, jaka nastąpiła, gdyż nawet mający zawsze coś do powiedzenia Ervill, zamilkł.

Naraz coś w okolicznych zaroślach poruszyło się. Avaret drgnął nerwowo, z miejsca odróżniając ten dźwięk od miarowych ruchów gałęzi dębu. Nie umknął on również o wiele bardziej wrażliwym uszom elfa.

– Co to było? Słyszałeś, Avaret? Co t...

Avaret uniósł dłoń, wyraźnym gestem każąc mu zamilknąć. Stąpając ostrożnie, zbliżył się do krzaków otulających drzewo. Przystanął, w skupieniu usiłując przeniknąć spojrzeniem ciemną gęstwinę. Choć wydawało się mało prawdopodobne, by czaiło się w niej jakieś niebezpieczeństwo, przezorny charakter nie pozwalał mu zlekceważyć tego incydentu.

Czy to w ogóle możliwe, by ktoś podkradł się tak blisko nas, zupełnie niezauważony? Przecież dookoła nie ma niemal zupełnie nic, teren jest otwarty, z pewnością coś byśmy zauważyli...

Przeklął w myślach chmury zasnuwające tej nocy księżyc. Instynktownie sięgając ręką przypiętego do pasa sztyletu, kątem oka dostrzegł, jak Ervill łagodnie napina cięciwę łuku.

Zarośla zaszeleściły ponownie, jeszcze wyraźniej, niż uprzednio, nie pozostawiając już mężczyznom żadnej wątpliwości co do tego, że coś się w nich znajduje. Kropla potu spłynęła z czoła Avareta, z tyłu Ervill dźwignął się gwałtownie. Wymienili krótkie, skonsternowane spojrzenia.

Avaret już miał krzyknąć, każąc tajemniczemu intruzowi natychmiast się ujawnić, gdy wtem wyrosła przed nim niewyraźna sylwetka. Zupełnie zaskoczony tak nagłym obrotem sprawy, cofnął się.

– Kim jesteś?

Postać najpierw drgnęła nieznacznie, ruszając następnie w kierunku ogniska. Jego blask nie od razu zdołał rozgonić spowijające ją ciemności; jako pierwsze ukazały się zniszczone buty, dopiero później cała reszta.

Avaret odetchnął z ulgą, rozluźniając jednocześnie zaciśnięte na rękojeści

sztyletu palce. Miał przed sobą starszego mężczyznę, odzianego w potargane, przetarte na kolanach spodnie oraz znajdującą się w nie lepszym stanie koszulę. Przewieszony przez ramię worek wydawał się zupełnie pusty; być może znajdował się w nim kawałek twardego chleba, lecz z pewnością nie więcej. Podarte, ciemnosiwie broda oraz włosy dopełniały obrazu wędrownego łachudry. Widok ten sprawił, że Avaret uśmiechnął się lekko na wspomnienie swoich obaw sprzed kilku chwil.

Uśmiech jednak dość szybko zniknął z jego twarzy. Bądź co bądź mężczyźnie udało się podkraść tak blisko ich obozowiska zupełnie niepostrzeżenie, co wydawało się wielce zastanawiające.

– Kim jesteś? – powtórzył pytanie bardziej zdecydowanym tonem.

Łachudra uśmiechnął się w dziwnie błyskotliwy, niepasujący do wyglądu sposób.

– Przepraszam, że was przestraszyłem. Zdaję sobie sprawę, że zakłóciłem wasz wieczorny odpoczynek. Nie mieliście prawa spodziewać się żadnego gościa.

Ervill prychnął drwiąco. Łuk zwiśł w jego ręce; w oczach elfa potencjalne zagrożenie – o ile jakiegokolwiek było – już minęło.

– Skąd pomysł, że nas przestraszyłeś? Masz przed sobą, co zresztą dość wyraźnie widzisz, wprawionych w swym rzemiośle wojów! Nie straszne nam żadne niebezpieczeństwa, a już na pewno nie ktoś taki jak ty!

Usta starca wygięły się, nie uznał jednak za konieczne wdawać się w polemikę. W gruncie rzeczy wyraz jego twarzy był dla Ervilla wystarczającą ripostą: sama tylko niecodziennosc sytuacji, w jakiej znaleźli się obozujący pod dębem mężczyźni, z pewnością mogła wzbudzić niepokój.

– Nazywam się Garray.

– Witamy cię, Garrayu – odparł Avaret.

Nie wiedząc, co więcej powiedzieć, zerknął w stronę Ervilla. Musiał przyznać, że uczucie niepokoju zdążyło go już na dobre opuścić, mimo przezorności, jaką zawsze się kierował. Trudno było postrzegać starca za jakiegokolwiek zagrożenie, nawet mimo faktu, że tak umiejętnie zdołał ich podejść. Z drugiej jednak strony z każdego jego słowa – choć wypowiedział ich ledwie kilka – ruchu oraz gestu aż biła trudna do pojęcia bystrość, co

wydawało się dość tajemnicze. I przede wszystkim nie pasowało do obrazu przed oczami.

Tymczasem Ervill począł we właściwy sobie sposób podejmować gościa.

– Siadajże dziadku! Jam jest Ervill, dowódca tej – ogarnął wzrokiem całe obozowisko – kompanii. To jest zaś Avaret, mój najbardziej zaufany człowiek. Siadaj i rozgość się!

Usiedli wszyscy trzej. Nastąpiła cisza, w trakcie której Garray skupił swoją uwagę na worku, usiłując coś z niego wygrzebać. Widząc, że starzec nie kwapi się, by opowiedzieć o sobie coś więcej, Avaret zdecydował się pociągnąć go nieco za język.

– Zdaję sobie sprawę, że nie takim pytaniem zwykło się witać gościa, ale czy mógłbyś nam na początek wyjaśnić, co robiłeś w tych krzakach? Co by nie mówić, okoliczności, w jakich na siebie trafiliśmy, są dosyć osobliwe. Z pewnością wyjaśnienie tej kwestii pozwoli nam przełamać pierwsze lody, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Garray w końcu dobył z worka to, czego tak usilnie starał się dogrzebać; jak się okazało, był to kawałek sera. Zacisnął na nim zęby, przeklinając pod nosem jego podły smak.

– To chyba oczywiste – odparł zniechęcony po krótkiej chwili. – Jestem tylko biednym, podstarzałym wędrowcem przemierzającym krainy, w których aż roi się od zbójów. Czy jest coś dziwnego w tym, że wolałem was chwilę poobserwować, zanim zdecydowałem się ujawnić?

Avaret zagryzł wargę. Miano biednego, podstarzałego wędrowca, jakim się Garray określił, zabrzmiało dziwnie ironicznie w jego ustach.

– Chcesz powiedzieć, że tkwiłeś w tych krzakach już od dłuższego czasu, przyglądając się nam?

– Dokładnie to chcę powiedzieć.

Niepokój na powrót ogarnął myśli Avareta. Uważając siebie za dość sprawnego tropiciela, cenił w sobie również umiejętność skutecznego zacierania śladów. Jeśli tego chciał, potrafił stać się niewidzialny, tym bardziej więc zezłościł go fakt, że tak łatwo dał się podejść, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

Kim on właściwie jest?

– Dokąd zdążasz, dziadku? – spytał Ervill. Jeśli i on czuł się nieswojo w obecności Garraya, zupełnie nie dawał po sobie tego poznać. – My, jeśliś ciekaw, podróżujemy ze wschodu na zachód.

– Podobnie i ja. Jeśli nie będzie wam wadzić moja kompania, możemy rano ruszyć razem.

Elf wykrzywił usta w złowrogim uśmiechu.

– A jeśli i my jesteśmy strasznymi zbójami i...

– Wtedy niechybnie już byłbym trupem. Jak już mówiłem, zdążyłem się wam przyglądać. Nie jesteście zbójami. Nie macie również żadnych złych zamiarów.

Avaret pokiwał głową.

– Kim więc według ciebie jesteśmy? Kupcami? Pielgrzymami?

Garray zaśmiał się, po raz pierwszy naprawdę głośno.

– Ani jednymi, ani drugimi, inaczej nie podsunąłbyś mi tych propozycji. Niech pomyślę... Dwóch postawnych mężczyzn, silnych i uzbrojonych. Zbyt ubogo odzianych, jak na rycerzy – wybaczcie, wiem, jak śmiesznie to brzmi w moich ustach. Nie należycie do żadnej bandy, to wiem na pewno. Jesteście więc albo najemnikami, szukającymi zajęcia, albo banitami. Być może jednymi i drugimi.

– Nieźle, przyjacielu – skomentował Avaret. – Może pozostaniemy przy wersji z najemnikami, bardziej mi się podoba. Wychodzi na to, że wiesz już o nas całkiem sporo, my o tobie natomiast nic. Byłbyś łaskaw wyjawić nam cel swojej podróży? Nie wiem, skąd dokładnie wyruszyłeś, ale jeśli rzeczywiście ze wschodu, musiałeś już zostawić za sobą szmat drogi. Od dawna już nie napotkaliśmy żadnej osady. No, chyba że żyjesz zupełnie samotnie, gdzieś pośród traw tej równiny.

Garray pozwolił ucichnąć wiejącemu wiatrowi; dopiero gdy liście falujących gałęzi przestały szeleścić, zdecydował się odpowiedzieć.

– Raczej dopiero szukam czegoś, co nada sens mojej podróży, aniżeli podróżuję dla konkretnego celu.

– Dość wymijająca odpowiedź...

– Być może, lepszej niestety nie mam. Zrozumiesz ją, zapewne mając

dopiero tyle lat, co ja. Zresztą co ja plotę, nigdy nie dożyjesz takiego wieku...

Avaret zaniemówił, nie do końca rozumiejąc, jak ma odczytywać te słowa. Rozdźwięk pomiędzy tym, jak Garray wyglądał, a tym, co i w jaki sposób mówił, stawał się z każdą chwilą coraz większy. Paradoksalnie w trakcie rozmowy pojawiło się więcej pytań odnośnie jego osoby, aniżeli tak naprawdę zdołali się o nim dowiedzieć. Przyglądając się jego oświetlonej blaskiem ogniska twarzy, Avaret spostrzegł, że wydaje mu się o wiele bardziej dostojna, niż na początku. Nie należała już do zwykłego łachudry, a kogoś, kto skrywa więcej tajemnic, niż się na pozór wydaje.

– Ciekaw jestem za to, co kieruje wami – podjął niespodziewanie Garray.
– Podążacie w kierunku jakiejś konkretnej osady? Macie na oku jakieś zlecenie, czy dopiero będziecie go szukać? Swoją drogą człowiek i elf to dość niecodzienna kompania, muszę przyznać.

Avaret uśmiechnął się do wspomnień. Istotnie, towarzystwo elfa nie należało do rzeczy zwyczajnych. Ervilla poznał sześć lat wcześniej w jednym z miast na wschodzie. Był wtedy w podróży i postanowił, po raz pierwszy od bardzo wielu dni, zatrzymać się w gospodzie leżącej na szlaku. Sprzykrzyło mu się już spanie pod gołym niebem i jedzenie byle czego, a że jego sakiewka była w owym czasie wcale nie taka lekka, uznał, że może sobie pozwolić na ciepły posiłek i nocleg pod dachem.

W gospodzie śmierdziało. Dymem, rozlanym alkoholem, potem i wymiocinami. Ilość światła wpadająca do środka przez malutkie okna nie miała prawa rozjaśnić półmroku wnętrza. Po drugiej stronie od wejścia gruby, wąsaty gospodarz wycierał kufel poszarpaną szmatą. Tylko jeden ze stołów był zajęty. Siedziało przy nim czterech mężczyzn – trójka ludzi i elf. Jedli, pili i grali w karty.

Nie należąc do wybrednych, Avaret nie zastanawiał się zbyt długo, zanim przekroczył próg gospody. Podszedł do lady i poprosił o danie, którego zapach dobiegał jego nozdrzy z zaplecza. Gospodarz zastanawiał się długą chwilę, o co może chodzić, koniec końców przyniósł mu miche kaszy i kawałek wołowiny. Do picia dostał piwo. W kuflu, który wcześniej karczmarz wycierał z taką pieczołowitością.

Powoli zabrał się za spożywanie posiłku, gdy tymczasem z sąsiedniego stolika dały się słyszeć coraz głośniejsze okrzyki towarzyszące pełnej

napięcia grze. Początkowo nie zwracał na nie najmniejszej uwagi, zajęty pochłanianiem obiadu. Widział już wiele miejsc takich jak to. Kłótnie, czy nawet rękoczyn były w nich na porządku dziennym.

Jednak przy tym stoliku wywiązała się dużo bardziej zażarta sprzeczka, podsycona dodatkowo ogromną ilością piwa wypitego podczas gry. W końcu jeden z ludzi wywrócił stół, jednocześnie dobywając noszonego przy pasie miecza. Dwaj druhowie nie czekali długo, zanim uczynili to samo. Avaret również zadziałał błyskawicznie. Instynktownie wziął stronę elfa, zapewne z racji tego, że ten znajdował się w mniejszości. Wywiązała się walka, której efektem było częściowe zdemolowanie karczmy, kilka mniej lub bardziej poważnych ran i jeden trup po stronie atakujących.

Ervill i Avaret opuszczali gospodę gonieni przez pozostałych przy życiu dwóch mężczyzn, a także drużynę wojskowych, która zawadziła o nią akurat w trakcie rozróby. Udało im się uciec, jednak został za nimi wystawiony list gończy i przez pewien czas musieli się bardzo skrzętnie ukrywać. Po licznych perypetiach, w wyniku splotu wielu okoliczności, obaj zostali uznani za zmarłych i list gończy został zniesiony.

Avaret ocknął się z zamyślenia, zdając sobie sprawę, że Garray oczekuje na odpowiedź już od dłuższej chwili.

– Właściwie mógłbym odpowiedzieć równie wymijająco, jak i ty, nie widzę jednak potrzeby. Podróżujemy w poszukiwaniu nowego zajęcia, poprzednie zostawiliśmy za sobą dobry miesiąc temu. Taki już urok naszej profesji; nie sposób osiąść na stałe w jednym miejscu. Robota niełatwa, a i zginąć można. Wcale zresztą o to nie trudno. Co do elfa, to łączy mnie z nim przyjaźń jeszcze z dziecięcych lat. Nasze matki pasły razem krowy.

– Owce, Avarecie – poprawił Ervill, jak gdyby ta drobna korekta miała uwiarygodnić całą historię. – To były owce.

Garray nie drażył jednak tematu. Zamiast tego zwrócił swoją uwagę ku ognisku, zauważając, że prawie całkiem już zgasło. Podszedł do uszczuplonego wcześniej przez Avareta stosu badyli, podniósł najgrubszy z nich, po czym cisnął nim w ogień. Płomienie były już zbyt małe, by pochwycić i owinąć dookoła solidny kawał drewna.

Naraz oczy starca rozszerzyły się i zabłyśły. Z ogniska buchnął gwałtownie płomień, wysoki na co najmniej sześć stóp, oplatając następnie

konar na całej długości.

Najemnicy wymienili zdumione spojrzenia.

– W końcu właściwie nam się przedstawiłeś, przyjacielu – rzekł Ervill, po raz pierwszy nie nazywając Garraya „dziadkiem”. – Nieobce są ci, jak widzę, sztuki magiczne. Cóż, nie ukrywam, że od dłuższego czasu miałem pewne podejrzenia związane z twoją osobą. Nie udało ci się całkiem mnie zwieść, co to to nie!

– To pewnie dlatego, że nie zamierzałem nikogo zwodzić, mości elfie.

– Obyty jestem w świecie, słyszałem o mędrcach twojego pokroju. Potrafisz dużo więcej, oprócz tych fajerwerków? Chętnie zobaczyłbym to i owo.

Garray zaśmiał się.

– To nadzwyczaj miłe, zostać nazwanym mędrce. Czy jednak byłbym nim rzeczywiście, gdybym, połączony jednym komplementem, zaczął popisywać się swoimi zdolnościami?

– Odpowiedź godna mędrca – odparł Ervill, drapiąc się po szyi.

Avaret założył ręce na piersi. Garray lawirował niezwykle umiejętnie, tak naprawdę unikając odpowiedzi na każde z zadanych pytań. Można było odnieść wrażenie, że nawet kilka godzin dalszej dyskusji nie pozwoliłoby bardziej go poznać.

– Ciekawi mnie inna rzecz – postanowił spróbować swoich sił po raz ostatni. – Człowiek obdarzony magicznym talentem powinien chyba w jakiś sposób go wykorzystywać. Słyszałem o czarodziejach doradzających królom, leczących chorych, tworzących niezwykle rzeczy, słowem: zmieniających świat na lepsze. Dlaczego więc włączysz się bez celu po tych równinach jak zwykły pustelnik?

– Nie zakładaj, Avarecie, że zwykły pustelnik nie może zmienić losów świata.

Najemnik uśmiechnął się krzywo. Choć starzec mógł budzić irytację, robił to w godny podziwu sposób.

Mając w perspektywie całodzienną wędrówkę, zgodnie postanowili zakończyć na tym rozmowę. Dębowe liście wciąż szumiały jednostajnie, gdy kładli głowy na umoszczonych naprędce posłaniach. Jedna po drugiej,

kolejne myśli Avareta rozplływały się, w miarę, jak zapadał sen. Ku jego zdziwieniu ostatnia z nich uzmysłowiła mu, że zdążył już obdarzyć Garraya swoją sympatią.

* * *

Ostry koniec cienkiego kija przeorał ziemię w miejscu nieporośniętym trawą. Po jednej stronie linii znajdowało się kółko, oznaczające aktualne położenie wędrowców. Po drugiej zaś Garray rysował właśnie znak w kształcie litery „x”.

Ranek następnego dnia wstał pogodny, choć zimny. Po skąym śniadaniu przyszła pora na obranie dalszej drogi.

– To jest Turpur – rzekł Garray, wskazując kijem nakreślony właśnie znak. – Nieduże miasteczko o jakiś dzień marszu stąd. Musielibyśmy odbić nieco na południe, aby tam dotrzeć.

Avaret skinął głową.

– To zaś Sletobor. – Kij wrócił do kółka, czyli ich obozu i nakreślił następną linię, mniej więcej tej samej długości, biegnącą jednak prosto ku zachodowi. Na jej końcu Garray uczynił znak podobny do poprzedniego. – Miasteczko niemal tej samej wielkości. Powinniśmy dotrzeć do niego przed wieczorem.

– Jak rozumiem, tobie jest wszystko jedno, dokąd dalej ruszymy. Nami kierują jednak bardziej praktyczne względy, spytam więc wprost: gdzie widzisz dla nas większą szansę na znalezienie jakiejś roboty?

Garray nie zdążył odpowiedzieć, Ervill okazał się szybszy.

– Daj już spokój, Avarecie, ciągle tylko robota i robota. Zdecydowanie skupiłbym się teraz na innych potrzebach. Przykładowo, od czternastu dokładnie dni nie miałem w ustach żadnego mocniejszego alkoholu. No, może raz udało mi się nieco upić, w tej wsi na skraju równiny, ale nic z tego nie pamiętam, więc się nie liczy. Słuchaj no, Garrayu! W którym z tych miast będziemy mogli przepłukać gardła jakimś zacnym trunkiem?

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, to Garray przybrał zdumioną minę. Jego brwi uniosły się w niemym wyrazie zdziwienia. Po chwili jednak roześmiał się.

– Dziwię się, Ervillu, że tak wytrawny znawca tematu nie słyszał jeszcze

nigdy o sletoborskim piwie. Jeśli zatem takie jest kryterium, wedle którego mamy obrać dalszą drogę, polecam podążyć na zachód. Dodam tylko, że tamtejszy bimber ponoć pali wnętrzności.

– Zatem postanowione! Przyjaciele, zarządzam wymarsz! Bez chwili zwłoki!

Avaret nie oponował. Wzruszył ramionami, po czym podniósł swój toból i ruszył w ślad za Ervillem. W gruncie rzeczy ich szanse przedstawiały się podobnie, niezależnie od celu, jaki by obrali.

Tempo, jakie od początku narzucił Ervill, mogło ich doprowadzić do Sletoboru znacznie wcześniej, niż zakładali.

* * *

Słońce wzniosło się na niebie, przygrzewając coraz mocniej. Szczęściem delikatny, ożywczy wiatr chronił wędrowców przed jego wpływem.

– Ciekawy elf z tego Ervilla, nieprawdaż? – Garray odwrócił się słysząc za sobą głos Avareta. – Założę się, że niewielu spotkałeś takich, jak on.

– Zapominasz, jak długo już żyję, chłopcze. Przyznaję, jest z niego rzadki okaz. Ale nie aż tak, żebym nie poznał wcześniej podobnych do niego.

Ervill od początku marszu wysforował się daleko naprzód.

– Słabość do alkoholu to jego największy życiowy problem – podjął Avaret. – Zdziwiłbyś się, ile potrafił sobie przez to napytać biedy. Mnie niestety również.

Nie zamierzał wyjawiać Garrayowi całej niechlubnej przeszłości elfa, przynajmniej nie teraz. Sam przypomniawszy sobie noc, ledwie kilka dni po tym, jak się poznali. Pościg był już daleko za nimi, mogli więc w końcu spokojnie rozbić obóz i zaczerpnąć snu. Siedzieli na szczycie niewysokiego wzgórza, zwieńczonego rozłożystym dębem, otoczeni przez ostre głązy, które wzięły się tam nie wiadomo skąd. Nad ich głowami świeciło milion maleńkich gwiazd, przed nimi płonęło ognisko. Obaj byli już mocno pijani, gdyż parę godzin wcześniej Ervill wyciągnął ze swojej torby zdobytą gdzieś po drodze butelkę bimbru. Avaret jak przez mgłę pamiętał elfa opowiadającego o czasach, gdy nie prowadził życia włóczęgi. Dowiedział się wtedy, że jego mimowolny kompan zamieszkiwał niegdyś jedno z elfich królestw na południu – Maelmorn. Od młodości prowadził hulaszczyste życie, zdarzyło się,

że kogoś zwyzywał czy pobił, jednak przymykano na to oko. Jego kłopoty zaczęły się, gdy wplątał się w szajkę szmuglującą bimer z sąsiedniego królestwa zamieszkanego przez ludzi. Nie dość, że sprowadzany wbrew królewskiemu prawu, był prócz tego bardzo wątpliwej jakości, toteż po pewnym czasie Ervill został przyłapany i postawiony przed Radą Starszych. Przed przesłuchaniem postanowił napić się co nieco, by, jak to ujął, wypaść bardziej błyskotliwie i wymigać się od kary. Efekt okazał się przeciwny do zamierzonego, czego konsekwencją stało się wygnanie elfa z Maelmorn. Od tamtego czasu błąkał się po świecie, znajdując coraz to nowsze kłopoty.

Avaret ocknął się z zamyślenia, ujrzawszy wyraźnie plecy przyjaciela, dotąd idącego dość daleko przed nimi. Dopiero po chwili spostrzegł, że znaleźli się na skarpie obmywanej u dołu przez rwącą, acz dość szeroką rzekę.

– Pierwsza przeszkoda w naszej mitycznej podróży – rzekł Ervill. – Zdałoby się poszukać jakiegoś brodu.

Garray wynurzył się zza ich pleców, aby również móc spojrzeć w dół. Oцениwszy sytuację, powiódł spojrzeniem w głąb drugiego brzegu, przez chwilę przyglądając się rosnącemu tam lasowi.

– Poznaję tę okolice. Znajdziemy bród, idąc jakąś godzinę w górę rzeki. W tamtym miejscu przeprawa nie powinna nam sprawić żadnego kłopotu.

Najemnicy bez słowa przyjęli orzeczenie starca, podążając za nim wzdłuż koryta. Stąpali po szlaku prawdopodobnie dość znacznie uczęszczanym, gdyż trawa rosła na nim rzadsza, gdzieniegdzie widoczna była jedynie goła ziemia. Po drugiej stronie las ciągnął się nieprzerwanie, jak okiem sięgnąć.

Po kilku minutach marszu w milczeniu Avaret przyspieszył, aby zrównać się z Garrayem.

– Jakże to? Zwykła rzeka jest dla czarodzieja przeszkodą nie do przebycia? Przyznam, że miałem nieco śmielsze wyobrażenie o magicznych mocach.

Garray zerknął w jego stronę; zmarszczki wokół orzechowych oczu starca nabrały ostrzejszych rysów, jak za każdym razem, gdy się uśmiechał.

– Powinienem jednym ruchem ręki osuszyć koryto, nieprawdaż? Tak, żebyśmy mogli przejść na drugą stronę, nie mocząc butów. Następnie

zgrupować na niebie chmury i przywołać deszcz, tak silny, że rzeka wezbrałaby w ciągu kilku zaledwie mgnień oka, aby móc dalej płynąć normalnym nurtem. Oczywiście ulewa ominęłaby naszą trójkę, wszak nie po to przeszliśmy na drugi brzeg, aby zmoknąć na nim do suchej nitki.

– Cóż... Może to trochę głupie, ale chyba dokładnie coś takiego sobie wyobrażałem.

– A teraz uważasz, że nie byłbym w stanie tego dokonać.

Averet zatrzymał się.

– Sam właśnie dałeś mi to do zrozumienia.

Garray nie zaprzestał marszu. Gestem dłoni dał znać najemnikowi, żeby czym prędzej się z nim zrównał.

– Widzisz, Avarecie, rzecz jest zupełnie w czym innym. Bycie czarodziejem to nie tylko umiejętność korzystania z magii; to również wiedza o tym, kiedy należy jej użyć i do jakich celów. Nie bez powodu równie często, jak czarodziejami, nazywani jesteśmy mędrkami. Wierzę, że bogowie, obdarzając nas mocą, zrobili to z konkretnego powodu. Podchodzę do swojego daru z szacunkiem i świadomością, w jaki sposób z niego korzystać. Tak samo, jak ktoś posiadający miecz wykuty przez najznamienitszego mistrza nie będzie go używał do krojenia chleba.

Averet skinął głową, w myślach przeżuując jeszcze przez chwilę słowa starca. Świadomość odległości, jaka dzieliła obdartusa od czarodzieja oraz tempo, w jakim w jego oczach pokonał ją Garray, wzbudziła w nim podziw.

Nie zamienili więcej słów aż do momentu dotarcia do brodu. Zgodnie z obietnicą Garraya, przeprawa nie nastęczyła wielu kłopotów. Mając rzekę za sobą, skierowali swe kroki w stronę lasu, nie omieszkując urządzić popasu tuż na jego skraju. Bliska perspektywa bardziej wystawnego posiłku, jakim zamierzali się uraczyć w którejś ze sletoborskich karczm, poderwała ich jednak szybko do dalszej drogi.

Ta upłynęła dość szybko, pośród coraz żywszych rozmów i nierzadkich żartów. Nim jeszcze słońce zdążyło osiągnąć zachodu, stanęli na skraju kotliny wypełnionej nieregularnymi zabudowaniami.

– Oto Sletobor – oznajmił Garray.

Wzdłuż spływającego do kotliny potoku biegła ścieżka, z której

skorzystali. Jej znaczna część prowadziła przez las; nim zostawili za plecami ostatnie z drzew, mrok zdążył już gęściej spowić Sletobor. Drewniane chaty na jego skraju, często walące się już ze starości, nie mogły budzić podziwu, w miarę jednak, jak zbliżali się do centrum, coraz częstszym widokiem stawały się piętrowe kamienice. Z dalszego planu wyłaniała się okazała, murowana świątynia.

Typowy obraz prowincjonalnego miasteczka pomyślał Avaret, omiatając spojrzeniem najbliższą okolicę.

Uderzyło go, że nawet mimo swoich skromnych rozmiarów, Sletobor wydawał się zbyt cichy. Jedynie w nielicznych oknach migotało światło, wszystkie z nich zaś, co do jednego, były zamknięte.

A co najbardziej zastanawiające, jak do tej pory nie napotkali na drodze żywej duszy.

Jeśli i Ervilla niepokoił ten fakt, to nie dawał tego po sobie poznać. Kręcąc głową na prawo i lewo, dokładał wszelkich starań, by jak najszybciej odnaleźć karcznię.

– Bingo! – wykrzyknął w końcu, nie kryjąc swej radości.

Najbliższa gospoda objawiła im się w sposób niepozostawiający cienia wątpliwości; jej drzwi trzasnęły, wypuszczając na zewnątrz zataczającego się mężczyznę. Gdy już udało mu się złapać równowagę, ruszył w stronę przyglądającej mu się trójki, zorientowawszy się jednak, że pomylił kierunki, zawrócił i po chwili zniknął w ciemnościach.

Evill, nie oglądając się na towarzyszy, niemal jednym susem dopadł drzwi karczmy, za którymi równie szybko zniknął. Avaretowi i Garrayowi nie było aż tak spieszo; nim przekroczyli próg, zdążyli jeszcze odczytać nazwę gospody z szyldu wiszącego nad wejściem: „Rogaty jelen”.

Wewnątrz panował istny rejwach. Odgłosy rozmów mieszały się ze śmiechem, wznoszonym toastom przygrywał stukot kufli. Przekrzykiwano się, grano w karty, w powietrzu unosił się zapach dymu i rozlanego piwa. Nieliczne wiszące na ścianach świeczniki, do spółki ze zwisającym z sufitu żyrandolem, jedynie w niewielkim stopniu rozjaśniały wnętrze; wiele zakamarków karczmy pozostawało niemal zupełnie ciemnych, choć bynajmniej nie pustych. Avaret dostrzegł, że choć wśród gości zdecydowanie przeważają miejscowi, to wśród nich dało się zauważyć również kilku lepiej

odzianych kupców, a nawet krasnoludów.

Ervilla dostrzegli przy ladzie, w chwili, gdy akurat od niej odchodził, wzrokiem szukając wolnego stołu. Ruchem głowy dał im znać, by czym prędzej zaopatrzyli się w jakiś trunek i do niego dołączyli. Sam trzymał już w swoich dłoniach dwa kufle, bynajmniej nie z myślą o podzieleniu się z Avaretem lub Garrayem.

– Sletoborskie pszeniczne raz proszę – rzekł czarodziej, wspierając dłonie na ladzie.

– Zdam się na gust przyjaciela – dodał Avaret, gdy przyszła kolej jemu wybrać napitek.

Gospodarz wręczył im kufle pełne złocistego piwa, ozdobione kopcami ze śnieżnobiałej piany. Ruszyli powoli w kierunku stołów, uważając, by niczego po drodze nie rozlać, czy to z własnej niezdarności, czy też w konsekwencji potrącenia przez jednego z licznie przewijających się w tę i z powrotem gości.

Spośród ogólnego gwaru przebił się naraz dość wyraźnie głos Ervilla, który, jak się wydawało, zdążył przez ten krótki moment nawiązać znajomość z dwoma biesiadującymi przy stole krasnoludami. Elf spostrzegł, że towarzysze zbliżają się w jego kierunku i wstał.

– Avaret, Garray, przedstawiam wam Arcziego i Balladę. Arczi, Ballada, oto moi towarzysze, Avaret i Garray.

Jeden z krasnoludów walnął gniewnie pięścią w stół.

– Sonnet, kurwa, Sonnet! Nie żadna Ballada! Specjalnie przekręciłeś!

Elf zrobił niewinną minę. Znający go na wylot Avaret dałby sobie rękę uciąć, że była fałszywa.

– Siadajcie, panowie – rzekł drugi krasnolud, wykonując zapraszający gest, gdy tymczasem Sonnet fukał jeszcze groźnie w kierunku Ervilla. – Siadajcie śmiało, miejsca starczy dla wszystkich.

Pierwsze kilka chwil poświęcili ugaszeniu pragnienia, opróżniając kufle co najmniej w połowie. Dopiero wtedy elf, który nigdy nie pozwalał ciszy na dłużej się rozgościć, zwrócił się do reszty:

– Ależ tu pięknie, w tym Sletoborze! Samego miasta, co prawda, jeszcze nie widziałem, przykryte już było zmierzchem, gdyśmy przybyli, ale smak

tego piwa niewątpliwie dodaje mu uroku. Miałeś rację, Garrayu, polecając nam się tutaj udać. Nazwa gospody może nie nazbyt wyszukana, ale za to atmosfera wspaniała!

Niższy z krasnoludów – Arczi – chrząknął znacząco.

– Z tą atmosferą bym nie przesadzał. Jeśli wyjść z gospody, to wnet spostrzec można, że ponuro tu, jak w grobie. Nie ma się zresztą czemu dziwić.

Garray zmarszczył brwi.

– Nie ma się czemu dziwić? Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć? Wielokrotnie w przeszłości gościłem w Sletoborze i nigdy nie wydał mi się ponury. Wręcz przeciwnie, malownicze położenie dodaje mu sielskości.

– Ciężar niebezpieczeństwa podłamał ludzi, ot co.

Avaret nachylił się w kierunku krasnoluda.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Jak to? To wy nic nie wiecie? O niczym innym się tu przecież ostatnio nie mówi.

– Dopiero co przybyliśmy. Racz nas czym prędzej oświecić.

Arczi pogładził się po gęstej czarnej brodzie. W jego małych oczkach zatańczyły iskierki wesołości, również nieznaczny uśmiech wygiął jego usta, choć niełatwo było to dostrzec z powodu gęstego zarostu. Sonnet, tęższy od niego i wyższy, wpatrywał się w towarzysza z niecierpliwością. Wiedział oczywiście, jaką wieść tamten pragnie przekazać swym rozmówcom, mimo to czekał w najwyższym skupieniu na to, aż Arczi w końcu przemówi.

– Nie dalej, jak kilka dni temu, doszło tutaj – zawiesił głos, aby podbudować napięcie, gdy w międzyczasie wszyscy nachylili głowy w jego kierunku – do morderstwa.

Wiadomość nie wzbudziła emocji, jakich Arczi zapewne oczekiwał. Pierwszy odezwał się Avaret.

– Cóż w tym takiego niezwykłego? – pociągnął duży łyk z kufła. – Morderstwa zdarzają się wszędzie na świecie. Codziennie. W wielkich miastach i na prowincji. Nie jest to powód, dla którego wszyscy zamykają naraz na głucho okiennice. A i również my nie należymy bynajmniej do

strachliwych.

Arczi pokiwał głową, przyjmując słuszny skądinąd argument. Widać było jednak, że to nie wszystko, co ma w zanadrzu.

– Z tym że to nie było zwykłe morderstwo.

– Co masz na myśli?

– Trzeba było widzieć to ciało. O ile można to tak nazwać. Miałem okazję, że tak powiem, zerknąć sobie na nie. Widziałem, jak wynoszą nieboszczyka z domu, na desce, przykrytego czarnym płótnem. Pech chciał, że im się ta płachta osunęła, ukazując w pewnym stopniu ciało. Akuratnie przechodziłem i przypadkiem ujrzałem to i owo. Rozszarpane było, wystawcie sobie, tak, że wataha wilków by tego nie dokonała.

Avaret pociągnął kolejny większy łyk.

Wilkołak jak nic. Albo – uśmiechnął się lekko – wściekła żona. Tak czy siak, może jest jakaś nagroda za schwywanie potwora. Trzeba spytać.

Zerknął na Garraya, ciekaw, jaką reakcję wzbudziła w nim ta wiadomość. Mędrzec zdawał się pogrążony w zadumie. Ściśnięte usta i spojrzenie wwiercające się uporczywie w stół były tego najlepszym dowodem. Znać było, że jego myśli się na czymś bardzo mocno skupiają. Avaret nie próbował domyślać się, co tak nurtuje czarodzieja. Zamiast tego rozejrzał się po gospodzie.

Późna pora zaczęła powoli przeganiać biesiadników. Wstając od stołu, jedni pewnie, drudzy lekko się chwając, jeden po drugim, opuszczali karczmę, by udać się do swoich domów i odpocząć przed następnym, niemniej ciężkim od poprzedniego, dniem. Uwagę Avareta przykuł fakt, że wychodzili dwójkami, bądź trójkami, nigdy pojedynczo.

Morderstwo, którego dokonano, musiało być istotnie niezwykle brutalne, by do tego stopnia wystraszyć miejscowych, że bali się po zmroku wędrować w samotności.

Strach. Uczucie, które było wodą na młyn w zawodzie najemnika. To właśnie on popychał ludzi do szybszego działania, każąc jak najszybciej pozbyć się zagrożenia. Im było większe, tym więcej byli skorzy zapłacić. Choć nie było jego winą, że ludzie mordują, gwałcą i kradną, Avaretowi doskwierała momentami świadomość, że w istocie żeruje na ludzkim lęku.

Cóż, taki zawód. Szewc cieszy się, że ludziom psują się buty, stolarz, że jego klient nie ma na czym siedzieć, a ja, że kogoś zamordowano. Psiakrew! Paskudnie to brzmi, ale to tylko czysta logika.

Z zamyślenia wyrwał go Arczi.

– Cóż, moi drodzy panowie, wygląda na to, że piwo mi się skończyło. A że w gardle dalej mnie tak samo suszy, to na jednym nie poprzestaną. Idę po następne!

To rzekłszy, wstał i począł przeciskać się pomiędzy stołami w kierunku luki biegnącej od drzwi wejściowych, przez całą długość gospody, aż do drewnianej lady.

Ledwo się tam znalazł, drzwi otworzyły się raptownie z wielkim trzaskiem, przez nie zaś wpadł do środka niewysoki, wrzeszczący przeraźliwie mężczyzna. Jego impetowi przeciwstawił się dopiero zupełnie zaskoczony całym zajściem krasnolud, w konsekwencji czego obaj upadli na podłogę.

– Mooooooord! Mooooooord!

Na sali zapanowało wielkie poruszenie. Krzesła zaczęły szurać, stoły się przesuwają, goście podnieśli się gwałtownie. Karczmarz już zmierzał w kierunku przybysza. Przez otwarte drzwi widać było pojedyncze krople deszczu, niebo przecinały pierwsze błyskawice, którym na razie nie towarzyszyły jednak odgłosy gromów.

– Mooooooord!

– Zejdźże ze mnie, psiakrew! – warknął Arczi, który w dalszym ciągu leżał przygnieciony ciałem zszokowanego mężczyzny.

Sonnet podszedł i pomógł biednemu krasnoludowi uwolnić się spod jego ciężaru, wszyscy goście natomiast zgromadzili się wokół. Jedyne Garray pozostał z tyłu, wyglądając przez niewielkie okno, tak, jakby starał się coś dostrzec wśród mroków nocy.

Avaret kątem oka dojrzał, że ktoś zaryglował drzwi.

– Co się stało, Halecie? – spytał przejęty gospodarz.

Halet z trudem łapał oddech. Wszyscy w napięciu czekali, aż wydobędzie z siebie choćby słowo. Ktoś podsunął mu krzesło, z którego bardzo skwapliwie skorzystał.

– Trup... – wysapał z trudem. – Tutaj, niedaleko...

Avaret zerknął porozumiewawczo na Ervilla. Elf postąpił kilka kroków w jego kierunku.

– Czarodziej miał nosa, że nas tu przywiódł – szepnął.

Wszyscy zgromadzeni zaczęli szemrać, zbijając się instynktownie w jeszcze ciaśniejszą kupę.

– Trup?! Gdzie?! Kto?!

– Ledwom stąd wyszedł – zaczął Halet, powoli doprowadzając swój oddech do równowagi. – Skręciłem za róg, idę sobie, pogwizdując dla dodania otuchy, aż tu nagle łup!

Zawiesił dramatycznie głos, a wszystkie głowy nachyliły się w jego kierunku.

– I... co? – bąknął gospodarz.

– Ano – podjął na nowo opowiadający – potknąłem się. Wstałem tedy, obróciłem się, żeby spojrzeć, o com zawadził, lecz mrok taki był nieprzenikniony, że nic nie dojrzałem. Podeszedłem powoli, ale dalej nic. A kiedy byłem już blisko, to nagle błysnęło i żeś zobaczyłem! Aż mi gały na ziemię spadły! Trup! Najprawdziwszy trup! Wszystkie bebechy miał na wierzchu. Aż ciężko pomyśleć, że to coś człowiekiem było.

– Ale czyj to trup? – dopytywali się zgromadzeni.

– Tego nie wiem. Ledwom się zorientowałem, co widzę, od razu żeś spodnie podciągnął i tu przygnał. Nie przyglądałem się ani chwili!

Zapanowała cisza. W tej ciszy słychać było krople bębniące w szyby. Uszu zgromadzonych dochodził także odgłos ognia pełgającego na palenisku. Oprócz tego jedynie pojedyncze oddechy mąciły panujący spokój.

– Jedyne sposobem, by dowiedzieć się teraz czegoś więcej – odezwał się stojący przy oknie Garray – to odnaleźć ciało i lepiej się mu przyjrzeć. Musimy się pospieszyć, za chwilę deszcz może zmyć cenne ślady.

Halet wzdrygnął się na te słowa. Podobnie uczynili niemal wszyscy wokół niego, z karczmarzem na czele, który dodatkowo włożył sobie dłoń do ust. Avaret oraz Ervill podeszli parę kroków w kierunku drzwi, dając wszystkim jasno do zrozumienia, że zamierzają wesprzeć starca w tej inicjatywie. Po

chwili dołączył do nich także Arczi oraz – choć bardziej w wyniku bycia ciągniętym za rękaw przez tego pierwszego niż własnej odwagi – drugi z krasnoludów.

Reszta nie poruszyła się.

– Idziecie, czy nie? – palce Avareta oplotły klamkę. – Halecie, oszczędź nam czasu i pokaż dokładnie, gdzie to się stało. Liczę, że do nas dołączycie, zacni panowie.

Halet głośno przełknął ślinę. Chyba poczuł się ważny z racji tego, że jako jedyny znał miejsce zbrodni, co z kolei nakazywało mu stanąć na wysokości zadania i je wskazać. Zebrał w sobie całą odwagę i drobnymi kroczkami przesunął się w kierunku wyjścia. Za nim podążyło jeszcze kilku innych mężczyzn.

– Reszta zostaje? – rzucił Avaret.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi i przekroczył próg. Kolejno za nim podążyli Ervill, Garray, Halet, Arczi i Sonnet.

Na zewnątrz zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Deszcz, choć nie zdążył przeistoczyć się w ulewę, to jednak zaczął ze wzrastającą intensywnością, mącąc snującą się nad ziemią mgłę. Avaret rozejrzał się po okolicy. Wszystkie światła w przyulicznych budynkach były pogaszone. Jedynie blada łuna księżyca, ginącego raz po raz za zasnuwającymi niebo chmurami, oświetlała tą jedną z głównych ulic miasta.

Nie licząc szumu padającego deszczu, okolica pozostawała zupełnie cicha.

Oglądając się przez ramię, Avaret z pewnym zdumieniem stwierdził, że do pochodu dołączyli wszyscy bez mała goście karczmy. Nie miał wątpliwości, że uczynili to wyłącznie ze strachu, uznając dowolne miejsce, w którym tylko znajdują się uzbrojeni najemnicy, za bardziej bezpieczne.

– Garray, weź no machnij ręką i przegnaj te chmury! – rzucił Ervill. – Cały już zmokłem, a, daję słowo, jeszcze dobrze progu nie przekroczyłem.

Czarodziej jedynie uśmiechnął się w odpowiedzi.

Halet przystanął tuż obok Avareta, wskazując ręką skrzyżowanie odległe o jakieś sto stóp.

– Musimy iść tam.

Najemnik skinął głową. Cała procesja ruszyła. Ktoś zabrał ze sobą pochodnię, jednak jej ogień już gasł z towarzyszącym temu przeciągłym sykiem.

Na skrzyżowaniu przystanęli ponownie. Uwaga wszystkich raz jeszcze skupiła się na Halecie; przewodnik z pewnym ociąganiem wyciągnął rękę, wskazując majaczący za mgłą mostek. Z prowadzącą do niego drogą sąsiadowało co prawda kilka budynków, znać jednak było, że miejski krajobraz ustępuje w tym miejscu dzikiej przyrodzie. W miarę, jak posuwali się naprzód, zza mgły wyłaniał się drugi brzeg potoku, oznaczony niejako sporej wielkości głazem. Tuż u jego boku wyrastał z ziemi słup, a na nim tabliczka, zapewne informująca podróżnych o tym, dokąd droga prowadzi.

– Leży po drugiej stronie – rzekł drżącym głosem Halet. – Tuż obok wiązu, kilka kroków za głazem.

Jeszcze zanim przeprawili się przez mostek, Avaret spróbował odnaleźć spojrzeniem ciało nieszczęśnika. Wydało mu się jednak, że mgła dziwnie gęstnieje w opisanym przez Haleta miejscu, czyniąc dostrzeżenie czegokolwiek zupełnie niemożliwym. Naraz zdał sobie sprawę, że ogarnęło go dziwne podniecenie, zupełnie mu obce, nieprzystające rutynowym z pozoru okolicznościom.

– Co też zwykła mgła i trochę deszczu potrafią zrobić z wyobraźnią – mruknął sam do siebie.

Poczuł, jak wzbiera w nim niepokój, nie potrafił jednak dokładnie odgadnąć jego źródła.

Gdy tylko jego stopy dotknęły drugiego brzegu, Halet zatrzymał się zdecydowanie, dając do zrozumienia, że w tym miejscu kończy się jego rola przewodnika. Cały pochód zatrzymał się również, począwszy od Garraya, a na gospodarzu karczmy skończywszy. Marsz tego ostatniego powstrzymały dopiero plecy kroczącego przed nim innego mężczyzny.

Najemnik lekkim skinieniem dał wyraz zrozumienia dla tej postawy, po czym, rozpraszając mgłę gromadzącą się wokół jego stóp, ruszył w kierunku głazu, aby pokonać ostatni etap tej wędrówki. Zauważył, że jego ciało pokryła gęsia skórka.

Jeden krok, za nim drugi, potem trzeci. Odległość dzieląca go od ponurego, samotnego wiązu stopniowo malała, a on sam zaczynał już myśleć,

że w jego sąsiedztwie nie leżą żadne zwłoki, że nie doszło do żadnej zbrodni, o której mówił Halet. Gdy wtem...

... potknął się.

– Kurwa – zaklął cicho pod nosem.

Odwrócił się ostrożnie. Mimo tak nieznacznej odległości nie mógł stwierdzić, o jaką przeszkodę zahaczył. Mgła była na tyle gęsta, że nie widział niczego, co znajdowało się poniżej jego kolan. Machnął energicznie nogą, w konsekwencji czego zawiesina zasnuwająca ziemię pod jego stopami lekko się rozstąpiła. Wydawało mu się, że coś ujrzał, coś, jakby skrawek materiału zabarwiony bardzo mocno na czerwono. Nie miał jednak pewności, co to mogło być.

– Pozwól, że ci pomogę – usłyszał głos Garraya, który niezauważenie znalazł się u jego boku.

Nie czekając na pozwolenie, czarodziej uniósł prawą nogę, zginając ją w kolanie, po czym uderzył podeszwą buta prosto w ziemię. Mgła w magiczny sposób – Avaret był tego pewien – rozproszyła się w promieniu kilkunastu stóp, ukazując to, czego wszyscy szukali. Z gardeł zgromadzonych wyrwały się okrzyki zdumienia, bądź też przerażenia.

Rozstępująca się mgła ukazała coś, co prawdopodobnie jeszcze niedawno było człowiekiem. Owe coś miało na sobie zielony – choć tego można było się w tym momencie jedynie domyślać – kubrak, rozszarpany na klatce piersiowej, w całości ubroczony krwią. Spod zniszczonego ubrania wyzierało nagie ciało, rozprute i przeorane tak mocno, że jeden z oglądających to mężczyzn odwrócił się i głośno zwymiotował. W miejscu, z którego z kolei powinna wyrastać głowa, nie było nic, co stało się najprawdopodobniej przyczyną omdlenia kolejnego z zebranych.

– Kurwa... – wymamrotał Ervill.

– W rzeczy samej – potwierdził Arczi, pochylając się ostrożnie nad trupem. – Dokładnie tak wyglądał jegomość zamordowany parę dni temu, gdym go przypadkiem ujrzał. Temu mam niby okazję przyglądać się dokładniej... Ale jakoś, cholera, nie mam ochoty.

Gospodarz, całkowicie zielony na twarzy, zebrał się w sobie i odważył opuścić zwartą grupę miejscowych, by samemu lepiej przyglądać się

nieboszczykowi. Ledwo dojrzał go wyraźniej, natychmiast odwrócił głowę i zamknął oczy.

– Wiecie może panowie... kto... co mogło coś takiego zrobić? – zwrócił się do obu najemników i Garraya, bacząc jednocześnie na to, by trup ponownie nie znalazł się w zasięgu jego wzroku.

Zapadła chwila ciszy. Garray stał z założonymi rękami, cały czas obserwując martwe ciało z wyrazem głębokiej zadumy wymalowanym na pomarszczonej twarzy.

– Wilkołak? – spytał nieśmiało Ervill, nie wiadomo kogo.

Avaret pokręcił głową.

– Owszem, poprzedniego mordu mógł z dużym prawdopodobieństwem dokonać wilkołak. Ale dzisiaj nie ma już pełni.

Wszyscy z wyjątkiem jego i Garraya unieśli głowy ku niebu. Zza otaczających go chmur wyłonił się księżyc, który istotnie nie przybierał już tej nocy okrągłego kształtu.

– Może to nie był żaden potwór? – zasugerował Sonnet. Tęgi krasnolud wydawał się niemniej przestraszony od karczmarza. Bezskutecznie próbował opanować drżenie krótkich nóg.

– Cóż, takiej możliwości oczywiście też nie można wykluczyć – odezwał się czarodziej. – Istota rozumna, jak człowiek, elf czy krasnolud, potrafi być najgorszym z potworów, jeśli tylko tego zapragnie. Nad tym jednak zastanawiać się będziemy jutro, w świetle dnia – klasnął w dłonie. – Póki co jednak potrzebnych nam będzie dwóch silnych zuchów. Trzeba przenieść ciało nieszczęśnika w miejsce, w którym pozostanie do czasu pochówku. Kto zgłasza się na ochotnika?

Gromada mężczyzn zadygotała ze strachu.

* * *

Avaret się zbudził. Zamrugał oczami, podniósł się do pozycji siedzącej i porządnie przeciągnął. Na posłaniu obok, obrócony na prawy bok, z nosem prawie przytkniętym do ściany, głośno pochrapywał Ervill. Przez zabrudzone okno z trudem przebijały się promienie wschodzącego słońca. Sam pokój był słabo umeblowany; jedyne dopełnienie dla dwóch wąskich łóżek stanowiła stojąca pod ścianą komoda. Standard „Rogatego jelenia” z pewnością nie

należał do najwyższych.

Najemnik ostrożnie, by nie obudzić towarzysza, wstał z łóżka i stąpając powoli, podszedł do okna. Dzień dopiero wstawał, nie słyhać było jeszcze żadnego zgiełku na ulicach miasta. Avaret podrapał się po nieogolonej brodzie, przypominając sobie równocześnie wydarzenia minionej nocy.

Po wstępnych oględzinach miejsca zbrodni, jakich dokonali, nikt z miejscowych nie pokwapił się, by przenieść ciało do kostnicy. Koniec końców musiał się tym zająć on sam, oczywiście przy pomocy Ervilla. Szczęściem kostnica nie znajdowała się daleko, toteż przeniesienie zwłok nie zajęło im dużo czasu, ani nie kosztowało utraty wielu sił. Obudzono zarządcę, poinformowano o zaistniałej sytuacji i pozostawiono nieboszczyka jego opiece. Mężczyzna w pierwszej chwili wybałuszył oczy, jednak po krótkim szoku doszedł do siebie i zajął się swoimi obowiązkami. Widocznie poprzedni trup oswoił go z podobnym widokiem.

Wiść o kolejnym morderstwie rozniosła się w tempie błyskawicy. Opuszczając kostnicę, spotkali na prowadzących do niej schodach jegomościa, który okazał się burmistrzem Sletoboru. Musiał zostać wyrwany ze snu, gdyż spod długiego płaszcza wyzierała mu koszula nocna. Jego głowę ponadto zdobiła biała czapka zakończoną pomponem, w jakiej zwykli spać mężczyźni o jego statusie. Towarzyszyło mu dwóch drabów uzbrojonych w halabardy, ubranych w uniformy straży miejskiej. Trójka przybyszów zdążyła wyrzucić na mieszkańcach spore wrażenie, gdyż burmistrz niemal na kolanach błagał, by zajęli się sprawą morderstw. Uspokoiło go dopiero zapewnienie, że z samego rana przystąpią do rozwikłania tajemnicy okrutnych zabójstw oraz zrobią co w ich mocy, by ująć sprawcę.

– Chyba czas wstawać – usłyszał za swoimi plecami głos elfa, który właśnie się przebudził i niechętnie podnosił z łóżka. – Jak myślisz, przyniosą śniadanie do łóżka? Jest to wliczone w cenę? Eeee, chyba nie... No, ale czego się spodziewać za kilka miedziaków?

– Boję się, że słusznie rozumujesz. Chyba będziemy musieli zejść na dół. Po śniadaniu bierzemy się do roboty.

– Tylko robota mu w głowie – mruknął Ervill, tłumiąc pięścią ziewnięcie. Wstał, podciągnął spodnie i ruszył za towarzyszem, który zdążył już zniknąć za drzwiami.

Zeszli po skrzypiących schodach. Tylko jeden stół na sali był zajęty.

– Czołem, przyjacielu! – rzucił elf w jego kierunku. Mężczyzna zasiadający przy nim podniósł głowę znad spożywanej jajecznicy i odpowiedział na powitanie. Było w jego wyglądzie coś znajomego.

– Garray...? – zapytał niepewnie Avaret.

Nie pomylił się, choć czarodziej wydawał się tego poranka zupełnie innym człowiekiem, niż ten poznany przed dwoma dniami. Przystrzygł brodę oraz włosy, które dodatkowo uczesał. Już sam ten zabieg uczynił jego oblicze znacznie młodszym i przystojniejszym. Również stare, podarte odzienie zostało zastąpione nowym; schludną koszulę okrywał kubrak z rękawami zdobionymi haftem, spodnie nie nosiły żadnych śladów przetarć. Jakim cudem Garray zdobył to wszystko w środku nocy, tego Avaret nie wiedział.

Jedynie uśmiech czarodzieja pozostawał wciąż ten sam.

– Tak, to istotnie ja, choć w pełni rozumiem wasze zszokowane miny. Siadajcie, proszę. Ja zdążyłem się już nieco posilić, teraz pora na was.

– Prawdziwy to zaszczyt dla nas, cny panie! – rzekł dworskim tonem Ervill, kłaniając się nisko. Garray machnął na niego ręką, mrucząc coś o idiotach i imbecylach.

Zasiedli naprzeciw czarodzieja. Po chwili, idąc w jego ślady, zajadali się jajecznicą, przyrządzoną przez karczmarza z niemałym kunsztem. Ervill dodatkowo raczył się piwem, nie czując żadnego skrępowania wczesną porą.

Atmosfera poprzedniej nocy całkowicie się ulotniła; gospoda, jeszcze wczoraj wypełniona strachem i przerażeniem, w świetle dziennym wydawała się niemal przytulna. O poranku Sletobor znów był jednym z wielu prowincjonalnych miasteczek, w których życie toczyło się powoli i bez większych niebezpieczeństw.

Mimo to zgodnie z obietnicą złożoną burmistrzowi, należało czym prędzej zająć się odnalezieniem mordercy.

– Dowiedziałem się tego i owego – rzekł Garray, który właśnie skończył swoją porcję. – Udało się ustalić tożsamość odnalezionego wczoraj nieszczęśnika. Nielicho przyczynił się do tego pewien dokument skryty w jednej z jego kieszeni. Dokument ów był umową sprzedaży domu i zawierał, jak się pewnie domyślacie, jego podpis. Nieboszczyk zwie się, przepraszam,

zwał się, jeszcze do całkiem niedawna zresztą, Garath Magnuson i prawdopodobnie właśnie opuszczał miasto. Co się zaś tyczy pierwszej ofiary, to wiadomo, że był nią Alram Gaven.

Avaret zmrużył błękitne oczy.

– Zastanawiające. Myślisz, że to przypadek, że akurat teraz sprzedawał dom? Czy może śmierć tego Gavena była dla niego z jakiegoś powodu sygnałem ostrzegawczym?

– Na pewno warto to sprawdzić. Zaczniemy od ustalenia, czy obie ofiary coś łączyło. To może rozjaśnić nieco całą sprawę.

Ervill beknął głośno.

– W takim wypadku wszystko może stać się jeszcze bardziej skomplikowane, panowie detektywi. Znaczyłoby to niechybnie, że nie mamy do czynienia z bezrozumnym potworem, lecz wyrachowanym zabójcą.

– Który jednak morduje swoje ofiary z okrucieństwem godnym najgorszego potwora – zauważył Avaret. – Sam nie wiem, co uznać za bardziej przerażające. Nie ma co, ciekawa sprawa nam się trafiła.

Krótką ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przerwał odgłos stawianych na schodach kroków. Chwilę później zasiadała ich już przy stole cała piątka; towarzystwo uzupełnili Arczi i Sonnet.

– Piękny dzień nam dzisiaj wstał, nie ma co – rzekł Arczi, ruchem ręki przywołując gospodarza. – Słońce świeci, ptaszki ćwierkają, strzyga, czy inne cholerstwo, z którym mamy do czynienia, pewno twardo teraz śpi. Ano właśnie, wiadomo już coś więcej?

Wykorzystują moment pojawienia się karczmarza oraz to, że to na nim chwilowo skupiła się uwaga krasnoludów, Avaret zastanowił się, czy powinien wtajemniczać ich w jakiegokolwiek szczegóły. Mając na względzie długi język Ervilla, ostatecznie zdecydował się to uczynić. Uprzedzając moment, w którym elf wypapla wszystko przy kuflu piwa, przekazał im to, co udało się już ustalić.

– Cóż, zawsze to już coś – skomentował Arczi. – Jeśli będziemy mogli jakoś pomóc, możecie na nas liczyć. Zabawimy w mieście jeszcze przez jakiś czas, a potem ruszamy dalej.

Avaret kiwnął z aprobatą głową.

Skończywszy posiłek, zabrali się do roboty.

* * *

Dom Alrama Gavena wieńczył porośnięte nielicznymi drzewami wzgórze. U podnóża wzniesienia znajdowało się kilka skromnej wielkości budynków, między innymi obskurny szynk, w którym, jak domyślał się Avaret, bawili krasnoludowie, gdy ciało Alrama opuszczało dom.

– Gaven pozostawił po sobie wdowę – poinformował najemników Garray, gdy wstępowali na biegnącą pod górę ścieżkę. – Ją to właśnie postaramy się wypytać o zdarzenia tamtej feralnej nocy. Ściślej mówiąc, zrobię to ja; o ile to możliwe, starajcie się nie odzywać. Wyobrażacie sobie, w jak podłym nastroju znajduje się pani Gaven, musimy być niezwykle ostrożni. Myślę również, że nie zaszkodzi, jeśli uzna was za zwykłych rębajłów.

Avaret skinął głową. W duchu przekonywał się, że słowa Garraya tyczą się przede wszystkim obdarzonego niewyparzonym językiem Ervilla, anizeli jego samego. Nie w smak było mu, że czarodziej przejmuje całą inicjatywę, dla dobra sprawy postanowił jednak nie oponować. Bądź co bądź ufał jego wiedzy i umiejętnościom.

Jak się okazało, pani Gaven nie pozostała w domu zupełnie sama. Drzwi otworzyła im młoda służąca.

– W czym mogę pomóc?

Avaret wykorzystał chwilę, nim czarodziej zdążył odpowiedzieć, aby dokładniej się jej przyjrzeć. Bez wątpienia była piękna, choć w sposób mogący budzić nieśmiałość. Ostrość rysów, czerwień ust i wyrazistość oczu czyniły jej oblicze bardziej dojrzałym, niż mógł na to wskazywać sam wiek. Znakomicie współgrał z tym wszystkim ton jej głosu, przepełniony chłodną, metaliczną nutą.

Czarodziej obdarzył ją miłym uśmiechem, mającym potwierdzić jak najbardziej pokojowe zamiary.

– Chcielibyśmy pomówić z panią tego domu – odparł grzecznie. – Jeśli to oczywiście nie problem.

Dziewczyna odsunęła się nieco, dając gościom do zrozumienia, że mogą wejść do środka.

Przez krótką sień dotarli prosto do głównej izby, wypełniającej całą

niemal kondygnację. Obszerna przestrzeń wydawała się słabo zagospodarowana; kilka najbardziej potrzebnych mebli, w połączeniu z ubogimi w barwę obrazami nie przydawały pomieszczeniu domowej atmosfery. Jedno z krzeseł stało odwrócone od stołu w stronę okna; nad wysokiego oparcia wystawał kok siwiejących włosów.

– Masz gości, pani – rzekła służka, oddalając się następnie.

Siedząca przy oknie kobieta nie zareagowała w żaden sposób, wydawała się nieobecna. Avaret i Ervill rzucili sobie porozumiewawcze spojrzenia. Garray tymczasem postąpił kilka kroków w jej kierunku.

– Cóż to za ciekawy zapach? – zagadnął serdecznie wdowę. – Unosi się w całym domu. Jakiś rodzaj ziół?

Kobieta odwróciła głowę na dźwięk jego głosu. Zza oparcia wyłoniła się twarz z pewnością przystojna i dumna, w tej chwili jednak naznaczona strumieniami wylanych łez.

– Wybacz mi, niespodziewany gościu, ale nie odpowiem. Choćby w tym pokoju wyrosła nagle cała łąka, porośnięta najbardziej aromatycznymi ziołami, wątpię, bym cokolwiek poczuła.

Wstała, prostując odzianą w czerń sylwetkę i odwróciła bogato żłobione krzesło w ich stronę. Uznawszy ten gest za zaproszenie, cała trójka przysiadła się do stołu, przy czym Garray w bezpośrednim sąsiedztwie pani Gaven.

– Na sam początek przyjmij, proszę, nasze wyrazy ubolewania. Jest nam niezmiernie przykro z powodu twojej straty.

Kobieta skinęła nieznacznie głową.

– Dobry obyczaj nakazuje także – ciągnął Garray – abyśmy się przedstawili, zanim zaczniemy rozmawiać. Tak więc towarzysze moi zwą się Avaret oraz Ervill – to mówiąc wskazał kolejno obu najemników – ja zaś sam jestem Garray.

– Dobry obyczaj nakazuje, abym i ja się przedstawiła, mimo że zapewne moje nazwisko nie jest wam obce, skoro przychodzicie do mnie w konkretnej sprawie. Aby dopełnić formalności, zwę się Gaven. Katrina Gaven.

Garray skinął z szacunkiem głową.

– Z pewnością domyślasz się powodu naszej wizyty. Działamy na wyraźną prośbę burmistrza, który w obliczu tych tragedii zwrócił się do nas o

pomoc. Miej, proszę, na względzie, że naszym jedynym celem jest wyjaśnić tę zagadkową sprawę. Będę zmuszony zadać kilka trudnych i bolesnych z twojej perspektywy pytań. Ufam, że to rozumiesz.

Powieki Katriny zadrżały, jednak udało jej się opanować.

– Z pewnością jest ci wiadome – zaczął czarodziej – że w ostatnich dniach nie tylko twój mąż poniósł równie okropną śmierć. Dokładnie wczoraj to samo spotkało Garatha Magnusona.

– Oczywiście, wiem już o wszystkim. Całe miasto zresztą aż huczy. Ludzie snują najprzeróżniejsze teorie, mieszając w to gusa, zabobony, czy gniew bogów. Podli głupcy! Zupełnie, jak gdyby żaden z nich nie był w stanie dopuścić się podobnego czynu. To człowiek jest najokrutniejszą z bestii i to on winien jest popełnienia tych zbrodni.

– Znałaś Garatha Magnusona?

Katrina prychnęła drwiąco.

– To niewielkie miasto, mości panie, tutaj każdy zna każdego. Choć rzeczywiście, mojego męża łączyło z nim nieco więcej. Znali się na długo przed tym, nim Alram, wspólnie ze swoim przyjacielem, Olafem var Graffem, przybył do Sletoboru, wiele lat temu. Najpierw wszyscy trzej wspólnie zajęli się handlem, później każdy poszedł w swoją stronę. Od dłuższego czasu łączyły ich jedynie sporadyczne, przypadkowe kontakty. To związek, jakich wiele w tym mieście.

– Czy wiesz, skąd właściwie się znali? Czy mąż opowiadał ci o tym?

Wdowa Gaven zerknęła w stronę Avareta i Ervilla, a w kącikach jej ust pojawił się cień uśmiechu.

– Byli najemnikami, zupełnie jak wy. Wałęsali się we czwórce po gościńcach, imając się jakichś podle płatnych zleceń. Chłód, głód, niebezpieczeństwo – w końcu było tego za wiele. Wybrali ustatkowane życie.

– Było ich czterech? – wtrącił się po raz pierwszy Avaret. Nie sądził, by to pytanie miało w jakiś istotny sposób zaburzyć plan Garraya, a nie zamierzał dać się całkowicie zepchnąć w kąt.

– Tak, czterech. Lothar Kunst, z tego, co mi wiadomo, osiadł w Povet. To niezbyt daleko stąd, jedynie kilka godzin konnej jazdy, jednak nigdy go nie poznałam.

Ostatnie słowa wymówiła łamiącym się głosem. Fala żalu, wzbierająca w niej od dłuższego czasu, w końcu przelała się, mimo wysiłku wkładanego w utrzymanie dumnej postawy. Spuściła głowę, aby łzy spływające po policzkach stały się choć trochę mniej widoczne.

– Któż mógłby chcieć skrzywdzić biednego Alrama? Był zawsze uczciwy, pomocny, nikomu w niczym nie zawinił. A mimo to ludzie tak podle o nim teraz plotkują! – załkała, chowając twarz w chusteczce.

Ervill już otwierał usta, by pocieszyć wdowę jakimś dobrym słowem, lecz Avaret, znając dobrze poczucie kurtuazji elfa, szturchnął go wymownie w bok. Pozwolili zadziałać Garrayowi, którego ręka łagodnie sięgnęła ramienia Katriny.

– Katrino – zwrócił się do niej opiekuńczym tonem – aby rozwikłać tę sprawę, będziemy potrzebować twojej pomocy.

Kojący ton głosu Garraya zadziałał w magiczny wręcz w sposób. Wdowa uspokoiła się niemal w okamgnieniu. Uniosła głowę, a rysy jej twarzy wygładziły się.

– Zrobię, co mogę.

Garray cofnął rękę z jej ramienia, splatając następnie palce obu dłoni. Dał swej rozmówczyni jeszcze chwilę na ochłonięcie.

– Czy podejrzewasz kogokolwiek? – zapytał w końcu.

– Nikogo – odparła niemal od razu, lecz po chwili dodała: – I wszystkich. Teraz gdy słyszę tych małych, prostych ludzi, to każdy z nich wydaje mi się potworem w ludzkiej skórze. Lecz żeby dokonać tak okropnej zbrodni, potrzeba siły, a oni jej nie mają. Potrafią tylko mówić, oczerniać za plecami i spuścić wzrok za każdym razem, gdy mnie widzą. Więc nie, nie potrafię sobie wyobrazić, by był temu winien ktokolwiek, kogo znam.

– A co z dniem morderstwa? Widziałaś coś?

Kobieta zagryzła dolną wargę i przymrużyła oczy. Widać było, że potrzebuje chwili, by dobrać odpowiednio słowa.

– Będę szczerą. Nie widziałam zupełnie nic. Tego dnia... nieco poróżniliśmy się z Alramem. Spaliśmy oddzielnie, ja tutaj, na dole, natomiast Alram w sypialni na piętrze. Brzmi to niewiarygodnie, wiem, wszak morderca musiał prześlizgnąć się tuż pod moim nosem. Niemniej nasza

służka również nie była niczego świadkiem.

– Niewiarygodne, dopóki nie założymy, że to ty go zabiłaś.

Spojrzenia wszystkich skupiły się na Ervillu, który od dłuższej chwili sposobił się, by wtrącić swoje trzy grosze, a w końcu zrobił to w najmniej odpowiedni sposób. Avaret skrył twarz w dłoniach, przeklinając w duchu lekkomyślność przyjaciela, podczas gdy Garray zachował zupełnie kamienne oblicze.

– No cóż, Ervillu – rzekł stanowczym głosem czarodziej – myślę, że nie mamy żadnych przesłanek, by pójść tym tropem. Tym samym zaś wszystkie pytania, jakie miały paść, zostały już zadane.

Wstał pospiesznie, jeszcze raz kładąc dłoń na ramieniu wdowy. Avaret posłyszał kilka wypowiedzianych szeptem słów otuchy, które Garray skierował do Katriny. Ta w odpowiedzi jedynie lekko skinęła głową. Pożegnali się, pozostawiając wdowę dokładnie tak, jak ją zastali: siedzącą samotnie na krześle, ze spojrzeniem wlepionym w krajobraz za szybą.

Słońce, stojące już wysoko na niebie, ogrzewało twarze Avareta, Ervilla i Garraya, gdy opuszczali w milczeniu posesję państwa Gaven, a w tym momencie już tylko wdowy po Alramie.

W drodze w dół pagórka Avaret zastanawiał się intensywnie nad wszystkim, co właśnie usłyszeli. Wiedzieli już, co łączyło obu zmarłych i wydawało się wielce nieprawdopodobne, by ich śmierć w tak krótkim odstępie czasu była przypadkowa. Jakby słysząc jego myśli, odezwał się Garray:

– Musimy niezwłocznie porozmawiać z oboma pozostałymi jegomościami. Bardzo możliwe, że znajomość, jaka łączyła nieboszczyków, jest kluczowa dla sprawy, jednak konieczne jest, aby to potwierdzić. Z jakiegoś powodu lękam się nadchodzącej nocy; przeczucie mówi mi, że nie przyniesie niczego dobrego. Nie mamy wiele czasu.

Ervill kopnął kamień leżący na jego drodze. Siła, z jaką został wprowadzony w ruch, pognąła go na sam dół, gdzie, godząc jednego z przechodniów w kostkę, stał się przyczyną równie brzydkiego, co głośnego przekleństwa. Elf uniósł głowę i zagwizdał niewinnie, ręce chowając za plecami.

– Dalej jednak nie mamy motywu – rzekł Avaret . – I dalej ciężko mi

sobie wyobrazić, że takiej rzezi mógł dokonać człowiek. To się wszystko nie trzyma kupy.

Czarodziej uśmiechnął się jedynie w odpowiedzi, lecz uśmiech ten napełnił Avareta pewnością, niezmaconym przeświadczeniem, że cała zagadka zostanie od początku do końca rozwikłana.

* * *

Stojąc pośrodku ulicy, Avaret zęgnął wzrokiem oddalających się Arcziego i Sonnetę, dosiadających najszybszych koni, jakie mogli opanować. Choć ich niski wzrost i krótkie nogi zdecydowanie nie sprzyjały jechaniu cwałem, radzili sobie całkiem dzielnie.

Zaraz po powrocie do gospody najemnik przypomniał sobie słowa Arcziego, który zadeklarował chęć pomocy, gdyby była ona potrzebna. Prędko zrodził się pomysł, by wysłać krasnoludów w drogę do Povet, aby tam odnaleźli Lothara Kunsta i zaczerpnęli nieco wiedzy na temat dawnej działalności jego oraz jego zmarłych towarzyszy. Do Povet było ledwie kilka godzin drogi i drugie tyle z powrotem, Avaret obiecał więc krasnoludom, że jeśli wrócą przed północą, dostaną nieco wyższą część nagrody ufundowanej przez burmistrza.

Gdy już zniknęli mu z oczu, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w kierunku gospody, gdzie czekali na niego Ervill oraz Garray. Idąc naprzód głównym miejskim traktem, mijał liczne kramy, przy których przekrzykiwali się kupcy, oferując wszelkiego rodzaju towary, poczynawszy od warzyw i owoców, a na biżuterii skończywszy. Avaret przyglądał się od niechcienia osobom przechodzącym od jednego straganu do drugiego, gdy wtem ujrzał znajomą twarz. Młoda dziewczyna, o kruczoczarnych włosach, pochylała się nad stoiskiem oferującym, z tego, co dojrzał, różnej maści przyprawy. W prawej ręce dzierżyła wiklinowy kosz wypełniony już innymi zakupami. Dopiero po chwili skojarzył, skąd zna te rysy: niewątpliwie stała przed nim służąca Katriny Gaven, którą poznał przelotnie ledwie kilka godzin wcześniej. Zastanowił się moment.

Może ona zdoła wyjawić jakiś fakt istotny dla sprawy, pominięty wcześniej, świadomie, lub nie, przez jej panią?

Przybrał serdeczną minę i skierował swoje kroki w kierunku młodej służącej.

– Znow się spotykamy – rzekł, przystając obok. Udał zainteresowanie stosem jabłek piętrzących się w skrzyni tuż przed nim.

Dziewczyna uniosła powoli głowę. W jej oczach Avaret dostrzegł to samo, co przy pierwszym spotkaniu: chłód i dystans.

– Zdaje się, że nie poznałaś wcześniej mego imienia. Jestem Avaret. Staram się pomóc w sprawie morderstwa twojego chlebodawcy.

– Wiem, czym się zajmujesz – odparła. Avaret zaczął się zastanawiać, co jest bardziej oziębłe: jej spojrzenie czy głos.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy; młoda służąca całą swą uwagę skupiała raczej na oglądaniu towarów, aniżeli kontynuowaniu rozmowy. Jej cienkie palce przebiegały zwinnie po stosach owoców, od czasu do czasu zaciskając się na jednym z nich. Jedynie najpiękniejsze okazy lądowały w koszu.

– Jak ci się u nich pracuje? To znaczy teraz u niej... U Katriny.

Głośne westchnienie wydostało się z piersi dziewczyny. Wyprostowała się, wbijając spojrzenie w Avareta.

– Podśłuchaj – rzekła twardym tonem. – Ta niewinna rozmowa, w trakcie której głupia służka ma ci mimochodem wyjawić sekrety rodziny Gaven, na nic się zda. Nie tylko dlatego, że za głupią się bynajmniej nie uważam, ale również z tego powodu, że w tym domu nie było żadnych wielkich tajemnic. Żadnej ciemnej przeszłości, niezakończonych porachunków, czy czegoś podobnego. Co do twojego pytania, to chlebodawcami byli dobrymi, Katrina zresztą jest dalej. Wybacz więc, jeśli na tym zakończę rozmowę, ale mam do zrobienia zakupy, które mi zleciła.

Tak stanowcza reakcja, choć nie do końca zdziwiła Avareta, to jednak zbiła go nieco z pantałyku. Postanowił jednak nie dawać za wygraną.

– Wybacz, jeśli w jakiś sposób cię obraziłem. Jedyne, na czym mi zależy, to dopadnięcie mordercy. U kogo mam szukać wsparcia, jeśli nie u osób z najbliższego otoczenia Alrama?

Zawiesił głos, spodziewając się równiej ostrej, co uprzednio, odpowiedzi. Jej brak uznał za zachętę.

– Czy wiesz o czymkolwiek, co mogłoby mi pomóc?

– Wy ją podejrzewacie, prawda?

Avaret nie odpowiedział. Musiał przyznać, że bezpośredniość jego rozmówcy nieco go zmieszała.

– Nie zaprzeczaj, słyszałam, co mówił elf – jej twarz pozostawała sztywna, jedynie krwistoczerwone usta się poruszały. – Wiedz jednak, że to fałszywy trop. Niedługo minie pół roku, odkąd mnie przyjęli. Katrina jest dobrą chlebobawczynią, dumną i nieco wyniosłą, lecz umiejącą okazać serce. Nie zrobiła tego, wiem to.

– A Alram? Jaki on był?

Służka zbyła pytanie Avareta, na powrót kierując swoją uwagę w stronę owoców. Wybrała jeszcze kilka z nich, uiściła zapłatę u niewysokiego handlarza i ruszyła ku jednej z bocznych uliczek.

– Oto ostatnia odpowiedź, jakiej mogę ci udzielić, rycerzu – rzuciła przez ramię do trwającego nieruchomo Avareta. – Jestem Adelia, choć o imię akurat nie przyszło ci do głowy mnie zapytać.

* * *

Ervill i Garray siedzieli przy stole w jednym z kątów karczmy. Na dnie kufla, który elf dzierżył w dłoni, znajdowało się jeszcze kilka łyków złocistego piwa. Dwa identyczne, z tym że już całkiem puste, stały przed nim na stole, zasłaniając w pewnym stopniu jego oblicze. Czarodziej spoczywał na krześle z prawą stopą opartą na lewym kolanie. Końcami palców pocierał krótko przystryżoną, siwą brodę. Gdy tylko ujrzał Avareta, podniósł się. Ervill również zareagował, witając przyjaciela głośnym beknięciem.

– Odjechali – poinformował ich Avaret. – Wygląda na to, że całkiem nieźle radzą sobie w siodle. Myślę, że ujrzymy ich jeszcze dziś przed północą.

Garray skinął głową, po czym obaj zasiedli przy stole.

– Co dalej? – spytał Ervill.

Czarodziej zadumał się.

– Może najpierw ustalmy, czego się dowiedzieliśmy. Po pierwsze: mamy na pewno dwie ofiary, zamordowane w brutalny, praktycznie identyczny sposób. Niepodobna nie połączyć obu morderstw. Po drugie: wiemy, że obaj mężczyźni znali się od dłuższego czasu. Czy to przypadek? Może tak, może nie. Żeby się tego dowiedzieć, nasi zaprzyjaźnieni krasnoludowie wyruszyli z

wizytą do pobliskiego Povet, by odnaleźć Lothara Kunsta. Garath nie miał rodziny, a wdowę po Alramie już odwiedziliśmy.

– To ona – rzekł Ervill tonem pozbawionym cienia wątpliwości.

Starzec splótł ręce na piersi, nabierając powietrza, a następnie wypuszczając je z głośnym świstem.

– To pochopny osąd. Przyznała się, że coś ich poróżniło, lecz to nie wystarczy, by ją oskarżyć. Coś mi podpowiada, że w tą sprawę zamieszane są siły, o których na razie nie mamy pojęcia. Na razie powstrzymałbym się, Ervillu, od ferowania tak stanowczych wyroków, jeszcze przyjdzie na nie czas.

– To ona – powtórzył elf, puszczając morały Garraya mimo uszu.

– Dywagacje proponuję odłożyć na później – wtrącił się Avaret. – W tej chwili zbyt mało jeszcze wiemy, aby nawet snuć rozmaite domysły. Mamy trop prowadzący do niegdysiejszych najemników, nie pozostaje nam póki co nic innego, jak dalej nim podążać. Z tego, co wiem, Olaf var Graff wciąż ma się dobrze, a mówiąc to, mam na myśli tylko tyle, że nie jest trupem. Wyprawiliśmy w drogę krasnoludów, najwyższy więc czas udać się i do niego i rozpytać o to i owo.

Garray spojrzał bystro na Avareta.

– Co znaczy młody, pełen zapału umysł! Nie traćmy więc czasu! Zdążymy jeszcze omówić wszystko, co udało nam się ustalić.

Od karczmarza dowiedzieli się, gdzie odnajdą Olafa. Chwilę później drzwi „Rogatego jelenia” trzasnęły, a nogi wiodły ich już ku północnemu skrajowi miasta.

* * *

Świecące na zachodzie słońce opadało powoli ku otaczającym Sletobor wzgórzom, gdy udało im się odnaleźć dom Olafa. Leżąca na uboczu posesja prezentowała się zgoła odmiennie od tej zamieszanej przez Katrinę i Alrama; prowadząca do drzwi ścieżka zarastała trawą, sam budynek zaś, choć okazałej wielkości, był w paru miejscach mocno naznaczony upływem czasu.

Stanąwszy pod wejściem, Avaret złapał za wiszącą u drzwi kołatkę i uderzył w nie trzykrotnie. Minęło kilka chwil, w trakcie których nie doczekali się żadnej odpowiedzi. Najemnik wyciągnął rękę, aby ponowić

próbę, zrobił to jednak na tyle gwałtownie, że kołatka oderwała się, pozostając w dłoni.

– Chyba po prostu wejść do środka i przeproszę właściciela.

Cisnął metalowym przedmiotem w trawę. Pchnął drzwi, te zaś otworzyły się bez żadnego oporu. Przekroczyli próg i minęli sieni, stąpając ostrożnie i nie czyniąc zbędnego hałasu.

– Spójrzcie – rzekł ściszym głosem Ervill, gdy już przystanęli w izbie sąsiadującej z sienią. – Ptaszyna wyfruwa z gniazda...

Przy ścianach, pomiędzy którymi się znaleźli, stało, z tego, co naliczyli, sześć wielkich, drewnianych kufków. Niektóre z nich były otwarte, dało się więc dostrzec, że wypełnione są dobytkiem, jaki człowiek potrafi zgromadzić przez lata: ubraniami, tkaninami, zastawą i drogocennymi ozdobami.

– Myślę, że można to będzie uznać za kolejny dowód – Garray wypowiadał słowa powoli, ciągle rozglądając się wokół.

Jego uwagę przykuł jakiś ruch w sąsiednim pomieszczeniu, nieoddzielonym żadnymi drzwiami. Skinął głową towarzyszom, równocześnie podnosząc palec wskazujący do ust. Wyciągnęli nogi w tamtym kierunku, dokładając wszelkich starań, aby nic ich nie zdradziło. W sztuce tej prym zazwyczaj wiódł Ervill, teraz jednak, po wypiciu kilku piw, nie prezentował się wcale najlepiej.

Ich spojrzenia prędko wyłowiły przykucniętego w jedynym z kątów mężczyznę. Pochylony nisko nad kufrem, zdawał się czegoś w nim nerwowo doszukiwać. Jego ręce to wyciągały coś na zewnątrz, to wkładały coś innego do środka, raz po raz zaczesując w tył długie, rzadkie włosy.

Nim zdradzili swoją obecność, Avaret zdążył jeszcze rozejrzeć się po wnętrzu. Nie licząc mnóstwa mniejszych lub większych drobiazgów walających się po podłodze, brudne, nagie ściany kryły ledwie jedną, rozklekotaną komodę. Mimo sporych rozmiarów, wychodzące na zachód podwójne okno wpuszczało bardzo niewiele z ostatnich promieni słońca; pomiędzy brudnymi szybami dało się dostrzec liczne pajęczyny.

W końcu donośny głos Garraya wstrząsnął zalegającą ciszą.

– Dzień dobry – rzekł zwyczajnie.

Olaf aż podskoczył na dźwięk tak niespodziewanego pozdrowienia.

Odwrócił się gwałtownie, wbijając w nich wzrok przerażonych, przekrwionych oczu. Miał krzywy, zapewne parokrotnie złamany w przeszłości nos, a jego twarz pokrywał co najmniej tygodniowy, niechlujny zarost.

– K-kim jesteście? – zapytał drżącym głosem, po czym nagle cofnął się, przywierając plecami do ściany. – To nie ja! Nie zabijajcie mnie, błagam!

Brwi Avareta uniosły się, Olaf tymczasem padł na kolana i zaczął łkać.

– Ale nam się trafiło – rzekł półszepem Ervill. Pokręcił głową, cmoknął kilkakrotnie, po czym zwrócił się do klęczącego mężczyzny: – Przyjacielu, chyba nas z kimś pomyliłeś! O co czynisz ten cały lament?

Ręka Garraya wyciągnęła się ku ramieniu Olafa, starając się go uspokoić, na nic się to jednak zdało. Mężczyzna nie ustawał w błaganiach, przeciwnie, przybrały one jeszcze bardziej rozpaczliwy ton.

– Przysięgam, że tego nie chciałem! – krzyknął, padając na kolana i splatając dłonie w geście błagania o litość. – To oni mnie namówili! Oni!

Słowa gospodarza zaczęły brzmieć na tyle zastanawiająco, że Avaret zdecydował się wkroczyć. Zaciśnął dłonie na znoszonym ubraniu Olafa, brutalnie poderwał go do pionu i potrząsnął tak mocno, że ten omal nie rozbił sobie głowy o ścianę. To w końcu zdołało wyrwać go z amoku.

– Słuchaj uważnie! – warknął mu Avaret prosto w twarz. – Nie przyszliśmy tu, żeby cię zabić, wręcz przeciwnie. Pomyliłeś nas z kimś. A teraz – puścił go i odstąpił na odległość jednego kroku – z chęcią usłyszę, z kim.

Olaf stał z rozdziawioną gębą, plecami wsparty o ścianę. Minęła jeszcze chwila, zanim się odezwał.

– Nie przyszliście mnie zabić?

Ervill odrzucił głowę gwałtownie w tył, wypuszczając z głośnym świstem powietrze.

– Nie, ale jesteś na dobrej drodze do tego, żeby to się zmieniło.

– Więc kim jesteście? Po co tu przyszliście?

– Żeby zadać kilka pytań – Garray przejął inicjatywę – a nie na nie odpowiadać. Z twoich słów wnoszę, że wiesz, o jaką sprawę nam chodzi, z

zachowania zaś wnioskuje, że jesteś świadom jej powagi. Wyjaw nam zatemanych odwiedzin się spodziewałeś.

Kiedy już jasne stało się, że, przynajmniej w tym momencie, nie grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, Olaf zaczął z wolna odzyskiwać rezon. Rysy jego twarzy rozluźniły się, po czym znowu napięły, tym razem w grymasie złości.

– Kim jesteście?! – warknął. – Jakim prawem naruszacie teren mojej posesji? Nie przypominam sobie, żebym was zapraszał! Wynoście się czym prędzej!

Garray uśmiechnął się w taki sposób, że już ten jeden gest sprawił, że Olafowi zrzędała nieco mina.

– Drogi przyjacielu – zwrócił się doń – możesz oczywiście nas stąd wyrzucić, nie odpowiadając na żadne z naszych pytań i czekać dalej na niemiłego gościa, którego tak się lękasz. Albo możesz nam powiedzieć wszystko, co wiesz, a my już postaramy się ci pomóc. Nawiasem mówiąc – schylił się, przytykając prawą dłoń do lewego kącika ust tak, jakby chciał powiedzieć coś Olafowi w sekrecie – tym się właśnie zajmujemy. Usiłujemy schwytać tego, którego wizyty się obawiasz.

Olaf zaniemówił na chwilę, próbując odnaleźć się w sytuacji. Avaret zerknął przez zabrudzone okno. Nie wiedzieć kiedy, na zewnątrz zapadła już całkiem noc, ciemna i bezgwiezdna, cicha, lecz nappełniająca niepokojem. Jedyne blask księżyca, wraz z oświetlonymi przezeń skłębionymi chmurami, wyróżniały się pośród czarnej szaty, która zakryła niebo. Avaret stał jak zahipnotyzowany, gapiąc się bezmyślnie, gdy nagle przepływające obłoki nabrały gwałtownego rozpędu, zupełnie, jak gdyby pchnął je bardzo mocny, porywisty wiatr. Najemnik spuścił wzrok nieco w dół, w kierunku drzew okalających domostwo Olafa i dostrzegł, że również nimi targa wichher.

Coś tu jest nie tak – pomyślał.

Niespodziewanie okno otworzyło się do wewnątrz, wpuszczając podmuch, pod wpływem którego zasłony sięgnęły głębi pokoju.

– Co do...? – wyrzucił z siebie Olaf, ściągając uwagę całej trójki. Chwilę później jego oczy rozszerzyły się ze strachu.

Avaret zwrócił swoje spojrzenie z powrotem w stronę okna. Dojrzał

przyczynę, dla której oczy Olafa przybrały rozmiary dojrzałych jabłek. I zamarł na moment. W przybladłym blasku księżycy ukazał się czarny kształt, niby cień sunący po niebie, który pikował z ogromną szybkością prosto w otwór utworzony przez otwarte okno. Najemnik chwycił odruchowo za rękojeść. Zdążył wysunąć oręż z pochwy jedynie do połowy, gdy cień rąbnął w niego z ogromnym impetem, odrzucając kilka stóp w tył. Odzyskawszy równowagę, dojrzał Ervilla stojącego w pozycji bojowej, z mieczem trzymanym oburącz. Olaf skrył się za plecami sosenpniałego Garraya.

Stwór stał nieruchomo pośrodku przestronnego pokoju. Odziany był w szary, postrzępiony kaftan z nisko naciągniętym kapturem. Jedynym, co dało się spod niego dostrzec, były dwa płomienie w miejscu oczu, zupełnie, jakby czaszkę wypełniał ogień, znajdujący ujście w miejscu pustych oczodołów. Wydostające się z szerokich rękawów ręce były długie i chude, zakończone szpetnymi i zapewne bardzo ostrymi szponami. U pasa nosił broń, nie był to jednak miecz, a szabla o nadzwyczaj szerokim ostrzu. Z barków, prawie ku samej podłodze, spływała peleryna w identycznym kolorze, co postrzępiony kaftan, co najmniej równie zniszczona, jak on.

Upiór uniósł z wolna prawą rękę aż do pozycji poziomej, równocześnie wysuwając z dłoni szpon odpowiadający palcowi wskazującemu.

– On przyszedł po ciebie, Olafie – wyszeptał spokojnie Garray, wlepiając wzrok w wyciągnięty w stronę gospodarza pazur. Olaf złapał się kurczowo jego pleców, drżąc jeszcze bardziej z przerażenia.

– Tylko go tknij! – wysyczał Ervill w kierunku straszzydła.

Peleryna załopotwała, gdy stwór skoczył ku elfowi. Widząc to, Avaret bez namysłu rzucił się na pomoc przyjacielowi. Jednak upiór bezbłędnie odczytał jego intencje, atakując długimi, zakrzywionymi pazurami. Mężczyzna odskoczył, kątem oka dostrzegając krew broczącą z lewego ramienia Ervilla. Wylądowawszy kilka kroków dalej, usłyszał czarodzieja, gromkim głosem wypowiadającego jakieś nic niemówiące mu słowa. Niewidzialna siła odrzuciła poczwarę w tył, jednak nie na tyle mocno, by uczynić jej jakąkolwiek krzywdę. Korzystając z okazji, Avaret i Ervill runęli na nią z wyciągniętymi mieczami, lecz nim zdążyli zadać ciosy, ta trzymała już w ręce swą zakrzywioną szablę. Odparła ich atak, z łatwością odbijając jednym, silnym, ruchem oba cięcia. Gestem uczynionym drugą ręką cisnęła nimi w

kierunku ściany, zwracając się następnie twarzą do czarodzieja. Garray wyciągnął przed siebie obie dłonie i to zginając, to prostując palce, recytował zaklęcia. Stwór jednak musiał być również obdarzony sporą magiczną mocą, gdyż, czyniąc podobne gesty, dawał wyraźny odpór czarom przeciwnika.

Tymczasem Avaret, pozbierawszy się po zadanej ciosie, dostrzegł, że w całym zamieszaniu, zniknął gdzieś Olaf. Napastnik również musiał to zauważyć, gdyż nagle zerwał magiczną więź, jaka wytworzyła się między nim a czarodziejem i wyskoczył przez okno, prosto w ciemną, bezgwiezdną noc.

– Za nim! – zawołał Avaret, po czym, jednym, długim susem dopadł okna.

Ujrzał Olafa, biegnącego niezgrabnie w kierunku pobliskiego lasu oraz cień, sunący nad nim w powietrzu, lada chwila mający go dopaść. Rzucił się do biegu, kątem oka dostrzegając podążającego w ślad za nim Ervilla.

– Zostaw go! – krzyknął boleśnie świadom tego, że nie zdąży.

Upiór znalazł się tuż nad głową Olafa, po czym, gwałtownie zmieniając kierunek lotu, opadł na nieszczęśnika. Olaf zawył przeraźliwie, gdy stwór zaczął szarpać go pazurami, rozdzierając skórę i niszcząc ubranie. Avaret był już dosłownie dwa kroki od nich, gdy usłyszał, daleko za sobą, potężny głos Garraya. Upiór, jakby rażony piorunem, wygiął nienaturalnie plecy. Uniósł się znad pokiereszowanego ciała ofiary, po czym syknął przenikliwie i wzbił się w powietrze z szybkością kogoś, kto odejmuje palec od wrzącej wody. Zawisł na chwilę jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią. Garray wykrzyczał kolejne zaklęcie, a straszdyło umknęło, wtapiając się w czarny całun zakrywający niebo. Avaret przyklęknął przy nieprzytomnym Olafie.

– Żyje! – ryknął, słysząc płytki oddech rannego.

Garray dopadł ich zdyszany.

– Zabieramy go stąd czym prędzej! Zanim on powróci!

– Co to do cholery było? – wrzasnął Ervill. – Wiesz czarodzieju? Widziałeś kiedyś w życiu takie kurestwo?

Avaret zauważył, że oczy klęczącego nad Olafem czarodzieja, zaświeciły blaskiem intensywniejszym od tego, który dawał tej nocy księżyc.

– Owszem. Widziałem.

* * *

Biegli.

Miarowy odgłos podeszew uderzających o ubitą, wydeptaną wśród rosnącej trawy drogę, był jedyną melodią wybrzmiewającą pośród zupełnej ciszy. Avaret co rusz unosił głowę ku bezgwiezdnemu niebu, nerwowo wyglądając potwora, który mógł powrócić w każdej chwili. Prawą ręką cały czas ścisnął rękojeść znajdującego się w pochwie miecza, tak mocno, że zrobiła się śliska od potu. Musiał być w pełnej gotowości.

Tuż przed nim biegł Garray. Czarodziej, zaraz po tym, jak stwór odleciał, nie mówiąc wiele, obdarł rękawy swojej koszuli i zacisnął nimi najbardziej krwawiące na ciele Olafa rany. Powstawszy z kolan, wyciągnął rękę nad leżącym nieruchomo mężczyzną. Jego ciało uniosło się powoli, pozostając cały czas sztywnym, a Garray ruszył truchtem w kierunku zabudowań, transportując tym sposobem Olafa u swego boku. Względem najemników ograniczył się jedynie do lakonicznej komendy nakazującej podążyć wraz z nim. Zanim to uczynili, wyjawili im jedynie, że kierować się będą w kierunku karczmy, w której nocowali, by tam ukryć Olafa. Ervill wysunął się na sam przód, aby eskortowana ofiara nie znajdowała się zaraz z brzegu, wystawiona na atak.

Widział to już wcześniej – Avaret przypomniał sobie słowa Garraya. Zakapturzone straszdyło, skrywające całą, prócz oczu, twarz w cieniu, obdarzone monstrualnie długimi pazurami i niemniej groźnym orężem.

Avaret, jak żył, nie słyszał o niczym podobnym. Choć widział już na świecie to i owo, to jednak z podobnym upiorem nie zetknął się jak dotąd nawet słuchając wiejskich bajęd.

Swoją drogą czarodziej potrafi jednak trochę więcej, niż proste, jarmarczne sztuczki – pomyślał. Poczul się nieco pewniej ze świadomością, że biegnie przed nim tak potężny człowiek.

Nie zorientował się nawet, kiedy polna droga ustąpiła miejsca kamiennemu brukowi. Chwilę później otaczały ich już zniszczone, podrapane kamienice, leżące na skraju obszaru zabudowań. Ulica, którą podążali, biegła prosto, jak okiem sięgnął, a karczma znajdowała się po jej prawej stronie, w odległości nie więcej, niż kilkuset stóp. Nim się obejrzał, stali już u jej progu. Ervill, jako że znajdował się na czele, pchnął drzwi i wszedł jako pierwszy.

Wnętrze karczmy było prawie puste. Jedynie dwóch gości siedziało przy

jednym ze stołów, znajdującym się bliżej lady, za którą stał gospodarz. Wbił w nich wzrok zaskoczonych oczu, jednak zanim zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie, przemknęli po schodach na wyższe piętro, gdzie znajdowały się ich izby. Po lewej stronie mieściła się ta należąca do Garraya. To właśnie do niej weszli.

– Zamknijcie drzwi! – zakomenderował czarodziej, gdy już znaleźli się za progiem. Sam ostrożnie ułożył Olafa na swoim pościeliu. Ervill niezwłocznie wykonał jego polecenie.

Avaret zerknął przez okno, lecz nic nie przykuło jego uwagi.

– Wydaje się, że przynajmniej teraz będzie tu bezpieczny – rzekł, wskazując Olafa. Garray siedział na łóżku, grzebiąc w swoim worku. – Możesz nas teraz oświecić? Co to było? Nie potrafię nawet nazwać tego, z czym się właśnie zetknąłem.

Czarodziej nie odpowiedział, jak gdyby w ogóle nie słysząc pytania. W dalszym ciągu penetrował worek, o którym wcześniej Avaret przysięgłby, że jest właściwie pusty. Najemnik czekał cierpliwie na odpowiedź, świadom tego, że w końcu ją usłyszy.

Garray zaczął mamrotać coś niezrozumiale pod nosem. W końcu znalazł w worku to, czego szukał; niewielką, szklaną, błękitno-przeźroczystą fiolkę, wypełnioną do połowy płynem. Lewą ręką złapał Olafa za usta, rozchylając je, a prawą wlał w nie jej zawartość. Prowizorycznymi bandażami owinął rany. Dopiero wtedy odsapnął głośno.

– Zabezpieczyłem to miejsce zaklęciem. To coś nie znajdzie go tutaj tak szybko. Podałem mu też pewną miksturę, która powinna pomóc. Rany są bardzo groźne, ale być może uda się go uratować.

Avaret oparł się o ścianę, zakładając ręce na piersi.

– Wytłumacz nam teraz zatem, czym było to coś.

– Tak!– wtrącił elf. – Jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego. Co to było? Dlaczego zaatakowało Olafa i zabiło pozostałych? Odpowiadaj, Garrayu, czym prędzej, nim ciekawość całkiem mnie pożre!

Burza czarnych włosów wydostała się spod opaski okalającej jego czoło, przesłaniając znaczną część twarzy. Jego ramię w dalszym ciągu krwawiło, jednak podobnie jak większością rzeczy w swoim życiu, wcale się tym nie

przejmował.

Garray usiadł na krześle stojącym tuż przy łóżku. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Już miał coś powiedzieć, gdy naraz usłyszeli głośny stukot na prowadzących na piętro schodach. Averet i Ervill złapali instynktownie za miecze, przypadając do drzwi z obu stron. Przez chwilę zrobiło się zupełnie cicho, nie licząc wybrzmiewającego na schodach rytmu.

Drzwi rozwarły się gwałtownie, lecz nie ukazał się w nich upiór, a Arczi i Sonnet, obaj mocno zdyszani.

– Nie żyje! – wyrzucił z siebie niższy z krasnoludów, podpierając się na kolanach. Zarówno jego, jak i Sonnetę pokrywały kurz i brud świadczący o przebytej drodze. – Lothar nie żyje od przeszło pół roku!

Garray pokiwał głową, jak gdyby wszystko układało się w logiczną całość. Ervill złapał Arcziego za ramię i potrząsnął dość gwałtownie.

– Nie żyje? Jak? Jak udało wam się tak szybko dotrzeć do Povet i stamtąd wrócić?

– Nie dotarliśmy na miejsce. W pół drogi spotkaliśmy podróżnego, rodem z Povet, który zdązał w kierunku Sletoboru. On to właśnie wszystko nam wyjawiał. Zamordowany! Lothar Kunst został brutalnie zamordowany, a zagadki jego śmierci do dzisiaj nie wyjaśniono!

Elf puścił jego ramię.

Więc mamy pewność – pomyślał Avaret, przyglądając się to jednemu, to drugiemu z przybyłych krasnoludów. *W tym wszystkim nie było przypadku.*

Zwrócił głowę w kierunku Garraya. Nadszedł moment, w którym czarodziej miał im przedstawić wyjaśnienie tajemnicy morderstw. Mając świadomość tych oczekiwań, starzec wyprostował się w krześle. Obok niego Ervill półszepem zdawał krasnoludom relację z tego, co zaszło.

– Pora, bym wyjawiał wam to, co już wiem. Stwór, który dopiero co starał się zamordować Olafa var Graffa, nazywa się Tabritan – zawiesił głos, unosząc głowę i przebiegając spojrzeniem po wszystkich zgromadzonych – lecz potocznie nazywany jest demonem zemsty.

Zapadła chwila ciszy. Każdy starał się w myślach poskładać to, co usłyszał, by wysnuć jakiś wniosek.

Pierwszy odezwał się Ervill, błędzący spojrzeniem po suficie ledwie

muśniętym światłem jedynej palącej się w pokoju świeczki.

– Demon zemsty, mówisz. Ale za co on się właściwie mści? Co zaszło pomiędzy nim a leżącym tu Olafem i resztą ofiar? Bądź co bądź ludzie dość rzadko obcują z demonami.

– Tabritan nie mści się dla zadośćuczynienia własnej krzywdzie.

Avaret otworzył szerzej oczy.

– Co to znaczy?

– Ano to – podjął Garray – że działa na czyichś usługach. Widzicie, Tabritan jest demonem, którego może przyzwać jedynie ktoś bardzo mocno pragnący zemsty, za pomocą tajemnego rytuału. Człowiek, który tego dokona, staje się jego panem, władnym wskazywać mu kolejne ofiary.

Ervill zagwizdał melodyjnie.

– Jak możemy się więc dowiedzieć, kto to zrobił?

– My już to wiemy.

Ty draniu – usta Avareta wygięły się lekko ku górze. Wszystko przejrzałeś, ale dopiero teraz nam to mówisz? Cóż, pewnie również w ten sposób, dozując odpowiednio informacje, budujesz swój wizerunek mędrca.

– Kto to? – Arczi oderwał się od ściany, wyciągając przed siebie ręce, jak żebrak łaknący chleba. – Kto za tym stoi?

– Osobą odpowiedzialną za zamordowanie Lothara Kunsta, Alrama Gavena i Garatha Magnusona jest nie kto inny, a Katrina Gaven, wdowa po Alramie.

– Ha! – krzyknął Ervill, wznosząc pięść w triumfalnym geście. – Od początku wam to mówiłem. Jej wina była dla mnie oczywista i nie zdołały mnie zwieść jej fałszywe łyzy.

Przed oczami Avareta przewijały się wszystkie szczegóły, na które zwrócił uwagę w domu Katriny.

Coś musiało ją zdradzić, inaczej skąd Garray wiedziałby, że to ona?

– Jesteś pewien? – zapytał w końcu zrezygnowany. – Dlaczego właśnie ona?

– Cóż, pamiętacie może, że goszcząc w domu Gavenów, zwróciłem uwagę na pewien szczególnie zapach. Zapytałem o niego Katrinę, jednak ta

zbyła mnie dwoma słowami. Wtedy nie uznałem tego za ważne, jednak nie wiem dlaczego, zapach ten nie dawał mi spokoju. Teraz mam już pewność. Spotkałem się z nim wcześniej jedynie raz, wiele lat temu, właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy miałem do czynienia z Tabritanem.

– Nie powiem, żebym go jakoś specjalnie obwąchiwał, bo i nie było jak – wtrącił się Ervill – ale nie wyczułem od niego żadnego smrodu.

Garray znowu pokręcił głową, jak miał już w zwyczaju czynić, gdy elf wygłaszał jedną ze swoich uwag.

– Nie mówię o zapachu demona, a o unikalnej mieszance rzadkich ziół, które podczas spalania, co jest ważną częścią rytuału przyzywającego, wydzielają specyficzny aromat. Aromat ten unosił się w całym domu Gavenów, począwszy od progu.

Ervill rozdziawił usta i odchylił głowę do tyłu w geście zrozumienia.

Nagle Olaf wierzgnął gwałtownie na łóżku.

– Pierrdolona... kurrwa – wycharczał, wykrzywając usta. Cały czas zdawał się jednak nieprzytomny, jego powieki pozostawały zamknięte. Wszyscy zwrócili na niego uwagę swoich oczu. Olaf wygiął plecy w łuk, po brodzie pociekła mu ślina. – Mogłem ją zaaabić... – dodał jeszcze, po czym opadł na posłanie i znieruchomiał.

– Cóż – odezwał się Ervill – chyba czas już zaprowadzić Katrinę przed wymiar sprawiedliwości. Nasz przyjaciel wyraźnie się tego dopomina. Nie zwlekajmy! Ruszajmy do niej od razu!

– Tak jest! – Arczi uniósł pięść do góry. – Ruszajmy!

– Chwileczkę – Garray stonował ich zapał, wyciągając przed siebie prawą dłoń. – Nie zapominajmy o Tabritanie. Co prawda obłożyłem ten pokój zaklęciem ochronnym, ale myślę, że dodatkowa protekcja Olafowi na pewno nie zaszkodzi.

Następne słowa skierował ku obu krasnoludom:

– Zostańcie tutaj i nie odstępście łoża rannego. Na wszelki wypadek. My w tym czasie złożymy ponowną wizytę wdowie Gaven.

Arczi i Sonnet, choć niechętnie, przystali na ten pomysł.

* * *

W okolicy było cicho i spokojnie. Dom Gavenów, wieńczący drogę wspinającą się do niego po całym wzgórzu, sprawiał wrażenie pogrążonego w niezmaconym śnie. Avaret czuł się niemal jak włamywacz.

Dopiero gdy stanęli na ganku, dostrzegli pierwszy symptom świadczący o tym, że coś może być nie tak. Drzwi wejściowe, miast być zaryglowane na cztery spusty, co jest zwyczajnym stanem rzeczy o tej porze, pozostawiały wąską szparę. Wydostawał się przez nią snop migającego światła, mający swe źródło najpewniej w jakimś niezgaszony świeczniku, stojącym gdzieś tuż za progiem.

Garray pchnął lekko drzwi, odsłaniając wnętrze domu. Od razu rzucił im się w oczy kaganek pozostawiony na zbitej z ciemnego drewna komodzie. Pełgający na nim żółto-czerwony płomień był jedyną rzeczą, jaka się w domu poruszała. Cała trójka poczęła się rozglądać, omiatając wzrokiem muśnięte delikatnym blaskiem księżycy stoły, krzesła, schody wiodące na piętro oraz znajdujące się na nim balustrady.

– Patrzcie! – rzucił Ervill przyciszonym głosem.

W ścianie po jego lewej ręce znajdowało się wejście do piwnicy, odkryte przez otwarte na oścież drzwi. Garray złapał za kaganek i stawiając pierwszy krok na prowadzących do niej schodach, gestem dał znak Avaretowi i Ervilowi, by zeszli za nim. Kaganek dawał tak słabe światło, że nie byli w stanie dostrzec niczego poniżej dwóch najbliższych stopni. Zejście było dość strome, a do tego tak długie, że Avaret zaczął już myśleć, że wiedzie do samego piekła, gdy wtem dojrzał kolejną łunę, wydostającą się z podziemnych czeluści. Z każdym schodem stawała się wyrazistsza, aż w końcu dało się dostrzec wyłożoną kamieniem podłogę.

Pośrodku sporej piwnicy, oświetlonej wiszącymi na ścianach pochodniami, leżało ciało, twarzą zwrócone ku ziemi.

– Trup – rzekł beznamiętnie Ervill. – Kolejny, którego możemy dopisać do rosnącej listy. Ciekaw jestem, kto tym razem.

Jako że środek podziemnego pomieszczenia był najslabiej oświetlonym miejscem, elf przejął od czarodzieja kaganek i postąpił w kierunku leżącego nieruchomo ciała. Idący krok za nim Avaret poczuł pod stopami wilgoć. Spuściwszy wzrok, zdał sobie sprawę, że z ciała sączy się strużka krwi, która zdążyła już pokryć sporą część podłogi.

Znalazłszy się w bezpośrednim sąsiedztwie ofiary, Ervill przykucnął, przewrócił ją na plecy i przybliżył kaganek do jej twarzy.

– Jasna cholera – wymamrotał z niedowierzaniem. – To Katrina.

Kątem oka Avaret dojrzał za sobą sylwetkę Gararya, który stanął jak wryty.

– To niemożliwe. Demon nie może wydostać się spod władzy tego, kto go przyzwał. Nie może go zabić.

Avaret spojrzał prosto w oczy czarodzieja. Przez jego głowę przewaliła się lawina myśli. Niektóre z nich zatrzymały się na chwilę. I sprawiły, że zaczęły rozumieć.

– Chyba że...

Od strony schodów dobiegł ich odgłos stawianych miękko kroków.

– Chyba że – podjął chłodny, metaliczny głos – to nie Katrina wezwała demona.

Najpierw ujrzeli drobne stopy, ostrożnie stąpające po każdym z kolejnych stopni. Wokół nóg, skrytych pod sięgającą kostek spódnicą, falował równie ciemny, jak ona, materiał peleryny. Na koniec ukazała się głowa i, mimo że twarz skryta była pod kapturem, Avaret już wiedział, do kogo należy.

– Adelia – rzekł, wbijając w nią spojrzenie swych błękitnych, przenikliwych oczu.

Dziewczyna uniosła ręce i odrzuciła z głowy kaptur, ukazując ostre rysy i krwistoczerwone usta.

– Ona? – rzucił niemało zaskoczony Ervill. Rozluźnił mięśnie po krótkiej chwili napięcia i wyprostował się. – Przecież to tylko służka. Dlaczego?

Adelia zacisnęła usta.

– Ja głupcze. I właśnie dlatego, że byłem zwykłą służką, nikt mnie nie podejrzewał. Któż zwraca swoją uwagę na kogoś znaczącego tak niewiele?

– Ale dlaczego? – Garray przejął inicjatywę, przemawiając miękim głosem, który z pewnością miał uspokoić dziewczynę. – Czym zawiniła ci czwórka byłych najemników, których na twój rozkaz zabił Tabritan? Czym zasłużyła sobie na twoją zemstę Katrina?

Avaret zerknął na czarodzieja.

Czwórka. No tak, Adelia może nie wiedzieć, że udało nam się uratować Olafa. Wciąż żyje, a przynajmniej żył, gdy opuszczaliśmy karczmę. Przekonana o jego śmierci, nie spróbuje ponownie nasłać na niego demona. Tylko czy on sam nie wróci, by dokończyć dzieła? Niemniej lepiej nie wyprowadzać jej z błędu.

Spojrzał kątem oka na Ervilla obawiając się, że ten wszystko wypapla. Szczęśliwie jednak elf wyjątkowo zachował chłodną głowę i dalej stał niewzruszony z zaciśniętymi wargami.

– Katrina nie miała zginąć. Przynajmniej tego nie planowałam. Nakryła mnie tu dzisiaj, gdy odprawiałam rytuał. Zresztą od dawna się już czegoś domyślała.

– Broniłaś jej – przypomniał sobie Avaret. – Broniłaś jej, gdy nasze podejrzania skupiły się na jej osobie. Musiało ci na niej zależeć, a mimo to ją zabiłaś. Wydarzyło się coś strasznego, skoro z taką determinacją dążysz do zemsty. Ci najemnicy...

Adelia odrzuciła głowę do tyłu, wybuchając głośnym, szaleńczym śmiechem, który wypełnił wnętrze piwnicy, odbijając się od jednej ściany do drugiej.

– Najemnicy? To nie byli żadni najemnicy, a zwykłe, podłe zbóje. Oczywiście, że miałam powód, by pragnąć ich krwi, by pożądać ich bolesnej i straszliwej śmierci. Nienawiść i chęć zemsty wypełniały mnie od stóp do głów, odkąd skończyłam pięć lat. Odkąd poznałam całą czwórkę. Chcecie usłyszeć historię? Oto ona.

Gdzieś na górze trzasnęły drzwi, a wiatr, który się ze świstem przez nie wdarł, nie mógł być zwykłym wiatrem.

To Tabritan.

– Mój ojciec był całkiem zamożnym kupcem – zaczęła Adelia, nie zwracając żadnej uwagi na łomot dobiegający z góry. – On, matka i ja mieszkaliśmy w Atarze, daleko stąd. Swoje wczesne dzieciństwo wspominam bardzo dobrze. Tak, to był szczęśliwy czas.

Zawiesiła na chwilę głos. Wśród zaległej ciszy Avaret dosłyszał słaby odgłos kroków stawianych na wiodących w dół schodach. Ustały w momencie, gdy już spodziewał się ujrzeć tuż przy boku Adelii sylwetkę

demona.

Jest tuż za jej plecami.

Kątem oka złowił, niespokojny ruch czarodzieja. Jego twarz zastygła w wyrazie wysokiego napięcia.

– Razu pewnego, gdy liczyłam sobie zaledwie pięć lat, ojciec obwieścił mnie i mojej matce, że porzucamy tę dziurę, jaką był Atar. Że interesy idą na tyle dobrze, że najwyższy czas przeprowadzić się do pokaźniejszego miasta, do większej wygody i luksusów. W mieście takim, jak argumentował, jego działalność wkroczy na wyższy poziom rozwoju, co zapewni nam dostatni byt. Zarówno mnie, jak i matkę niezmiernie uradowała taka perspektywa. Nie powiem, żebyśmy w Atarze klepali biedę, ale widać było, że interes ojca, wcale już nieźle prosperujący, może dać jeszcze większe owoce, gdyby zapewnić mu odpowiednie środowisko. Krótko mówiąc, jakiś czas później byliśmy już gotowi, by osiedlić się w Markalcie. Ojciec zakupił wozy, na których zmieściły się nie tylko drogocenne dywany, którymi handlował, ale i cały nasz dobytek, wraz z oszczędnościami jego życia. Wiedząc, że w dalekiej drodze, jaka nas czekała, taka karawana może być łatwym łupem dla grasujących zbójów, zapewnił nam ochronę najemników.

Przerwała na chwilę. W miarę, jak zmierzała do końca opowieści, jej oczy płonęły coraz bardziej, a łuna nienawiści, jaką łatwo można było w nich dostrzec, sprawiła, że po plecach Avareta przeszedł dreszcz.

– Najemnicy! – prychnęła pogardliwie, wykrzywiając usta w upiornym grymasie. – Część z nich, owszem, była nimi. Ale ta czwórka? Wystarczyło ujechać kawałek drogi, a ujawniła się ich prawdziwa profesja.

Avaret spostrzegł, że na twarzy czarodzieja malują się troska i zrozumienie. Oraz że już wie, jaki był finał tej przykrew historii. Powoli sam się już go domyślał.

– Trzeciej nocy – podjęła chłodno dziewczyna – poderżnęli gardła swym kompanom, gdy ci byli pogrążeni w śnie. Nie inaczej uczynili z moim ojcem, a nawet matką.

– Widziałaś to na własne oczy – rzekł spokojnie Garray. – Widziałaś, jak zabijają twoich rodziców.

Adelia zamyśliła się, wyraźnie zaskoczona nutą zrozumienia, jaką

odnalazła w głosie starego mężczyzny.

– Tak – przyznała. Jej ton stał się inny, przynajmniej częściowo opuściły go chłód i nienawiść. – Patrzyłam bezradnie na ich śmierć, kryjąc się pod kocem, który naturalnie nie był dla mnie żadną osłoną. Patrzyłam i trzęsłam się ze strachu. A gdy rodzice leżeli już martwi i ich krew wsiąkała w ziemię, zatrzęsłam się jeszcze bardziej. Bo cztery podłe kreatury, które dopiero co wyrznęły swoich towarzyszy, wbiły wzrok swych plugawych oczu w kształt poruszający się pod kocem. Prędko mnie spod niego wygrzebali, zanosząc się śmiechem. I popełnili błąd, którego pożałowali dopiero po wielu latach.

– Puścili cię wolno – rzekł Avaret.

– Początkowo chcieli mnie zabić jak resztę. Alram się jednak temu sprzeciwił. Nie widział w tym sensu, stwierdzając, że nic im z mojej strony nie grozi. Oraz że zginę wśród bezkresnych równin, które nas otaczały. Reszta nie oponowała zbyt, będąc już myślami przy łupach, jakie właśnie zdobyli. Zostawili mnie samą, lecz jakoś przeżyłam. Ku ich zgubie. Oraz – uśmiechnęła się pogardliwie – niemałemu zdziwieniu. Tak, wydaje mi się, że Olaf i Garath rozpoznali mnie, już po śmierci Alrama. Dodali dwa do dwóch i zdecydowali się uciekać. Zbyt późno.

W piwnicy zaległa cisza. Avaret nie mógł się powstrzymać przed spojrzeniem na dziewczynę bardziej przychylnym okiem, pomimo czynów, jakich się dopuściła.

W końcu gdyby nie ta banda, jej życie potoczyłoby się w zgoła odmienny sposób, a ona sama stałaby się innym człowiekiem.

Myśli te rozbiegły się jednak, gdy odezwał się Garray.

– Los ciężko cię doświadczył Adelio, a czyn, jakiego dopuściły się te łotry, rozbudziłyby chęć odwetu i pragnienie sprawiedliwości w każdym człowieku. A ty byłaś zaledwie dzieckiem. Nie można mieć ci za złe tego, jaką nienawiścią pałałaś do oprawców twojej rodziny. Lecz twoja zemsta sięgnęła za daleko, pociągając za sobą niewinną ofiarę, jaką była Katrina.

Usta Adelii rozbiegły się ukazując rząd białych zębów.

– Katrina... Krzyczała jak zarzynana świnia, gdy podchodziłam do niej z nożem w ręku. Niewinna ofiara? Moi rodzice również nie byli niczemu winni.

W tym momencie stało się jasne, że pragnienie zemsty wypaliło w niej całą niewinność, nie pozostawiając żadnej cząstki dziecka, jakim kiedyś była. Człowiek, którym się urodziła, nie przeżył długo jej własnych rodziców. Avaret uniósł miecz do góry i postąpił w jej kierunku, oświetlany migotliwym blaskiem pochodni zawieszonych na ścianach. Ervill, niewiele się namyślając, podążył za przyjacielem.

Wtem Adelia zaniósła się szaleńczym śmiechem, a jej płaszcz załopotał wprawiony w ruch przez kształt, który obok niej przemknął. Coś rąbnęło Avareta w czoło tak, że na chwilę pociemniało mu przed oczami. Zauważywszy niespodziewany atak, Ervill doskoczył do Avareta najszybciej, jak mógł, zagrządzając tym samym drogę Tabritanowi. Ciął na odlew, lecz demon zdążył uchronić się przed ciosem, dobywając oręża i parując uderzenie. Elf nie pozwolił mu jednak przejść do ataku, zadając kolejny cios, tym razem z góry, który jednak również napotkał na swej drodze szeroką szablę Tabritana. Seria pchnięć, parad i uników, jaką następnie między sobą wymienili, doprowadziła elfa pod samą ścianę.

W tym momencie do walki włączył się Garray. Uniósł obie dłonie na wysokość klatki piersiowej, odsuwając każdy z palców możliwie najdalej od sąsiadujących. Jego brwi zadrżały, nim z każdego z nich wypłynął strumień bladoniebieskiego światła, godzący następnie w korpus demona. Moc, z jaką zaatakował czarodziej, odrzuciła jego przeciwnika na kilka stóp w tył. Avaret wykorzystał sytuację i dopadł demona, tnąc oburącz na odlew. Tabritan wydał z siebie krótki syk, gdy ostrze rozdarło jego postrzępione ubranie. Z dziury nie wypłynęło jednak nic, co choć w najmniejszym stopniu mogłoby przypominać krew. Najemnik, nieco tym zaskoczony, wycofał się o dwa kroki. Powiódł spojrzeniem po ścianach i kątach piwnicy.

– Zniknęła! – zawołał do towarzyszy stojących za nim. – Adelia uciekła!

– Za nią! – wrzasnął Ervill.

Jego dłoń zacisnęła się silniej na mieczu, podczas gdy on sam zwinnym susem minął Tabritana. Cięcie szerokiej szabli, mające zatrzymać elfa, okazało się o co najmniej pół oddechu spóźnione. Elf dopadł schodów i przeskakując po dwa, trzy naraz, pomknął ku górze. Wściekły demon wydał z siebie charczący dźwięk, po czym, ignorując pozostałą na placu boju dwójkę, ruszył w ślad za nim. Jego obute w czarną skórę stopy zdawały się

nie dotykać podłoża, postrzępiona peleryna łopotała, ocierając się o ściany ogradzające wąskie zejście do podziemi.

– Kurwa mać! – zaklął soczyście Avaret, po czym skoczył ku schodom niemniej zwinnie, niż jego przyjaciel tuż przed momentem.

Kilka uderzeń serca później był już na zewnątrz. Ciemne chmury zasnuły księżyc, spuszczać na ziemię zasłonę mroku. Trudno było dostrzec cokolwiek w takich warunkach.

Jasna cholera! Gdzie oni są?

Jak gdyby czytając w myślach najemnika, Garray stanął tuż za jego plecami, wyciągnął prawą rękę ku górze i złożył dłoń w taki sposób, że kciuk niemal stykał się z pozostałymi palcami, tworząc nieomknięty okrąg. Spomiędzy palców wystrzeliła błyskawica, która oświetliła na krótki moment całe wzgórze. W tej samej chwili ich uszu dobiegł krzyk; w świetle błyskawicy dojrzeli Ervilla dopadającego Adelii. Kilka stóp nad jego głową unosił się Tabritan, zamierzając się na niego swą szablą.

– Szybko! – warknął Avaret. – Zrób coś, nim go zabije!

Sam, nie czekając na reakcję towarzysza, pomknął w kierunku walczących, wyciągając przed siebie długie nogi najszybciej, jak umiał.

Nie zdążę. Zrób coś, bo on go zabije!

Nagle coś, jakaś niewidzialna siła, przemknęło mu tuż nad głową, podrywając do góry kilka kosmyków jasnych włosów. Ciągłe biegąc, uniósł nieco głowę. Nie dostrzegł zupełnie nic, jednak pół oddechu później coś ugodziło w Tabritana tak mocno, że nie wiadomo, na jaką odległość odrzuciłaby go ta siła, gdyby na jego drodze nie stanął wysoki, stary modrzew. Demon przykleił się do niego na krótką chwilę, po czym zsunął bezwładnie w dół, wprawiając potrącane gałęzie w miarowy, falisty ruch. Ujrawszy to, Ervill stracił na krótki moment koncentrację, wbijając w powalonego demona spojrzenie zdumionych oczu.

Ty idioto! – przeklął go w myślach Avaret, nie zwalniając biegu.

Rysy Adelii wygięły się w chytrym grymasie. Jej dłoń sięgnęła pod płaszcz, dobywając ostrego, błyszczącego noża. Avaret zdał sobie sprawę, że widzi to wszystko, ponieważ kolejna błyskawica Garraya rozdarła niebo nad nimi. Lecz, podobnie jak poprzednia, musiała za chwilę zgasnąć. Próbował

krzyknąć, lecz głos uwiązł mu w gardle. W jego głowie kołatała się tylko jedna myśl. Jedno rozwiązanie.

W gasnącym świetle błyskawicy odchylił za siebie dzierzony w dłoni miecz tak daleko, jak tylko mógł. Jego kości niemal zatrzeszczały, w napiętych mięśniach poczuł dojmujący ból. Nim ponownie zapanował całkowity mrok, zdążył cisnąć mieczem w kierunku Adelii.

Najpierw usłyszał krzyk. Potem charknięcie. A na końcu, gdy już był na tyle blisko, by ujrzeć swoje własne ostrze tkwiące w brzuchu konającej na rękach Ervilla dziewczyny, usłyszał jej cichy, urywany szloch.

– To niesprawiedliwe... Niesprawiedliwe... – wyszeptała z najwyższym trudem, walcząc z wylewającą się z ust krwią. Nim dołączył do nich Garray, była już martwa. Po Tabritanie zaś nie został nawet ślad.

* * *

Wracali. Przez zasnuwające niebo chmury przebijały się pierwsze promyki wschodzącego słońca, nadając ich pochodowi niemal symboliczne znaczenie. Avaret niósł na rękach ciało martwej Adelii. Garray był zbyt wyczerpany walką, by użyć im jeszcze ten jeden raz swej magicznej mocy, a Ervill przypomniał sobie o ranie, którą zadał mu Tabritan znacznie wcześniej, gdy złożyli wizytę Olafowi.

– Więc on już nie wróci? – Ervill skierował spojrzenie w kierunku idącego po jego prawej stronie Garraya. – Pogoniliśmy go na dobre?

– Nie wróci. To osoba Adelii wiązała go z tym światem. Jeśli ona nie żyje, Tabritan nie ma tu czego szukać. Dopóki nie przyzwie go ktoś inny.

– Dopóki nie przyzwie go ktoś inny – powtórzył elf, pograżając się w zadumie.

* * *

Siedziba burmistrza miasta mieściła się na piętrze eleganckiego, zadbanego budynku wznoszącego się na południowej pierzei rynku. Tordas Duben, który piastował to zacne stanowisko, spoglądał przez okno, przypatrując się krzątaniu, jaka zazwyczaj na nim panowała. Za jego plecami siedzieli Avaret i Ervill.

– Wszystko, co właśnie usłyszałem, jest jak najbardziej niewiarygodne – rzekł powoli, z wielkim mozołem wypowiadając każde słowo. – Zdajecie

sobie z tego sprawę?

Żaden z najemników nie odpowiedział.

– Zapłatę oczywiście otrzymacie, nie bójcie się o to – podjął Tordas Duben nie doczekawszy się odpowiedzi. Odwrócił się w stronę rozmówców i skierował ku nim swoje spojrzenie. – Niemniej wersja, jaka zostanie oficjalnie przedstawiona, będzie się nieco różnić od tego, co raczyliście mi opowiedzieć. Ujmę to w ten sposób: żadnego demona nie było. Adelia była obłąkana i zabijała ludzi bez wyraźnej przyczyny. Wam udało się ją zdemaskować, lecz gdy próbowaliście przyprowadzić ją przed wymiar sprawiedliwości, wywiązała się walka, w wyniku której nieszczęśliwie zginęła. Co wy na to?

Ervill prychnął drwiąco.

– W tym steku bzdur nie ma ziarenka prawdy – rzekł zniesmaczony Avaret. – Jakim sposobem dałaby radę zabić trójkę sprawnych mężczyzn, zadając im tak okrutne obrażenia?

– Mało kto widział tak naprawdę te ciała, panie Avarecie. Ogłosi się, że wieści o zmasakrowanych zwłokach były jedynie plotkami. W rzeczywistości zaś zostali zaskoczeni bądź otruci.

– To nie wszystko – Avaret wstał. – Adelia nie była obłąkana. Demon nie zabijał bez powodu. Olaf, gdy tylko wyzdrowieje, musi stanąć przed sądem. A wyrok powinien być surowy.

Tordas ponownie odwrócił się ku oknu, chowając ręce za plecami.

– To miasto bardzo rozwinęło się w ostatnich latach. Widzicie, jaki piękny bruk pokrywa nasz rynek? Jaki wspaniały dzwon stoi na samym jego środku? Rozbrzmiewa tylko w razie pożaru bądź wrogiej napaści, a jego dźwięk niesie się po całym mieście, zawiadamiając o niebezpieczeństwie wszystkich mieszkańców. O, a ta fontanna tuż obok niego? Daje każdemu ochłodę w upalne letnie dni – odwrócił się z powrotem ku najemnikom, napotykać ich twarde spojrzenia.

– Do czego zmierzasz? – spytał Avaret, w głębi ducha domyślając się już przyczyny tej pozornie nic nieznaczącej dygresji.

– Olaf wiele uczynił dla tego miasta. Nie ma już tej pozycji, co przed laty, interesy nie wiodą mu się już tak dobrze, jednak w dalszym ciągu pozostaje

jednym z najważniejszych i najbardziej wpływowych obywateli.

– Jednym słowem żadnego procesu nie będzie?

– Jednym słowem: nie.

* * *

Siedzieli przy karczemnym stole, racząc się słynną sletoborską wódką. Wewnątrz panowało wielkie ożywienie; strach i groza zniknęły z serc mieszkańców, w związku z czym atmosfera stała się dalece weselsza. Zewsząd słyhać było śmiech i gromkie krzyki. Jedynie przy stole zajmowanym przez Avareta i Ervilla panowała cisza, czemu nie zdołała się przeciwstawić nawet niemal całkowicie osuszona butelka.

Wcześniej, tego samego dnia, Garray pożegnał się z nimi i odjechał na zachód.

– Życie jest przewrotne, pełne niespodzianek, niesprawiedliwości i goryczy – rzekł im dosiadając konia. – Możemy robić, co w naszej mocy, by to zmienić, lecz nigdy nie zdołamy wszystkiego naprawić.

Również Arczi i Sonnet opuścili miasto. Arczi skwitował całą sytuację zwykłym „tak to już bywa”, Sonnet zaś jedynie wzruszył ramionami, robiąc minę, która mówiła: „nic nie poradzisz”.

Na górze, nad ich głowami, Olaf walczył z zadanymi przez demona ranami. Jeśli udałoby mu się wygrać, miał wieść dalej spokojne życie poważanego mieszkańca. Avaret, cały czas bijąc się z myślami, łypnął na elfa siedzącego po drugiej stronie stołu. Ervill westchnął.

– No dobra. Widzę, co zamierzasz.

Pomimo wypitego alkoholu wydawał się poważny, co zdarzało się mu wyjątkowo rzadko nawet na trzeźwo. Avaret zdążył poznać elfa na tyle, by domyślać się, że poza lekkoducha jest, przynajmniej w jakiejś części, jedynie maską skrywającą rozgoryczenie, zawód i złość oraz pewien rodzaj tęsknoty za poprzednim życiem i daleką ojczyzną, z której został wypędzony. Maską była również swego rodzaju usprawiedliwieniem, w które sam elf po trosze wierzył, rozgrzeszającym go z przewinień wcześniejszych lat. Nadawała mu beztroski wygląd kogoś, kto pozornie o nic nie dba.

Jednak w rzeczywistości Ervill krył w sobie o wiele więcej. W zatłoczonej karczmie, przy brudnym, krzywym stole, jego maska nieco się obsunęła,

ukazując część jego prawdziwego oblicza.

– Jasna cholera! – warknął zawiedziony. – Zawsze musisz taki być? Nie możesz nigdy odpuścić?

Avaret milczał. Powziął już decyzję i nie zamierzał od niej odchodzić. W końcu Ervill westchnął głośno, rozluźniając napięty kark. Dał za wygraną.

– Będziemy musieli uciekać.

– Będziemy musieli.

– Znowu.

Avaret skinął głową. Elf nabrał powietrza i przygryzając wargę, pokręcił głową. W końcu podniósł się.

– Idę przygotować konie. Zrób to szybko.

Avaret był pewien, że nikt z biesiadujących na dole ludzi nie zwrócił najmniejszej uwagi na wysokiego mężczyznę o jasnych włosach, wspinającego się po schodach na górne piętro. Gdy już się na nim znalazł, pchnął niezwłocznie drzwi, za którymi znajdowała się izba służąca obecnie Olafowi. Medyk odwiedził go wcześniej tego dnia i opatrzył jego rany, resztę pozostawiając, jak to ujął „sile wyższej”. Późnym wieczorem w pokoju nie powinien znajdować się nikt, prócz samego rannego. Avaret cicho zamknął za sobą drzwi i wolnym krokiem podszedł do łóżka.

Olaf spał. Jego oddech był nieregularny, na twarzy zaś malował się wyraz głębokiego cierpienia. Avaret pochylił się nad nim, by uczynić to, co zamierzał.

– Po raz drugi dajesz się podejść, przyjacielu – usłyszał za plecami znajomy głos.

Odwrócił się gwałtownie, zupełnie zaskoczony czyjąś obecnością. Z krzesła, stojącego przy ścianie tuż pod oknem, podniósł się mężczyzna, a gdy już się wyprostował, snop bladego, księżycowego światła, wdzierającego się przez okno, uczynił jego sylwetkę znajomą.

– Garray – szepnął Avaret. Już miał spytać, jak się tu znalazł, skoro przecież wyjechał, jednak zreflektował się w porę.

Czarodzieje – pomyślał. – Co tu robisz?

– Czekam na ciebie, oczywiście. Spodziewałem się, że prędzej, czy

później tu zagłędziesz. Raczej prędzej, nawiasem mówiąc, wszak masz silnie rozbudowane poczucie tego, co uważasz za słuszne, co raczej nie każe ci długo zwlekać z decyzją.

– Istotnie.

– A decyzja, jaką podjąłeś, każe ci zabić Olafa.

Tym razem nie odpowiedział.

– Nie uważasz, że nie nam decydować o życiu i śmierci innych? Że takie sprawy winniśmy zostawić losowi? Dalszemu biegowi wydarzeń? Świat nigdy nie będzie idealny, wiesz o tym dobrze.

– Nie, nie będzie – odparł Avaret. – Nie będzie tym bardziej, jeśli zdecydujemy się pozostawiać pewne rzeczy, jak to ująłeś, biegowi wydarzeń. My decydujemy o tym, jaki jest ten świat. Jeśli ktoś swą zbrodnią zasłużył na śmierć, nie pozostaje nam nic innego, jak mu ją zadać. To nazywam sprawiedliwością. To jest sprawiedliwością. Jeśli tylko mamy taką możliwość, powinniśmy ją wymierzać. A ten człowiek, ponad wszelką wątpliwość, na nią zasłużył.

– A siła wyższa? Wierzysz w jakąś?

– Bogowie? Owszem, wierzę w jednego. Tego, który wszystko stworzył. I który na tym poprzestał, zostawiając całą resztę nam samym. Jesteśmy panami swojego losu, Garrayu. Jeśli ktoś ma wymierzać sprawiedliwość, to właśnie my.

– Zatem zrób to.

Avaret drgnął, nieco zbity z tropu.

– Co?

– Zabij go. Po to tu wszak przyszedłeś.

– Myślałem... Myślałem, że zamierzasz mnie przed tym właśnie powstrzymać...

Czarodziej pokręcił głową.

– Nie, Avarecie, nie zamierzam. Pragnąłem tylko usłyszeć argumentację czynu, jakiego zamierzasz się dopuścić. Chciałem się upewnić, że wiesz, co robisz. Że znajdujesz w tym sens. I upewniłem się. Lecz niejednokrotnie los płata nam figle, przyjacielu i wyręcza nas w najmniej spodziewanym

momencie.

– Co masz na myśli?

– Wsłuchaj się, Avarecie, w melodię ciszy wybrzmiewającą w tej izbie.

Avaret wytężył słuch. Nasłuchiwał i nasłuchiwał, jednak jego uszu nie dobiegał już żaden dźwięk.

Łącznie z nieregularnym oddechem Olafa.

W księżycową straszną noc

W zachowaniu sołtysa było coś dziwnego i dało się to wyczuć od samego początku rozmowy.

– A więc, panie Gamalt – zaczął Avaret, z uwagą obserwując jego ruchy.
– Cóż to za robotę jest pan skłonny nam zaproponować?

Sołtys wykrzywił mięsiste wargi w wyrazie starającym się imitować uśmiech, okazując przy okazji szereg nierównych zębów. Utrzymanie kontaktu wzrokowego sprawiało mu wyraźną trudność; raz po raz strzelał spojrzeniem po wszystkich czterech kątach izby, marszcząc przy tym czoło. Nie znajdowało się w nich jednak nic, co zachęcałoby do skupienia na sobie uwagi przez dłuższy moment, dlatego też ponownie zwracał się w kierunku najemników. Po krótkiej pauzie rozpoczął całą sekwencję od nowa.

Trzy, czy cztery takie rundy zdążyły zniecierpliwic Ervilla.

– Panie Gamalt, czekamy. Cóż to za osobliwa sprawa, że z takim trudem przychodzi ją panu wyłożyć?

Sołtys parsknął wymuszonym, zupełnie nienaturalnym śmiechem.

– Jaka tam osobliwa, mości panowie, jaka tam osobliwa. Zwyczajna, prosta i szybka robota. Aż głupio prosić o pomoc tak zacne osobistości.

Elfie uszy Ervilla, zawsze łase na podobne pochlebstwa, poruszyły się lekko. W przeciwieństwie do przyjaciela Avaret od razu wyczuł, że przymilny ton ich rozmówcy powodowany jest jedynie pragnieniem nakłonienia najemników do przyjęcia oferowanego zlecenia.

– Głupia to sprawa, naprawdę. Wczoraj dosłownie, jeszcze zanim przybyliście do Lasku, jeden z miejscowych pijaków postanowił zakończyć swój marny żywot, wieszając się na konarze dębu. Nikt po nim raczej płakać nie będzie, wypada jednak biedaka jakoś pogrzebać.

– Nie jesteśmy grabarzami. – Spojrzenie przenikliwych błękitnych oczu

Avareta ugodziło Gamalta tak mocno, że ten aż cofnął się na siedzeniu.

– Nie, nie, nie. – Sołtys począł machać nerwowo rękami, starając się ułagodzić swoich gości. – To trochę bardziej skomplikowana sprawa. Widzicie, miejscowi ludzie są bardzo przesądni. Wierzą w różne gusła, czary i zabobony. Dlatego też zwykliśmy nie chować wśród innych zmarłych tych, którzy sami odebrali sobie życie.

– Do rzeczy – ponaglił go Avaret.

– Oczywiście. Na zboczu góry wznoszącej się nad wsią znajduje się polana. Nazywamy ją Wisielcówką. Od wieków grzebiemy tam wszystkich samobójców; tak robiono za czasów mojego ojca, wcześniej jego ojca i tak dalej. Chciałbym was wynająć do zajęcia się tą sprawą.

Avaret zagryzł dolną wargę, drapiąc się po pokrytej kilkudniowym zarostem szyi. Przedstawione przez sołtysa szczegóły niewiele zmieniały: wciąż przypadały im role grabarzy. Mógłby kręcić nosem na taką robotę, gdyby nie fakt, że ich sakiewki były już zupełnie puste, a od czasu pożegnania się z ochranianą w trakcie przejazdu przez przełęcz Garolth karawaną kupców mijał równy miesiąc. Jeśli w trakcie rozmowy poczuł jakiś niepokój związany z zachowaniem gospodarza, to został on zduszony niemal w samym zarodku zwykłą potrzebą materialną.

– Dlaczego nikt z miejscowych nie może się tym zająć? – spytał zrezygnowanym tonem, w duchu akceptując już przedłożoną propozycję.

Gamalt po raz któryś uciekł spojrzeniem, skupiając się tym razem na stojącym pod ścianą drewnianym wiadrze. Grube palce drżały mu lekko, choć zauważalnie.

– Przesady, głupie przesady. Dawno nie zdarzyło się u nas, by ktoś sam targnął się na swoje życie. Ludzie boją się jakiejś klątwy, czy czegoś podobnego. Przysięgam, że gdybym był odrobinę młodszy, sam zarzuciłbym nieboszczyka na plecy i zaniósł go na polanę. Ale lata już nie te...

Ervill wstał raptownie, wyciągając przed siebie prawą rękę.

– Proszę się nie trapić, panie Gamalt. Nie pozwolimy, by tak zacny człowiek nadweręzał swoje starcze siły. Zajmiemy się tym.

Avaret westchnął. Znając elfa od wielu lat, mógł bez trudu odgadnąć, że jego nagłej reakcji nie wywołała bynajmniej smutna wizja męczącego się

ponad miarę podstarzałego sołtysa, a raczej chęć pofolgowania pijackiemu nałogowi. W zaistniałych okolicznościach perspektywa łatwego zarobku spychała na bok resztki honoru, liczyły się tylko pieniądze, za które można było się napić w trakcie najbliższego wieczoru.

Mięsiste palce Gamalta oplotły rękę Ervilla potwierdzając zawarcie umowy i choć Avaretowi zupełnie nie w smak była taka robota, to wiedział, że zwyczajnie nie mogą jej odrzucić.

* * *

– Jesteśmy zwykłymi dziwkami!

To nadzwyczaj mocne stwierdzenie niemal wystrzeliło z ust Ervilla, w trakcie, gdy podnosił się z ziemi po dość feralnym upadku. W drodze na polanę jako pierwszemu wypadło mu nieść owinięte płótnem od stóp do głów ciało, podczas gdy Avaret kroczył pod górę obciążony jedynie dwiema łopatami. Stopy elfa rozjechały się w zalegającym wciąż po stopniastych śniegach błocie, w wyniku czego upuścił trupa, koziołkując wraz z nim w dół zbocza.

– Nie oceniaj nas tak surowo – rzekł Avaret z trudem powstrzymując śmiech. Tak, jak się spodziewał, nie minęło dużo czasu, zanim zgasał początkowy zapal jego towarzysza. – Ranisz mnie podobnymi porównaniami. Nie godzimy się pracować dla każdego, kto zaświeci nam sakiewką przed oczami, z marszu odmawiając wszystkim osobnikom o wątpliwej reputacji. Przyznasz, że w naszej karierze zdarzyło nam się odrzucić naprawdę wiele intratnych propozycji.

Ervill zdążył już otrzepać się z ziemi i ponownie zarzucić sobie ciało na plecy. Ruszył z naburmuszoną miną pod górę, starając się zrównać z drugim z najemników.

– Jesteśmy dziwkami. Być może luksusowymi, ale wciąż dziwkami.

Słońce przebyło już połowę z okładem drogi od południa ku zachodowi, gdy dotarli do ściany lasu zakrywającego od tego miejsca górę po sam czubek. Obejrzeni się za siebie, podziwiając widoczną w dole wieś i otaczające ją pola. Był to umowny punkt, w jakim mieli zamienić się dźwiganym balastem. Avaret wziął głęboki oddech, zanim przejął od Ervilla ciało wisielca, po czym, nie czyniąc dłuższej przerwy, zanurzył się w zieloną gęstwinę. Wiodąca przez nią droga nie przedstawiała się najlepiej; w wielu

miejskach zakrywały ją zwisające gałęzie świerków, a w licznych dziurach zalegała woda. Najemnik zagryzł zęby, znosząc wszelkie niedogodności w milczeniu, różniąc się w tym względzie od elfa, który najmniejszą niewygodę zwykł komentować zupełnie nieprzystającym do jej rozmiarów potokiem słów.

Wędrówka przez las zabrała im z górą godzinę, wypełnioną sporadycznymi narzekaniami Ervilla na ciężar obu łopat i zły stan ścieżki. Wygłaszanie ostatniej z uwag ukończył akurat w momencie, w którym otworzyła się przed nimi rozległa przestrzeń, porośnięta nadspodziewanie bujną jak na tę porę roku trawą.

– No to jesteśmy na miejscu – oznajmił Avaret kładąc na ziemi zwłoki.

Ervill ściągnął przepaskę trzymającą w ryzach sięgające ramion czarne włosy i wykręcił z niej kilka kropel potu. Avaret żałował, że nie zabrali ze sobą żadnej manierki. Niczego teraz bardziej nie pragnął, niż przepłukać gardło lodowatą wodą, a najlepiej oblać się nią w całości, poczuwszy od czubka głowy i zlepionych potem jasnych włosów.

Odpocząwszy chwilę na granicy lasu i polany, poczęli rozglądać się w poszukiwaniu najbardziej dogodnego do kopania miejsca.

– Ciekawe, kiedy ostatnim razem tu kogoś chowali – zagadnął Ervill, kierując swe kroki ku środkowi Wisielcówki. – Pewnie dawno, tak, jak mówił sołtys. Nie widzę tu żadnego śladu, który oznaczałby miejsce czyjegokolwiek spoczynku.

Avaret pokręcił głową, krzywiąc usta w wyrazie gorzkiego zrozumienia.

– A po co ludzie mieliby cokolwiek oznaczać? Leżą tu przecież same wyrzutki. Nie po to ich grzebią z dala od innych grobów, by później ofiarowywać im miejsce w swojej pamięci. Chodzi tylko o pozbycie się ciała, w możliwie cywilizowany sposób.

– Pewnie masz rację – rzekł Ervill w tonie krótkotrwałej zadumy. – No cóż, zabierajmy się do roboty. Proponuję najpierw przenieść naszego przyjaciela na środek polany, skąd będzie mógł obserwować, jak przygotowujemy łoże mające mu zapewnić wygodny, wieczny sen.

Tak też uczynili. Następnie, uporawszy się z wybraniem odpowiedniego miejsca, odczepili od pasów miecze mogące w uciążliwy sposób utrudniać

kopanie i zabrali się do roboty.

Ostatnie promienie ginącego za górami słońca smagnęły ich policzki, gdy po raz pierwszy wbili w ziemię obie łopaty. Jego miejsce zajmował coraz wyraźniej świecący księżyc, mający przybrać w trakcie nadchodzącej nocy pełny kształt. Z lasu dobiegły pierwsze pohukiwania sposobujących się do polowania sów, a w miarę, jak robiło się ciemniej, każdy dźwięk poruszonej gałęzi nabierał coraz silniejszych znamion tajemniczości. Najemnicy znajdowali się na, bądź co bądź, przeklętej ziemi i choć za dnia każdy mógłby się śmiać z tego określenia, w nocy nie sposób było ustrzec się przed wpływem wyobraźni, podatnej na dochodzące z lasu odgłosy.

Lecz zarówno Avaret, jak i Ervill nie należeli do strachliwych. Odkąd los złączył ich ze sobą, popychając na drogę najemnictwa, zdążyli już zetknąć się ze złem w najróżniejszej postaci, nie tylko ludzkiej. Przebyte trudy i niebezpieczeństwa zahartowały mocno wyrosłą między nimi przyjaźń, czyniąc ją nierozzerwalną mimo oczywistych różnic w charakterach. W pewien sposób uzupełniali się wzajemnie: rozwaga Avareta nierzadko powściągała lekkomyślność Ervilla, który z kolei ochoczo dzielił się z przyjacielem doświadczeniem blisko osiemdziesięciu przeżytych lat.

Co się zaś tyczy posługiwania łopata, to w tej materii ani jeden, ani drugi nie miał nad towarzyszem żadnej przewagi.

– Jasna cholera – mruknął Ervill odsypując ziemię na bok. – Zabijałem wilkołaki i wampiry, tropiłem szpiegów i morderców, walczyłem ze zbójnikami, a teraz po prostu kopię dołek. Nie myślałem, że tak nisko upadnę.

Kącik ust Avareta uniósł się lekko ku górze.

– Jakoś zapomniałeś o swoich wybitnych osiągnięciach, gdy rozmawialiśmy z sołtysem. Wtedy twoje myśli krążyły raczej wokół dzbanów piwa, jakimi masz nadzieję się uraczyć, a nie wokół łopaty, którą przyszło ci machać w zastępstwie miecza.

– Znalazł się honorny pan. Przypomnę ci, że kopiesz ten sam dołek, co i ja.

– A co miałem zrobić? W sakiewkach nie mamy już ani miedziaka, a trzeba za coś jeść.

– Oczywiście, że trzeba. Niemniej twój przytyk w moją stronę, ten o dzbanach piwa, jest nie na miejscu, podczas gdy sam nie marzysz w tej chwili o niczym innym. Przyznaj, że napijesz się z chęcią razem ze mną.

Avaret odsapnął chwilę, prawą ręką ocierając spocone czoło.

– A żebyś wiedział, że się napiję.

– Tak swoją drogą – ciągnął Ervill, kierując coraz więcej sił w stronę rozmowy kosztem kopania – to temu Gamaltowi jakoś głupio było nas prosić o tak prozaiczną rzecz. Widziałeś, jaki był stremowany w trakcie rozmowy?

– Widziałem. Też mnie zastanowiło jego zachowanie. Czy rzeczywiście ów wstyd był tego powodem, to nie wiem. Kop, a nie gadaj.

Ervill przewrócił oczami, zabierając się z odrobinę większym zapalem do roboty.

– A cóż by innego? Zobaczył, że ma przed sobą nie byle kogo, a wprawionych w swym rzemiośle wojów, to i mu się niezręcznie zrobiło, że tylko to może nam zlecić.

Wykopanie dołu zajęło im jeszcze krótką chwilę, w trakcie której księżyc i gwiazdy rozświetliły niebo intensywnym blaskiem. W końcu Avaret wyprostował się, odrzucając łopatę na bok. Nie musiał robić niczego więcej, by zachęcić Ervilla do uczynienia tego samego. Przyjrzeni się w milczeniu efektom swojej pracy, zupełnie jak rzeźbiarz oceniający końcowe kształty dzieła, po czym wyskoczyli z dziury, na powrót zanurzając stopy w trawie. Avaret nie mógł się oprzeć wrażeniu, że światło księżycy wyścielające dno grobu w pewnym sensie uczyni odpoczynek zmarłego jeszcze spokojniejszym. Uśmiechnął się delikatnie, zadziwiony osobliwymi spostrzeżeniami, jakie podsuwa mu wyobraźnia.

Pora to zakończyć – pomyślał odwracając się w kierunku miejsca, w którym pozostawili zwłoki.

Naraz ogarnął go paraliż, krępujący na krótki moment wszelkie ruchy.

Ciało zniknęło.

Avaret począł nerwowo rozglądać się po polanie, próżno starając się napotkać spojrzeniem kształt choćby w najmniejszym stopniu przypominający owiniętego w płótno trupa.

– Co do cholery...? – warknął przez zaciśnięte zęby.

Dopiero gdy wycedzone przez niego przekleństwo doleciało uszu Ervilla, ten ostatni zorientował się, że coś jest nie tak. Zająwszy miejsce u boku przyjaciela, wnet uzmysłowił sobie, w jak dziwnej sytuacji się obaj znaleźli.

– Gdzie on się, do licha, podział?

Avaret nie odpowiedział, zamiast tego kierując się ku skrajowi polany, w nadziei, że źle zapamiętali miejsce pozostawienia ciała. Choć noc była jasna, a teren całkiem odkryty, przezorny umysł nakazywał mu upewnić się, czy rzeczywiście nic nie umyka jego uwadze.

O ile jednak w przypadku Avareta wzrok rzeczywiście mógł zawieść, o tyle u Ervilla zmysł ten należał do najbardziej wyostrzonych. Elf potrzebował raptem kilku rzutów oka po różnych punktach Wisielcówki, by móc z całą pewnością stwierdzić, że zwłok na niej nie ma.

– Rozumiesz coś z tego? – Avaret zakończył swój obchód, rozkładając szeroko ręce. Przystanął, aby schylić się po miecz i przypiąć go do pasa.

Gdzieś na skraju lasu trzasnęła łamana gałązka.

– Może jakiś zwierz... – zasugerował Ervill, zwracając spojrzenie w kierunku miejsca, z którego dobiegł odgłos.

– Zwierz? Masz na myśli niedźwiedzia, który podszedł do nas na paluszkach, zarzucił ciało na plecy, i tak cicho, jak się pojawił, tak cicho zniknął?

– Och, nie szydź ze mnie, tak tylko głośno myślę. Zapewne twój świątły umysł podsunie nam lepsze rozwiązanie.

Avaret milczał. W głowie rozważał różne koncepcje, każda kolejna zdawała mu się jednak bardziej absurdalna od poprzedniej. Tak naprawdę tylko jedna miała jakikolwiek sens, choć myśl, że może okazać się prawdziwa, sprawiła, że przeszył go dreszcz.

– Być może wcale nie przynieśliśmy tutaj trupa. Być może...

Naraz ukłucie instynktu nakazało mu odwrócić się gwałtownie przez prawe ramię. W tej samej chwili dobył miecza, tnąc bezwiednie na odlew. Ostrze rozerwało ze świstem powietrze, napotykając jednak również jakiś nadlatujący z góry kształt. Avaret odskoczył w tył, jego uszy zaś wypełnił przeraźliwy skowyt ranionej istoty.

Zamarł. Uporczywie wwiercające się w niego spojrzenie czerwonych oczu należało do postaci mierzającej co najmniej siedem stóp wzrostu. Z monstrualnych dłoni wyrastały długie, ostre jak brzytwa szpony, mogące w trakcie walki nieść śmierć z nie gorszym skutkiem, niż miecz, lub sztylet. Światło księżyca z dużą swobodą kładło się na zupełnie gładkiej, łysej głowie, ginąc jednak wśród załamań i bruzd pokiereszowanej, pozbawionej nosa twarzy. Kły po obu stronach wąskich ust sięgały niemal brody, pozbawiając wszelkich złudzeń co do tego, jakim pokarmem żywi się bestia.

I choć każdy z tych szczegółów fizjonomii potwora sam w sobie mógł przyprawiać o trwogę, to żaden z nich nie przykuł uwagi Avareta z taką siłą, jak podarte strzępy materiału, zwisające z ramion i oplatające pierś. Najemnik z miejsca rozpoznał w nich resztki płótna, w jakie owinięty był zaginiony nieboszczyk.

– Co myśmy tutaj przywlekli...?

Stwór nie dał mu czasu dłużej się nad tym zastanowić. Odbił się od ziemi, atakując wściekle długimi szponami. Avaret o włos uniknął zranienia w szyję, wirując w piruecie zakończonym próbą cięcia przeciwnika w odsłonięte plecy. Choć wykonał wszystko, jak należy, miecz nie zdołał sięgnąć celu. Mimo okazałych gabarytów, czerwonoooki poruszał się nadspodziewanie szybko. Nim najemnikowi udało się odzyskać równowagę po finezyjnym manewrze, pazury bestii już zmierzały w kierunku jego brzucha. Avaret odbił je klingą, odskakując na bok.

Dopiero po wymianie pierwszych ciosów i parad, jakie miał okazję obserwować, Ervillovi udało się otrząsnąć z początkowego osłupienia. Choć zabrakło mu to trochę czasu, to gdy już ruszył z odsieczą przyjacielowi, zabrał się do tego nadzwyczaj skrupulatnie. Wykorzystując fakt, że uwaga bestii skupia się na osobie Avareta, zaszedł ją ostrożnie od tyłu, a znalazłszy się w dogodnej odległości, ciął z siłą pozwalającą powalić wołu.

Potwór zawył po raz wtóry tej nocy, rozkładając szeroko ręce. Cios, który okazałby się śmiertelny dla zwykłego człowieka, nie zdołał zwalić go z nóg, mimo że z rozcięcia na grubej skórze szerokim strumieniem połała się krew. Chwilowo uznając swoją porażkę, bestia wzbiła się w powietrze, niemal jednym susem dopadając ściany lasu i ginąc wśród morza igieł i mroków nocy.

Avaret rozluźnił mięśnie, oddychając ciężko po krótkiej, acz wymagającej walce. Zerknął w stronę elfa, którego twarz zastygła w wyrazie będącym mieszaniną osłupienia i trwogi. Na polanie znowu zapanowała właściwa cmentarzowi cisza i na dobrą sprawę nic nie świadczyło o walce, jaka dopiero co się na niej rozegrała.

– Co to było? – szepnął Ervill chowając miecz do pochwy.

– Nie mam pojęcia. Ale wiem jedno: prędzej czy później tu wróci. Lepiej zrobimy, jeśli jak najszybciej stąd znikniemy.

– Nie zamierzam oponować.

Oglądając się ostatni raz za siebie, puścili się w dół zbocza. W otaczającym ich mroku czaiło się niebezpieczeństwo, mogące w każdej chwili o sobie przypomnieć.

Droga powrotna do Lasku, choć przedstawiała się groźnie, nie była jednak na tyle długa, by Avaret zdążył w jej trakcie zapomnieć, czyja osoba pchnęła ich w jego sidła.

* * *

Drzwi sołtysowej chaty rozwarły się z trzaskiem, wznecając zalegający na podłodze kurz, a do środka wdarły się dwie postacie, swym impetem przypominając wodę rozrywającą uszkodzoną tamę. Gamalt poderwał się z łóżka, roztrzepując pościel chaotycznymi ruchami rąk i nóg. Zauważywszy, komu przyjdzie mu stawić czoła, otworzył oczy tak szeroko, że rozmiarem swym niewiele odbiegały od dorodnych jabłek.

– Ty śmierdząca kupo łajna! – warknął Avaret łapiąc sołtysa za kołnierz koszuli nocnej i przypierając do ściany.

Prędko wydało się, że Gamalt bynajmniej nie należy do odważnych. Strugi łez spłynęły po puciołowatych policzkach, a ze ściśniętego gardła z trudem wydostały się pojedyncze słowa.

– Bła-gam... Litości!

– Co to było? Gadaj prędko! Bo że nie był to zwykły trup, to już wiemy!

Przerażony Gamalt sprawiał wrażenie, jakby naprawdę chciał odpowiedzieć, jednakże widok wściekłej twarzy Avareta zamieniał wszelkie próby odezwania się w urywane łkanie. Dostrzegłszy to Ervill położył rękę na napiętym ramieniu przyjaciela.

– Zaraz nam się tutaj posika, jak go nie puścisz. Może pozwólmy mu po prostu usiąść.

Avaret zamrugał powiekami. W pierwszej chwili nieco zbiła go z pantałyku litość okazana przez elfa zdradzieckiemu sołtysowi, wnet pomiarkował jednak, że kryje się za nią zwykły pragmatyzm. Zgodnie z sugestią uwolnił kołnierz z żelaznego uścisku, z premedytacją doprowadzając grube cielsko Gamalata do bolesnego kontaktu z podłożem.

Sołtys z trudem pozbiierał się z ziemi, łypiąc nerwowo w stronę Avareta. Zajął wskazane przez Ervilla krzesło, to samo, na którym siedział w trakcie wcześniejszej rozmowy. Nie potrzebowali zapalać stojącej na stole świecy, wpadająca przez okno księżycowa poświata czyniła oblicza całej trójki bardzo dobrze widocznymi.

– Teraz gadaj – rzekł już nieco spokojniejszym tonem Avaret. Zaplótł ręce na piersi, pozostając w pozycji stojącej.

Gamaltowi udało się na tyle uspokoić oddech, by odezwać się w miarę zrozumiały sposób.

– To owinięte ciało... To nie był zwykły wisielec. Prawdę mówiąc, to w ogóle nie był wisielec i wcale nie umarł wczoraj.

– No cóż, naszły nas pewne podejrzenia co do jego tożsamości – wtrącił Ervill, zawsze starający się kwitować choćby najbardziej dramatyczną sytuację jakąś ironiczną uwagą. Avaret rzucił mu karcące spojrzenie, drugim, niemniej srogim, obdarzając następnie sołtysa. Ten, prawidłowo odczytawszy jego znaczenie, pospieszył z dalszymi wyjaśnieniami.

– To umarlak, z grobu powstały, raz na siedem lat pragnący swój głód ludzkim mięsem nasycić. Za każdym razem pochłania dwie ofiary, tak, jak i dwóch było tych, co go... Znaczy się, chciałem powiedzieć...

Avaret zacisnął mocniej pięści. Teraz gdy intencje sołtysa stały się już zupełnie jasne, z najwyższym trudem powstrzymał się od zdzielenia go w twarz.

– Zaraz, zaraz, po kolei. Dlaczego pochłania akurat dwie ofiary? Czemu odpowiada ta cyfra?

Gamalt wzdrygnął się. Znać było, że nieopatrznie wdał się w temat, którego nie zamierzał dalej drążyć. Strach przed Avaretem wziął jednak górę

w tchórzliwej duszy.

– Miejcie zrozumienie dla tego, co usłyszycie... Mości panowie, błagam...

– Nie testuj naszej cierpliwości. Do rzeczy.

Sołtys przełknął głośno ślinę, zanim na dobre rozpoczął.

– To wszystko to stara historia. Zaczęło się od tego, że przed laty dotknęła nas klęska nieurodzaju. Trzy kolejne zbiory były bardzo marne, głód niejednej rodzinie zajrzał w oczy. Byliśmy zrozpaczeni, świadomi, że po raz czwarty coś takiego nie może się powtórzyć. Wtedy to pojawił się we wsi kapłan. No, przynajmniej kapłanem się nam przedstawił, ale po prawdzie to do dziś nie wiem, kim on naprawdę był. Boga, któremu rzekomo służył, nikt z nas nie znał.

Oczy opowiadającego zaszklily się. Avaret nie przypuszczał, by stało za tym prawdziwe wzruszenie, a raczej fałsz i podstęp mające wzbudzić litość słuchaczy. Wykrzywił usta, z trudem kryjąc odrazę, jaka w nim wezbrała.

Wygląda na to, że istotnie skrywasz jakiś ohydny sekret, skoro tak skrupulatnie przygotowujesz grunt pod jego wyjawienie.

– Masuma, tak się ów kapłan nazywał. Myśmy byli zrozpaczeni, przyparciu głodem, a on... Powiedział, że zna sposób, aby zapewnić nam obfitość zbiorów. Trzeba było tylko złożyć ofiarę, poświęcić jednego z nas, zakopać ciało w polu, by użyźniło ziemię i zachowało od niepogody.

– Tylko? – Avaret zgrzytnął zębami. Gamaltowi znowuż głos uwiązł w gardle, ale bojąc się gniewu najemnika, kontynuował opowieść.

– U-uwierzyliśmy temu M-Masumie, tak złe było nasze położenie. B-był we wsi taki jeden, co słabował na umyśle. Zupełny idiota, mówiąc wprost. Gadać nie potrafił, jeść sam nie umiał, tylko mu ślina ciągiem po brodzie spływała. Tośmy pomyśleli, że takiego to ani szkoda wielka nie będzie, a na ofiarę się nada. Pojmaliśmy go we dwóch, ja i Harn, co to mu się już biedakowi zmarło jakiś czas temu, zanieśliśmy na pole i tam za-biliśmy, a kapłan jakieś modły odprawił.

– Przekłęci barbarzyńcy! – Avaret zamierzył się na sołtysa, w ostatniej chwili powstrzymując opadającą na szczękę pięść. To nie był koniec historii i jeśli chcieli ją obaj z Ervillem usłyszeć do końca, musiał oszczędzić siedzącego przed nim mężczyznę, przynajmniej na razie.

– Panie, nie bij! To nie ja, to cała wieś na to przystała! Myśmy naprawdę mieli wtedy ciężko!

– Dobra, dobra – odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu Ervill. – Mów, co było dalej. Rzeczywiście zbiory były lepsze?

Gamalt uspokoił się trochę, błędnie doszukując się w tonie Ervilla jakiejś nuty zrozumienia. W rzeczywistości elf pragnął jedynie przebrnąć jak najszybciej do końca opowieści.

– Bo ja wiem? Były lepsze, to na pewno, ale też nie tak, żebyśmy sobie odbili straty minionych lat. Jak już Masuma opuścił wieś, to okazało się, że te jego czary wcale takie dobre nie były.

Pierwszej pełni po tym, jak żeśmy złożyli ofiarę, zjawiała się bestia. Rozszarpała dwóch naszych, co to po nocy pili pod lasem. Znaleźliśmy resztki ich ciał rano, wnet też ktoś spostrzegł, że ziemia w miejscu, w którym złożyliśmy ofiarę, jest rozkopana, a po zwłokach ani śladu. Pomiarkowaliśmy, że klątwa jakaś nas przez tego kapłana dotknęła, że chłopak z grobu wstał w bestię zamieniony i się zemścić chce. Na ludzi strach padł, że ich wszystkich potwór wygubi, aż tu nagle następnego ranka okazało się, że ciało wróciło i leży martwe, tak, jak je zakopaliśmy. Nawet nie było widać, że tyle czasu w ziemi było. Obciążliśmy mu dla pewności głowę, zakopaliśmy ponownie i od tego czasu spokój był przez siedem lat. O sprawie zapomnieliśmy, kolejne zbiory były dobre, to i przejmować się już nie było czym. Tyle że po tych siedmiu latach, w pierwszą wiosenną pełnię potwór wrócił i znowu dwoje ludzi zabił. Zupełnie jak poprzednio. Odkryliśmy rozkopany dół, a w nim ciało chłopaka. W takim stanie, jakby jeszcze przed chwilą żył.

I tak to się wciąż i wciąż powtarza, a w tym roku mija dwadzieścia osiem lat od czasu, jak nas kapłan omotał i kazał ofiarę ludzką złożyć. Zawsze są dwie ofiary, bo, jak by to ująć...

– Bo dwóch było oprawców – dokończył beznamiętnie Avaret. – Choć stała za tym cała wieś, to posłużyła się rękami dwóch młodych mężczyzn.

– Ano właśnie. – Gamalt próbował zwąchać w słowach Avareta jakiegoś ratunku przed karą, jakiej się z jego rąk spodziewał. – Młodzi byliśmy i naiwni, a i presja ludzi była duża i głód straszliwy... Miejcież zrozumienie dla chłystka, którym byłem...

– Zamilcz – przykazał zimnym, jak lód głosem Avaret, zwracając się następnie ku Ervillowi. – No i? Masz coś do powiedzenia? Co to może być?

Elf skinął głową w milczeniu. Kącki jego ust uniosły się z wolna ku górze, każąc przypuszczać, że doświadczenie blisko osiemdziesięciu przeżytych lat istotnie coś mu już podpowiada. Nie byłby jednak sobą, gdyby nie ponapawał się przez krótką chwilę zawisłym w ciszy pytaniem, sycąc tym samym swoją chępliwość.

– Mamy tu do czynienia z niczym innym, jak klątwą. Od razu wam powiem, panie Gamalt, że ten cały kapłan, za którym ślepo poszliście, to zwykły szarlatan i oszust. Albo wariat.

– Ale jak to? – wybąkał zdumiony sołtys, prawą rękę wsadzając do ust. – Jakież tam czary jednak uczynił, skoro trup z ziemi powstał.

Elf pokręcił energicznie głową.

– Nie on bestię do życia powołał, a klątwa ludzka, rzucona pewno przez kogoś z mieszkańców. No, zastanów się. Kto mógł wieś przekląć za to, że niewinnego chłopaka na śmierć skazała?

Gamalt nie musiał się długo zastanawiać. Wargi mu zadrżały przy pierwszym podejściu, przy drugim zdołał już jednak odpowiedzieć.

– M-matka jego... Z pewnością to ona. Darła się wniebogłose, jak żeśmy niedojdę zabierali, znaczy się chłopaka, chciałem rzec... To ona musiała...

Teraz gdy wiedzieli już praktycznie wszystko, Avaret z najwyższym trudem powstrzymywał dłonie od rozszarpania nikczemnego sołtysa.

Naraz jednak pewna myśl przecięła jego umysł. Usta wykrzywił paskudny uśmiech, bardziej pasujący do wilczego pyska, niż ludzkiej twarzy. Złapał Gamalta za kołnierz, odrywając gwałtownie jego ciało od krzesła.

Powinniśmy was zostawić, łajdacy, na łaskę potwora. Odejść czym prędzej i zostawić was z nim sam na sam.

Grube palce sołtysa splotły się w błagalnym geście. Pomiarkował nagle, że skoro obaj z Ervillem zdołali umknąć bestii, to muszą wcale nieźle znać się na mieczu, a co za tym idzie, mogą wieś przed nią obronić. A w szczególności jego samego.

– Nie zostawiajcie nas, błagam! My zapłacimy! Zapłacimy dużo!

– Tak? Idę o zakład, że ani za pogrzebanie ciała zapłaty dla nas nie przygotowałeś, boś się spodziewał, że już nie wrócimy. Spróbuj zaprzeczyć.

Gamalt nie zaprzeczył. Zacisnął powieki, spod których wypłynęły szerokie jak rzeka strumienie łez.

– Nie zostawimy was jednak.

Ervill drgnął nerwowo.

– Nie?

– Nie – odparł Avaret, w dalszym ciągu ściskając sołtysa za kołnierz. – Wielu z tych, co powinni już dawno zginać, wciąż żyje. Nie możemy jednak zapomnieć o tych, którzy na zemstę nie zasłużyli. Nie każdy z obecnych mieszkańców przyłożył do tego rękę.

– Ano tak, oczywiście – bąknął bez przekonania Ervill. Spuścił głowę, poddając się woli przyjaciela, który zamiarów dyktowanych przez honor i poczucie sprawiedliwości nie zwykł nigdy odpuszczać.

– Stawimy czoła bestii, za przynętę mając tłuste cielsko zacnego sołtysa.

Nie od razu sens słów najemnika stał się jasny dla Gamalta, gdy to się jednak w końcu stało, jego twarz przybrała isticie trupio błądy kolor. Mgnienie oka później pod drżącymi powiekami widać było już same białka, a przytomność opuściła przerażony umysł.

* * *

Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi chaty i przed nią przystanęli, ożywczy powiew sprawił, że Gamalt ocknął się. Zamrugął kilkukrotnie powiekami, usiłując dociec, w jaki sposób przeniósł się z łóżka na zewnątrz. Przywoławszy w pamięci wydarzenia minionych kilkudziesięciu minut, a zwłaszcza ostatnie zdanie Avareta, wrzasnął krótko, acz przeraźliwie, omal nie mdlejąc ponownie. Powstrzymała go przed tym otwarta dłoń najemnika, która bez żadnych subtelności znienacka trzasnęła go w policzek.

– Tylko nie próbuj nam tu drugi raz zemdleć. Nikt nie będzie targał twojego opasłego cielska tam, dokąd się wybieramy.

– A... A dokąd się wybieramy?

Avaret nie odpowiedział. Powiódł spojrzeniem po okolicy, zatrzymując się na zasłoniętych oknach nielicznych chat. Kto by ich teraz ujrzął, stojących

samotnie pośród otulonych ciszą i bezruchem zabudowań, pomyślałby, że są jedynymi żywymi istotami w wymarłej wsi.

Nawet księżyc nie powinien nad nią świecić.

– Panie Gamalt – zwrócił się do sołtysa Ervill – sprawa jest. Trochę was tutaj postraszyliśmy, że za przynętę będziecie robić, ale po prawdzie to może nie będzie to konieczne.

Słyszac te słowa, sołtys ocknął się już na dobre. Usta drgnęły mu w delikatnym, niepewnym uśmiechu, a ręce wyciągnęły się w stronę elfa w dziękczynnym geście.

– Ja wiedziałem, panie Ervillu, że w całej pana mądrości uda się jakieś inne wyjście z tej sytuacji znaleźć. Co panu sprytny rozum podpowiada? Z pewnością załatwimy to jakoś inaczej.

Elf zmarszczył brwi w wyrazie mającym mu przydać cech jakiegoś znamienitego mędrca, zupełnie nic nie robiąc sobie z faktu, że słowa sołtysa całe lepią się od obłudy.

– Matka tego chłopaka żyje jeszcze?

– Ano żyje...

– Zatem jest sposób. Wystarczy, żeby sama odwołała klątwę, którą na was zesłała. Trzeba się teraz do niej udać i ją do tego namówić. Pewno nie będzie łatwo, bo, prawdę mówiąc, ja bym tego na jej miejscu nie zrobił.

Gamaltowi mina na powrót całkiem zrzędała.

– Ale to niemożliwe... To jest już starowinka. Od dziesięciu lat tylko bredzi, ludzi nie poznaje, nic nie pamięta... Siostrzenica się nią opiekuje, bo sama już nic nie jest w stanie zrobić.

Ervill pokiwał głową, analizując obiekcje sołtysa.

– Tedy jednak będziecie przynętą, panie Gamalt.

Uderzenie bezwładnego ciała o ziemię przerwało zasnuwającą wieś ciszę.

* * *

Linia wspinającego się pod górę lasu znajdowała się o jakieś dwieście stóp od zaczajonych w leszczynowej gęstwinie Avareta i Ervilla. Trwali w niej nieruchomo, w napięciu, spojrzeniami wodząc po skąpanej w miesięcznym blasku polanie. Uwagę ich co i rusz odciągały raptowne wierzgnięcia sołtysa

przywiązanego do stojącej samotnie pośród traw osiki, znamionujące bliskie wybudzenie z omdlenia.

Plan najemników z pewnością nie był nazbyt wyrafinowany: zwabiona osobą oprawcy bestia miała zostać zaskoczona i pokonana nagłym atakiem zza leszczynowych gałęzi, na tyle szybkim, by Gamaltowi nie zdążyło stać się nic złego. Jeśli jednak coś poszłoby nie tak, Avaret wcale nie miał zamiaru go długo żałować.

– Ile już tu siedzimy? – szepnął Ervill.

– Nie jestem pewien. Jakąś godzinę.

– Godzina w tej ciszy dłuży się jak cały dzień. Dawno takiej nie doświadczałem.

Avaret westchnął, wyczuwając w słowach elfa przyczynę do dłuższego monologu.

– Ja również. Przynajmniej odkąd cię znam.

– W takiej ciszy – ciągnął Ervill puszczając uwagę przyjaciela mimo uszu – ma się okazję poukładać myśli. Spojrzeć na różne rzeczy z zupełnie innego punktu widzenia. Zajrzeć w głąb własnej duszy i poznać siebie na nowo.

Usta Avareta wymamrotały nieme przekleństwo. Przyzwyczyił się już do osobliwych wynurzeń elfa, co nie znaczyło wcale, że znosił je za każdym razem coraz lepiej.

– Bardzo cenię sobie twoją przyjaźń, Avarecie. Mówiłem ci to kiedyś?

– Za każdym razem, kiedy byłeś pijany. Czyli owszem, mówiąc oględnie.

Ervill pokiwał głową, jak gdyby coś sobie przypominając.

– To dobrze. Chcę, żebyś to wiedział. Widzisz, każdy ma jakieś wady i słabości; mam je również i ja. Prędzej coś zrobię, niż pomyślę, jak już zrobię, to zazwyczaj jakieś głupstwo, a do tego cynik ze mnie cholerny i egoista.

– Kontynuuj. Rozumiem, że dopiero zaczynasz.

Ervill prychnął zniecierpliwiony kąśliwymi, acz prawdziwymi uwagami Avareta.

– Daruj sobie złośliwości, przynajmniej w chwili, gdy mam ci coś ważnego do oznajmienia. Widzisz, tak sobie myślę, że twoja przyjaźń pomaga mi wyważyć własną osobowość. Chaotyczny mam charakter, to

prawda, ale po pewnym czasie zawsze dopadają mnie refleksje. Zazwyczaj nieprzyjemne. Weźmy na przykład mój egoizm: prawdą jest, że nie kwapię się nigdy do tego, by ryzykować nadto swoją skórą i to dla ludzi zupełnie mi obcych. Gdybym nie miał cię u swego boku, pewno już dawno nogi niosłyby mnie jak najdalej stąd. Tylko wiesz co? Wtedy dopadłyby mnie owe refleksje, o których wspomniałem. Nie myśl sobie, ja również posiadam bardzo wysublimowane poczucie dobra i zła, tyle tylko, że ostatecznej oceny dokonuję nieco później, niż ty. Dzięki tobie jednak jestem tutaj, w tym miejscu i mam okazję wykazać się bohaterskim czynem.

Avaret nie odpowiedział. Znał Ervilla na tyle długo i dobrze, że żadne z jego słów go nie zaskoczyło. Choć z pozoru wydawał się skupionym na własnym interesie lekkoduchem, w głębi duszy chował sporo współczucia i potrzeby sprawiedliwości.

Najemnik podryfowałby zapewne jeszcze przez chwilę w kierunku kolejnych przemyśleń dotyczących osoby przyjaciela, gdyby ściągnięte brwi i skupiony wzrok tego drugiego nie przykuły nagle jego uwagi.

– On tu jest – szepnął prawie bezgłośnie Ervill.

Avaret odruchowo przeniósł spojrzenie w kierunku lasu. Nie miał jednak prawa niczego dojrzeć; to, co jego kompanowi przychodziło z łatwością, pozostawało poza zasięgiem ludzkiego wzroku.

– Przemieszcza się powoli i z uwagą – dodał cicho elf. – Czai się.

– Myślisz, że nas widzi?

Ervill pokręcił wolno głową.

– Nie wydaje mi się. Przynajmniej na razie nas nie zauważył, choć chyba spodziewa się niebezpieczeństwa.

Naraz osika zatrzęsa się mocniej pod wpływem gwałtownego ruchu budzącego się z omdlenia Gamalta. Urwany jęk opuścił jego usta, chwilę później w ślad za nim podążył kolejny, w końcu oczy sołtysa otwarły się szeroko, chciwie chłonąc księżycowe światło.

– Gdzie ja...? – wybełkotał niemrawo.

Rozejrzał się na lewo i prawo, a zdawszy sobie sprawę ze swojego położenia, krzyknął już zdecydowanie silniejszym głosem:

– Ratunku! Ludzie, pomocy! Ratunku!

Jak gdyby w odpowiedzi, choć nie takiej, jakiej domagał się wołający, z leśnej gęstwiny wystrzelił jakiś kształt, w którym sołtys rychło rozpoznał bestię. Ciasny supeł oplótł jego gardło, skutecznie uniemożliwiając ponowienie apelu o pomoc.

– Teraz! – krzyknął Avaret wypadając z zarośli.

W ostatniej chwili udało mu się dobyć miecza i zablokować cięcie długich szponów potwora, zmierzające w kierunku gardła Gamalta. Mięśnie najemnika napięły się do granic możliwości w krótkim zwarcu, jakie następnie nastąpiło. Umiejętną pracą nóg starał się oprzeć naporowi bestii, przy jej niewiarygodnej sile walka była jednak z góry przegrana. Uzmysłowiwszy sobie wnet, jak duża jest dysproporcja między nimi, Avaret oderwał gwałtownie ostrze i odskoczył na bok, aby złapać oddech. Tymczasem do boju dołączył Ervill zaskakując przeciwnika cięciem przez plecy. Kolejny tej nocy ryk poderwał sowy z gałęzi okolicznych drzew, podobnie jednak, jak poprzedni, bynajmniej nie zwiastował rychłego końca potyczki. Elf zajął pozycję naprzeciw rozjuszonej bestii, utrzymując dystans wyciągniętym przed siebie, trzymanym oburącz mieczem.

– Ciężką będziemy mieć z nim przeprawę, psiamać!

Avaret splunął na bok. Potwór miał nad nimi oboma znaczną przewagę fizyczną, jedynym sposobem pokonania go była zatem współpraca oparta na podstępie. Najemnik począł z wolna przemieszczać się za plecy przeciwnika, cały czas bacznie go obserwując. Choć jego intencje nie zawsze stawały się dla Ervilla od razu jasne, ten pomysł podchwycił w mgnieniu oka. Ruszył w ślad za przyjacielem, koncentrując się jednocześnie na tym, by zachowywać dzielącą ich odległość.

Fortel, choć niezbyt skomplikowany, okazał się skuteczny. Okrążana bestia nie mogąc się zdecydować, któremu z mężczyzn poświęcić swoją uwagę, zaczęła rzucać łbem od jednego do drugiego, parskając wściekle rozdętymi nozdrzami.

– Trzymaj dystans – pouczył towarzysza Avaret, cały czas wpatrując się w potwora. – Utrzymuj koncentrację.

Drapieżny uśmiech wykrzywił usta pewnego siebie Ervilla.

– Spokojnie, wiem jak się w to gra. Patrz na to!

Zanim Avaret zdążył cokolwiek krzyknąć, elf runął na przeciwnika, miecz unosząc wysoko nad głowę. Nie grzesząc bynajmniej cierpliwością, spodziewał się, że jednym, nagłym atakiem uda mu się powalić zdezorientowaną bestię.

Pechowo jednak jego wojowniczy okrzyk, mający stanowić akompaniament dla rozstrzygnięcia potyczki, nagle urwał się, zastąpiony krótkim przekleństwem. Niezauważalna wśród traw nierówność terenu sprowadziła Ervilla do poziomu ziemi stawiając go w iście rozpaczliwym położeniu.

Potwór ryknął przerażająco. Jednym susem dopadł elfa, przerywając jego chaotyczne, niezdarne próby jak najszybszego podniesienia się do pozycji stojącej.

Dopiero ten widok sprawił, że Avaret ocknął się. Porażony lekkomyślnością Ervilla umysł potrzebował chwili, aby dojść do siebie. Widząc odsłonięte plecy potwora, Avaret, niewiele się zastanawiając, ruszył na niego, przygotowując się do cięcia na odlew.

Lecz tym razem bestia pozostała czujna. Ogromna łapa zdzieliła go prosto w twarz na chwilę przed tym, jak sam zamierzał wyprowadzić atak. Padł na ziemię zupełnie oszołomiony, czując jednocześnie, jak po prawym policzku i skroni rozlewa się dojmujący ból.

Tymczasem Ervilowi przez pewien czas udawało się unikać kolejnych ataków. Turlając się po ziemi, czołgając w tył i raz po raz zmieniając ułożenie ciała zdołał w końcu stanąć na nogach. Jak się okazało, był to moment krytyczny; sekunda, w trakcie której usiłował się wyprostować wystarczyła, by podzielił los swojego druha.

Instynkt przetrwania zmusił Avareta do pokonania potwornego bólu i oszołomienia. Wystarczyła chwila, aby bestia ostatecznie rozprawiła się zarówno z nim, jak i leżącym opodal Ervillem. Zamrugął powiekami, wodząc po polanie zdezorientowanym spojrzeniem. Zasłaniająca widok trawa oraz krew strumieniami zalewająca prawe oko nie ułatwiały mu zadania. Świat wirował, skąpany w nienaturalnych barwach, będących mieszaniną czerni i czerwieni, spowitych księżycowym światłem.

Gdzie on jest?!

Ujrzał potwora, lecz, ku jego zdziwieniu, bynajmniej nie był on już

zainteresowany osobami najemników. Wysoka jak dąb sylwetka znieruchomiła naprzeciw stojącej na środku polany osiki. Uszy Avareta wypełniły odgłosy jęków skamlącego Gamalta, dziwne i zniekształcone, zupełnie, jak krajobraz przed oczami. Ciało najemnika zupełnie nie nadawało się do tego, by choćby podjąć próbę walki, mimo to dźwignął się, ledwie utrzymując równowagę. Obrócił głowę w kierunku wciąż leżącego Ervilla.

– Wstawaj! Musisz mi pomóc!

Nie miał czasu czekać na wsparcie. Postawił kilka kroków naprzód, każdy kolejny coraz mniej pewnie, aż w końcu upadł ponownie. Utrzymanie równowagi w tym stanie wydawało się tak samo proste, jak wypicie całej wody z największego z mórz. Klęcząc, wyciągnął przed siebie prawą rękę, zabrakło mu jednak siły, by choćby pogrozić pięścią potworowi. Zarył twarzą w ziemię, stopniowo tracąc przytomność.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim ponownie otworzył oczy. Miał wrażenie, jakby było to co najmniej kilka godzin, w rzeczywistości jednak upłynęło najwyżej pięć minut. Poderwał głowę do góry, aby zobaczyć, czy z Gamalta cokolwiek jeszcze zostało.

Lecz ten znajdował się dokładnie tam, gdzie poprzednio, cały i zdrowy, choć w dalszym ciągu związany. Za to tuż obok niego pojawiła się jeszcze jedna postać; jej drobna postura w pierwszej chwili skojarzyła się Avaretowi z dzieckiem, dopiero wytężywszy wzrok dostrzegł, że w istocie przygląda się zgarbionej staruszce.

Również uwaga bestii skupiła się w całości na niej. Długie, jak konary drzew łapy zwisły nieruchomo, czerwone oczy zastygły wpatrzone w kruchą istotę ledwie wyłaniającą się spośród traw.

– Skończ, Tami. Wystarczy już tego.

Słodczy delikatnego, drżącego głosu starszej kobiety sprawiła, że potwór jęknął cicho zupełnie ludzkim głosem. Podeszedł do niej i klęknął, pozwalając się pogłaskać po bladym policzku, tak, jak to robi dziecko w obecności matki.

– Wystarczy już, Tami – powtórzyła staruszka, z uczuciem wodząc ręką po twarzy syna. – Dość już narobiliśmy złego. Czas na nas.

Tami – Avaret zdał sobie sprawę, że dopiero teraz po raz pierwszy

usłyszał imię zaklętego chłopca – skinął lekko głową. Objął matkę umiejętnymi ramionami, swą wielką głowę opierając na jej kruchym ramieniu.

Naraz fala intensywnego światła, mająca źródło w splecionej w uścisku dwojce, rozlała się po całej polanie, zmuszając Avareta do zasłonięcia oczu. Niezwykle zjawisko trwało raptem kilka chwil; po ich upłynięciu noc stała się na powrót tak samo ciemna, jak jeszcze przed momentem.

Avaret zmobilizował wszystkie siły, aby powstać, usiłując jednocześnie zwalczyć plamki migające przed oczami. Znalazł oparcie we wbitym w ziemię mieczu, skierował spojrzenie w miejsce, z którego wypłynęła oślepiająca kaskada światła.

Z dwóch leżących na ziemi ciał, jedno należało do matki Tamiego. Drugie zaś nie było już ciałem potwora; tuż obok staruszki leżał chłopiec, na oko kilkunastoletni, o krótkich, rudawych włosach i chudych kończynach. Oboje byli martwi.

– Niesamowite.

Avaret drgnął, zaskoczony dźwiękiem głosu Ervilla. Elf przystanął tuż obok niego, kołysząc się lekko. Opaska zsunęła mu się z czoła, zasłaniając lewe oko. Nos i usta całe umazane były krwią.

– Niesamowite – powtórzył elf, nie odwracając spojrzenia od ciał matki i syna. – Jej starczy umysł zmobilizował się, aby po raz ostatni opuścić odmęty nieświadomości. Musiał wyczuwać nadchodzącą śmierć. Starowinka nie chciała odejść z tego świata, zostawiwszy na nim tak straszną klątwę.

Avaret skinął ze zrozumieniem głową. Istotnie, było coś niesamowitego w tym geście, pragnieniu zażegnania klątwy, tak silnym, by zwyciężyć starczą niemoc. Uśmiechnął się na myśl, że zraniona ludzka dusza zdolna jest do tak szlachetnego czynu.

Mgnienie oka później ogarnęło go poczucie gorzkiego żalu i złości. Zemsta nie dosięgnęła tego, kto najbardziej zasłużył na karę. Kto bezpośrednio przyłożył rękę do tej tragedii.

To dodało mu sił. Ruszył przed siebie, aby czym prędzej znaleźć się przy związanym sołtysie.

– Moi bohaterowie! – głos Gamalta dobiegł go z odległości kilku kroków.

– Pięknie rozprawiliście się z tym straszidłem! Uwolniliście nas od tej straszliwej klątwy.

Avaret nie odpowiedział, zamiast tego jeszcze bardziej przyspieszając kroku.

– Chyba możemy mnie już rozwiązać, prawda? – dodał niewinnym głosem sołtys. – Skoro jest już po wszystkim...

Gwałtowność odpowiedzi wstrząsnęła jego związanym ciałem.

– Bynajmniej nie jest po wszystkim.

Ostrze miecza zabłysło w świetle księżyca tuż pod gardłem tchórzliwego sołtysa.

– Przypomnij mi – rzekł wolno, acz stanowczo Avaret. – Czy to przypadkiem nie ty go zabiłeś?

Ciało Gamalta zwiotczało bezradnie. Twarz zalała się łzami; najemnik był pewien, że nie są to łzy wstydu, bądź żalu, a jedynie przerażenia.

– J-j-ja panie Avarecie... A-ale to było dawno i-i-i...

– Gównu mnie to obchodzi, choćby to było i tysiąc lat temu. Powiedz mi jeszcze jedno: jaka kara według ciebie powinna spotykać morderców? Tutaj, zaraz obok nas, leżą teraz dwa martwe ciała. Syna, którego zabiłeś i matki, której go odebrałeś. Myślisz, że będzie w porządku, jeśli cię teraz rozwiążemy i puścimy wolno?

Sołtysiem wstrząsnął niekontrolowany spazm płaczu. Przedstawiał w tym momencie iście żaloszny widok.

Naraz Avaret poczuł na swym ramieniu jakiś dotyk. Obejrzał się; to Ervill zjawił się nie wiadomo kiedy tuż obok niego, odciągając teraz jego dzierżącą miecz rękę jak najdalej od Gamalta.

– To nie należy do ciebie.

Najemnik błysnął zdziwionymi oczyma. Rzadko zdarzało się, by to elf powstrzymywał go przed zrobieniem czegoś pod wpływem nagłego przypływu uczuć.

– Na co innego według ciebie zasłużył?

Uścisk Ervilla nie zmalał, aż do momentu, w którym czubek miecza zarył o ziemię.

– To bez znaczenia. Ona potrafiła mu przebaczyć. Musimy to uszanować.

Twarz Avareta stężała domagając się czegoś więcej niż ta krótka argumentacja. Najemnik przepełniony był furją, której nie sposób było tak łatwo ugasić. Ervill zrozumiał to.

– Co tak na mnie patrzysz? Tu nie ma nic do dodania. Ta babuleńka zaprzęła ostatnie siły, by przebaczyć tej kanalii. Jakby ci to powiedzieć: nie wszystko na tym świecie robimy z myślą o tym świecie. Mogła odejść spokojnie i każdy, kto kiedyś opowiedziałby jej historię, nieodmiennie stawiałby ją w roli ofiary. Wszyscy zrozumieliby jej pobudki i potrafili rozgrzeszyć rzucenie klątwy. A jednak nie chciała umrzeć ze świadomością, że jedyne, co po niej pozostało, to tak straszliwe zło. Będąc tak blisko tamtego świata – jakikolwiek on nie jest – wiedziała to, jak nigdy wcześniej.

Zamilkł, wpatrując się w twarz przyjaciela. Nie mogąc nic z niej odczytać, dodał jeszcze:

– Ona musiała zwyciężyć nieświadomy umysł. Twój jest zupełnie sprawny.

Jeszcze przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Nie dlatego, że Avaret wciąż zmagał się z uczuciami. To raczej mądrość i jednoczesna prostota słów Ervilla sprawiły, że nie był w stanie choćby poruszyć powieką.

Czemu ja się dziwię? Choć na co dzień zgrywa pajaca, to w trakcie tych prawie ośmiu dekad, które przeżył, widział tyle, że nie raz mnie jeszcze zaskoczy.

I choć Ervillowi udało się ostatecznie przekonać przyjaciela, by nie zabijał grubego sołtysa, to jednak uczucie złości nie dało się do końca ujarzmić. Nieposłuszna woli Avareta pięść zdzieliła Gamalta prosto w nos, z którego zaraz buchnęła krew, mieszając się ze wciąż spływającymi po policzkach łzami.

– Pochowajmy ciała – rzekł jak gdyby nigdy nic najemnik. – Chociaż tyle możemy dla nich zrobić.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca dotknęły ziemi, gdy ostatni kamień spoczął w miejscu znaczącym grób matki i syna.

Synowie wojny

Goran Metz, przygarbiony, starszy mężczyzna o siwiejących, rzadkich włosach i pooranym zmarszczkami czole, trącił swoim pionkiem jednego z tych, które tworzyły oddział Avareta.

– Szach i mat – rzekł.

Uśmiech triumfu wykrzywił jego twarz, nadając rysom serdeczny i ciepły wyraz. Avaret oparł podbródek na pięściach, analizując rozsadę zastosowaną przez swojego przeciwnika.

Znajdowali się w ciasnym pomieszczeniu, wyposażonym w kilka zawalonych papierami, książkami i innymi rupieciami regałów, niewysoki stolik, na którym znajdowała się plansza do gry oraz towarzyszące mu niewygodne krzeselka. Ostatni element umeblowania stanowiło wciśnięte pomiędzy regały biurko. Ktokolwiek zapragnąłby przy nim zasiąść, musiał liczyć się z niemałym ryzykiem, gdyż stojące przy nim krzesło w żadnym razie nie sprawiało wrażenia stabilnego. Przez okno nad nim przedostawała się ilość światła ledwie wystarczająca do rozróżnienia liter, czego jednak nie można było nazwać swobodnym czytaniem.

– Znowu przegrałem – Avaret westchnął, spoglądając w świdrujące oczka swego przeciwnika.

– Znowu. Niemniej poczyniłeś znaczne postępy w ciągu ostatniego miesiąca. Od naszej pierwszej partii. Pamiętasz ją jeszcze? Śmiałyś się teraz z nieporadnych ruchów, jakie wtedy wykonywałeś.

Istotnie, Avaret sam zauważył, jak w trakcie kolejnych rozgrywek zmuszał Gorana do stosowania coraz zmyślniejszych zagrań. Starszy mężczyzna musiał nierzadko włożyć wiele trudu, by móc wypowiedzieć na końcu słowo „mat”.

Goran był emerytowanym żołnierzem, któremu na starość przypadła mało zajmująca posada zbrojmistrza miasta Mostar. Do jego zadań należało

wydawanie broni strażnikom miejskim, ostrzenie tępego oręża oraz naprawa tego zniszczonego. Pracy było niewiele, toteż zabijał czas czytaniem książek, w większości odziedziczonych, jak mówił, dawno temu po zamożnym stryju. Sam był typem erudyty-filozofa, niespotykanym raczej wśród żołnierzy, zachował jednak skromność nieskażoną ani krztyną arogancji. Papiery walające się po izdebce, pełniące przez znaczną część dnia również rolę jego domu, pokrywały jego własne zapiski; wszelakiego rodzaju wnioski, czy spostrzeżenia.

Ich znajomość rozpoczęła się równo przed dwudziestoma siedmioma dniami. Wtedy to Avaret i Ervill przybyli do Mostaru wraz z kilkoma wozami kupieckimi, ochranianymi w trakcie kilkutygodniowej podróży ze wschodu. Obawy kupców o bezpieczeństwo transportowanych dóbr okazały się jak najbardziej uzasadnione, gdyż niespełna dzień drogi od Mostaru doszło do napaści zbójników. Atak udało się odeprzeć, a karawanę uchronić od grabieży, jednak Ervill otrzymał głęboką i brzydko wyglądającą ranę w udo. Po dotarciu do miasta rozpoczął okres rekonwalescencji, za główny jej punkt uznając codzienne zalewanie się w trupa w gospodzie „Kudłaty Miś”, w której się zatrzymali.

Avaret zdecydował się nie konkurować z elfem w tych mało chlubnych zawodach. Poznawszy Gorana, prędko się z nim zaprzyjaźnił i tak rozpoczęła się ich trwająca już prawie miesiąc szachowa batalia. Avaret nie miał większego pojęcia o tej grze, gdy ją rozpoczynali, jednak z każdym dniem stawał się lepszy, czemu zdecydowanie służyła osoba jego nauczyciela. Zbrojmistrz udzielał mu wielu cennych rad, dzięki czemu sam zyskiwał groźnego przeciwnika, co oczywiście służyło rywalizacji.

– Niewiele zostało mi już czasu na dalszą naukę – rzekł Avaret, prostując się i przeciągając. Małe krzeselka nie pozwalały na siedzenie w wygodnej pozycji w trakcie gry. – Minął już prawie miesiąc, odkąd się tu zatrzymaliśmy. Noga Ervilla ma się coraz lepiej, zawartość jego sakiewki za to coraz gorzej. Wnet będziemy musieli opuścić Mostar i poszukać nowego zajęcia.

– Całkiem możliwe, że znajdziecie jakieś tutaj – zauważył Goran. Avaret pokręcił jednak głową.

– Wątpię. Przez cały miesiąc nadstawiałem ucha. I nic. Zbyt spokojne to

wasze miasto. Wasz król dokłada wszelkich starań, aby zabezpieczyć szlaki handlowe od napadów, przez co kupcy coraz częściej rezygnują z dodatkowej ochrony. Codziennie włóczę się po zaułkach, jednak nie znajduję w nich żadnych listów gończych. Nie ma kogo tropić, nie ma kogo dopaść, nie ma za kogo zgarnąć nagrody. Tacy, jak ja, nie pożyją tu długo.

– Każda passa się kiedyś kończy – Goran sięgnął ręką ku stolikowi, by poskładać planszę i pionki.

– Czyżbyś o czymś wiedział?

– O niczym, czego sam nie wiesz. Nic w naturze nie jest ciągłe, drogi przyjacielu, wszystko się kiedyś kończy. Po suszy przychodzi deszcz, lato poprzedza zima, a okres pokoju przerywany jest nagłą wojną.

Avaret uśmiechnął się ukradkiem. Przyzwyczał się już do filozoficznych monologów Gorana. W większości przypadków wzbudzały zainteresowanie słuchacza, czasem jednak nie było się do końca pewnym, o czym właściwie traktują. Jedno nie ulegało wątpliwości: nie potrzeba było wiele, by zaczął w ten sposób perorować.

Tym razem jednak poprzestał na krótkiej uwadze. Avaret zerknął przez okienko na zewnątrz. Niebo przybierało czerwonawą barwę znikającego powoli za horyzontem słońca.

– Cóż, dziękuję ci za dzisiejszą rozgrywkę. Wiele mnie nauczyła, jak zresztą każda, począwszy od pierwszej. Niestety czas już na mnie. Nie mam ochoty po raz kolejny zanosić Ervilla do łóżka. Gdy się zupełnie upije, waży o wiele więcej, niż mogłoby się wydawać. Lepiej go przypilnować, zanim to nastąpi.

Pożegnał się z gospodarzem i opuścił budynek zbrojowni, wychodząc przez boczne drzwi, tak małe, że musiał schylić się w progu, by nie uderzyć się w głowę. Rozejrzał się wokół, omiatając spojrzeniem sąsiadujące ze zbrojownią budynki, po czym ruszył niespiesznym krokiem w kierunku odległej o kilkaset kroków gospody. Ostatnie promienie słońca przeciskały się wąskimi uliczkami, oświetlając rzucające długie cienie szyldy. Każdy z nich miał za zadanie informować przechodniów o profesji mieszkańca danego budynku; znalazł się jeden kowal, dwóch płatnerzy, jakiś złotnik czy stolarz, aż w końcu oczom Avareta ukazał się szyld obwieszczający, że oto stoi u progu karczmy „Kudłaty Miś”. Pchnął masywne drzwi i wszedł do

środka.

Przywitał go istny rejwach. Mało który stół wolny był od najrozmaitszych gości; prócz mieszkańców miasta dało się dostrzec wielu przybyszów z innych krain. Za drewnianą ladą niewysoki, szczupły karczmarz o imieniu Holet, uwijał się, jak tylko potrafił, by poradzić sobie z nadchodzącymi zamówieniami, a że był, przy całej swojej pracowitości, dość niezdarny, przychodziło mu to z wielkim trudem. Kilku wstawionych już mężczyzn domagało się następnej kolejki, waląc pięściami w stół, dwóch dziadków, krzyczało do siebie tak głośno, że nie ulegało wątpliwości, że obaj są raczej głuchawi, a w jednym z kątów wywiązywała się właśnie bójka.

Avaret rozejrzał się uważniej. Nie zajęło mu wiele czasu, zanim zlokalizował Ervilla. Elf siedział przy stole stanowiącym niemal centralny punkt gospody. Nie był sam, towarzyszyło mu dwóch mężczyzn, wznoszących wraz z nim kolejne toasty. Przy każdym z nich kufel elfa przechylał się wyraźnie, a jego zawartość skapywała mu na głowę i kark.

– Kto mnie oblał, kurwa jego mać?! – krzyczał raz za razem, nie zdając sobie sprawy z własnej winy.

W ciągu ostatniego miesiąca elf zawarł mnóstwo nowych znajomości. Zdecydowana większość z nich kończyła się jednak w momencie, w którym tracił świadomość i zasypiał na stole, przy ladzie, lub, wcale zresztą nierzadko, na ziemi. Jednego wieczoru, podpuszczony przez towarzyszy do szklanki, wlaż na stół i zaczął na nim tańczyć. O jego występie z pewnością można było później powiedzieć tyle, że zakończył się przedwcześnie. Prędko straciwszy równowagę, Ervill spadł ze stołu i rąbnął głową o ziemię. Następnego dnia dopiero namacanie sporych rozmiarów guza zdołało go przekonać, że źródłem potwornego bólu nie jest jedynie zwykły kac.

Mężczyźni dotrzymujący mu towarzystwa przy stoliku wydawali się raczej spokojni, co musiało oznaczać, że dopiero zaczęli pić. Pierwszy z nich, siedzący po prawej stronie elfa, był wyższy i masywniejszy. Brązowe włosy sięgały mu do ramion, twarz miał smukłą, o długim, krzywym nosie i maleńkich, przymrużonych oczkach. Drugi odznaczał się bardziej dostojną urodą. Gęste, jasne włosy opadały mu lokami na czoło, szeroki uśmiech odsłaniał równe, białe zęby. Avaret ruszył w ich kierunku.

– Avaret! – krzyknął Ervill na widok przyjaciela. – Chodź no tu, siadaj!

Panie karczmarzu, piwo dla mojego kompana! Albo dwa, co byś nie musiał ciągle w te i z powrotem latać. Avarecie, przedstawiam ci moich dostojnych znajomych – wskazał prawicą uśmiechniętych mężczyzn – których imiona niestety wyleciały mi chwilowo z głowy.

– Nie wyleciały – poprawił go ten jasnowłosy. – Zwyczajnie nie zdążyliśmy się jeszcze przedstawić. Pozwólcie więc, że uczynię to teraz – to powiedziawszy, powstał. – Mój towarzysz zwie się Neven, ja zaś mam na imię Jovan. – Skłonił się lekko, dotykając dłonią piersi.

– Ja zwę się Avaret – odparł najemnik – mój towarzysz zaś to Chlejus Opój, zwany również Moczymordą, pierwszy wśród pijących tego miasta.

– Darujmy sobie tytuły – rzekł skromnie elf, machając ręką. – Mówcie mi po prostu Ervill.

Obaj, Avaret i Jovan, zasiedli przy stoliku. Przed Avaretem stanął kufel złocistego piwa, przyniesiony przez spoconego karczmarza. Najemnik pociągnął głęboki łyk, a jego usta wypełnił orzeźwiający, gorzkawy smak.

– Cóż was sprowadza do tego miasta, mości panowie? – zagadnął Avaret, niespecjalnie tym zainteresowany. Nie był, tak, jak Ervill, skory do zawierania znajomości z każdym, z kim mógł się napić. Skoro jednak usiedli już przy jednym stole, wypadało coś powiedzieć.

– Zatrzymaliśmy się tu na krótki czas – odparł Jovan. Miał serdeczne usposobienie i szczery uśmiech, który kontrastował z posępną miną jego towarzysza. – Podróżujemy ze wschodu od wielu, wielu dni. Trudy drogi dają już o sobie znać, sprzykrzyło się nam też nocowanie pod gołym niebem, toteż zawadziliśmy o Mostar. Jutro jednak ruszamy dalej.

– Pilno wam, jak widzę. Dokąd zmierzacie, jeśli można zapytać?

– Ha! Tegom się już od nich dowiedział – wtrącił się żywo Ervill – mimo że sami mi tego nie powiedzieli. Spójrz, Avarecie, na znaki wyszyte na ich piersiach.

Avaret nachylił się, by przyjrzeć się bliżej koszulom swych rozmówców. Istotnie, mniej więcej na wysokości serca dało się widzieć niewielki znak, wyszyty białą nicią, trudno dostrzegalny z racji tego, że koszule również były w raczej jasnym kolorze.

– Feniks z rozpostartymi w locie skrzydłami – oznajmił, a elf pokiwał

potakująco głową. – Herb Loretii.

– Herb Starej Loretii – poprawił go Jovan. Tym razem jego głos był poważny, a z twarzy zniknął uśmiech. – Prawdziwej.

Loretia była starożytnym krajem, której granice leżały około dwudziestu dni drogi konno na zachód od Mostaru. W swojej długiej historii prowadziła wiele wojen z sąsiadującymi krajami, raz będąc zwycięską, raz przegraną. Mniej więcej przed trzystu laty nadszedł moment jej największej słabości, zarówno militarnej, jak i ekonomicznej, co skrzętnie wykorzystał wrogo nastawiony do niej, leżący na północy Azhgad, podbijając ją i anektując. Długi okres niewoli, mimo silnych represji i nieustannych prób tłamszenia, czy wręcz wyżynania kultury, tradycji i poczucia przynależności do kraju dziadów i pradziadów, nie zdołał wymazać z serc Loretańczyków ich tożsamości. Wielu oddało za to życie, jednak w końcu, nie więcej, jak przed dwudziestoma laty, Loretia odrodziła się, odpychając wroga poza własne granice.

– Co masz na myśli, mówiąc „prawdziwej”? – zainteresował się żywo Avaret. – Czymże różni się stara Loretia od odrodzonej?

Jovan prychnął drwiąco, lecz to Neven zabrał się za objaśnienie całej sprawy. Jego głos był szorstki i niski.

– Nasza wolność jest jedynie pozorna. Przepędzając Azhgadczyków z naszego kraju zapomnieliśmy, by przepędzić także tych z nas, którzy byli ich pachołkami. A oni już wiedzieli, jak się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Rządzą nami zdrajcy, którzy w poprzednim życiu byli oprawcami naszego ludu, dupki, które widząc naszą powstańczą ofensywę, stanęły po tej samej stronie, co my, lecz wcześniej przez setki lat ciemiężyły nas wspólnie z naszym wrogiem – przerwał na chwilę i uśmiechnął się pod nosem. – Znasz może, Avarecie, imię naszego króla?

Avaret uniósł brwi nieco zbity z tropu tym pytaniem. Zastanawiał się jakiś moment, lecz jedyne imiona, jakie kołatały się w jego głowie, należały do władców z zamierzchłych czasów. Zerknął na Ervilla, lecz po jego minie znać było, że również on ma problem z wymienieniem króla Loretii z imienia.

– Nie wiem – odparł w końcu.

Jovan walnął pięścią w stół.

– Ha! I nie dziwota! Wszak od wywalczenia wolności nie mieliśmy żadnego króla! Naszym krajem rządzi Wielka Rada, w której skład wchodzi sprzedawczyki i kolaboratorzy, ustanowiona jeszcze przed wybuchem powstania przez króla Azhgradu. Jej skład zmienia się co jakiś czas, lecz w istocie rządzą stale ci sami ludzie. Każdy kandydat do Rady musi zostać wcześniej przez nią zaaprobowany. Kto się Radzie otwarcie sprzeciwia, a chciałby wejść w jej szeregi, często kończy żywot wskutek nazwijmy to, „nieszczęśliwego wypadku”. Absurd, nieprawdaż?

– Nie wiedziałem, że aż tak u was źle...

– To jeszcze nic. Polityka Rady zmierza ku temu, by ponownie pozbawić nas wolności. Azhgrad już zaciera ręce na myśl o ponownej aneksji. Przedstawiciele Rady oczywiście temu zaprzeczają, tłumacząc taką politykę „próbą odbudowania przyjaźni i poprawy wzajemnych stosunków”. Odbudowania przyjaźni? Jasna cholera, przecież Azhgrad to nasz największy wróg!

Avaret pokręcił głową. Obleczone gniewem poczucie solidarności wypełniło jego myśli. Mimowolnie wyobraził sobie swój kraj, zniewolony, słaby, obdarty z tradycji, o wymazanej historii i pozbawiony dumy. Zauważył, że jego dłonie mocno zaciskają się w pięści.

– Jeśli rzeczywiście tak się sprawy mają... Jak to się jednak stało, że dopuściliście do pozostania Wielkiej Rady? Przecież ten chory twór winien być natychmiast po odzyskaniu wolności rozwiązany, a każdy zdrajca, jeśli nie powieszony, to już na pewno odsunięty od sprawowania jakiegokolwiek władzy.

– Za mało w życiu widziałeś, Avarecie – wtrącił się niespodziewanie Ervill. Mimo sporej ilości wypitego alkoholu elf sprawiał wrażenie całkiem trzeźwego. – Tacy zawsze się uchowają i będą wiedzieć, jak przetrwać, jeśli się ich od razu nie chwyci za pysk. Będą się tłumaczyć, usprawiedliwiać, żądać dowodów, w końcu oskarżać o fałszywe pomówienia. Role się odwrócą, mordercy wystąpią w roli ofiar, domagający się sprawiedliwości w roli napastników. Niejeden zostanie bohaterem i autorytetem, mimo zbrodni, jakie popełnił. Fałsz, Avarecie, zakłamanie i manipulacja, to oręż, którym walczą. No, napijmy się!

Chwycił za kufel i osuszył go z reszty piwa. W ciszy, która zapanowała,

każdy z jego słuchaczy rozmyślał nad wypowiedzianymi przezeń słowy.

– Nic dodać – rzekł w końcu Jovan – nic ująć.

Zamówili jeszcze po kuflu piwa. Każdy z Loretańczyków uraczył się także pajdą chleba ze smalcem oraz laską kiełbasy, aby pokrzepić się przed dalszą drogą do ojczyzny. Jedli, pili i w dalszym ciągu rozmawiali. Avaret robił się powoli senny. Siedzący obok niego Ervill pochrapywał już od jakiegoś czasu, gdy naraz upadek z krzesła wyrwał go z objęć snu. Instynktownie dobył wtedy zatkniętego za pas sztyletu, przekonany, że uległ jakiejś napaści, co wzbudziło wybuch śmiechu wśród wszystkich gości gospody. Jovan i Neven najwyraźniej uznali to za znak do udania się na spoczynek, gdyż chwilę później odsunęli krzesła i powstali. Avaret poszedł za ich przykładem.

– Życzę wam dobrej nocy. I bezpiecznej podróży, oczywiście. Kto wie, być może będzie nam dane jeszcze się kiedyś spotkać. Oby wasza ojczyzna cieszyła się już wtedy prawdziwą wolnością.

Loretańczycy, zamiast odpowiedzieć, spojrzeli jedynie po sobie i po krótkim zastanowieniu, jednocześnie skinęli porozumiewawczo głowami.

– Prawdę mówiąc – zaczął nieśmiało Jovan – chcielibyśmy wam coś jeszcze pokazać.

Averat uniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

– A cóż takiego?

– Jeśli pozwolisz, Avarecie i również ty, Ervillu, to prosiłbym, byście udali się wraz z nami w pewne miejsce. To niedaleko. O wszystkim opowiem, gdy już dotrzemy.

– Brzmisz dość tajemniczo, Jovanie. Niemniej nie widzę powodu, by odmówić waszej prośbie. Ervillowi zresztą przyda się mały spacer, aby nieco otrzeźwieć. Chodźmy!

Na zewnątrz zrobiło się całkiem chłodno. Jovan bez chwili zwłoki powiódł ich w górę zalanej mrokiem ulicy. Gdzieś w oddali usłyszeli wycie bitego psa. W zaułkach kręcili się wątpliwej reputacji obywatele Mostaru, których od rabunkowej napaści powstrzymywał jedynie noszony przez Avareta miecz. Ervill co jakiś czas pozdrawiał ich kpiarskim tonem i uniesioną dłonią.

Po krótkiej chwili marszu w milczeniu, Avaret uznał, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby usłyszeć choć szczątkowe wyjaśnienie tego nocnego spaceru.

– Dokąd zmierzamy? Spędziłem w tym mieście ostatni miesiąc i dobrze mu się przyjrzałem, jednak okolica wydaje mi się coraz mniej znajoma.

– Jeszcze chwila cierpliwości i będziemy na miejscu. Przepraszam, sam czuję się skrępowany naszą prośbą. Uwierz mi jednak, że mamy powody, by trzymać wszystko w tajemnicy.

– Tajemnicy? Co chcesz nam pokazać?

Jovan nie odpowiedział od razu, najemnik czekał jednak cierpliwie.

– Nie powiedzieliśmy wam jak dotąd nic o celu naszej, co by nie mówić, dalekiej podróży – odparł w końcu. – Nie zastanowiło cię to?

– Zastanowiło.

– Oczywiście. Nie jesteśmy sami, Avarecie, podążamy do Loretii jeszcze wspólnie z dwoma kompanami. Właśnie do nich zmierzamy.

– Dlaczego się rozdzieliliście?

Jovan uśmiechnął się.

– Ponieważ ktoś musiał pilnować tego, co ze sobą wieziemy.

A co wieziecie? – ostateczne pytanie nie opuściło ust Avareta. Postanowił zaczekać, aż Jovan sam zechce powiedzieć więcej.

– Nasze spotkanie nie było przypadkowe – ciągnął Loretańczyk. – Wcześniej usłyszeliśmy o was dużo dobrego od kupców, których karawanę doprowadziliście bezpiecznie do tego miasta. Wypytaliśmy o to i owo. W końcu zdecydowaliśmy się osobiście z wami porozmawiać – przerwał, rozglądając się po otaczających ich budynkach, jak gdyby starając się w ten sposób przypomnieć dalszą drogę, po czym skręcił w wąską, niewybrukowaną uliczkę. Z tyłu Neven tłumaczył coś Ervillovi przyciszonym głosem. – Chcielibyśmy was wynająć.

Avaret rozciągnął wargi w szerokim, mimowolnym uśmiechu, przypominając sobie słowa Gorana sprzed ledwie kilku godzin.

– Wynająć – powtórzył, starając się odegnąć od siebie poczucie rozbawienia. – To, że jesteśmy najemnikami i żyjemy z tego, że się nas

wynajmuje, to rzecz powszechnie wiadoma. Jeśli był w tym mieście ktoś, kto nie wiedział, czym się paramy, to wystarczyło, że przyszedł do gospody i posłuchał pijackich opowieści Ervilla o naszych barwnych przygodach i chwalebnych uczynkach. Po co więc te podchody?

Jego rozmówca zacisnął usta ani trochę nie zwalniając kroku. Mimo ciemności, Avaret zdołał dostrzec bruzdy, jakie pokryły jego czoło.

– Sprawa jest raczej z natury tych delikatnych. Wybacz mi, nie chciałbym póki co nic więcej mówić.

Najemnik nie zadawał więcej pytań. Podczas gdy szli dalej w milczeniu, zabudowa wokół wyraźnie się rozluźniała. Kolejno mijane budynki – piekarnia, pracownia bednarza, czy zakład krawiecki – nie sąsiadowały już ze sobą zwarem, jak wcześniejsze. Za tym ostatnim skręcała w lewo krótka uliczka, która doprowadziła ich do ogrodzonego walącym się płotem podwórza. W jego głębi stał opuszczony, drewniany budynek starej stajni.

– To tutaj – odezwał się w końcu Loretańczyk. – Jesteśmy na miejscu. W środku czekają na nas nasi towarzysze.

Avaret przyjrzał się uważniej okolicy. Wszystko wokół sprawiało ponure, wręcz upiorne wrażenie, potęgowane panującymi ciemnościami. Błady blask schowanego za chmurami księżycy padał na walające się po podwórzu zniszczone sprzęty, spośród których najbardziej wyróżniał się stary wóz z brakującym kołem. Sam budynek chylił się ku ziemi, a ziejące w jego ścianach liczne dziury sprawiały, że całość przywodziła na myśl jakąś szkaradę w obdartych łachach, wyciągającą pazury ku swojej ofierze. Avareta tknęło złe przeczucie, gdy mijał częściowo zwalony płot.

Wrota budynku stały otworem; wewnątrz, całe skąpane w mroku, pozostawało niewidoczne. Również najmniejszy szmer nie zdradzał niczyjej obecności.

– Dagonet! – Avaret usłyszał za plecami głos Jovana, u którego boku kroczyli Ervill i Neven. – Risk! Wróciliśmy!

Odpowiedziała mu głucha cisza. Avaret zerknął w jego stronę. Twarz Loretańczyka stężała w wyrazie zaniepokojenia, zdającego się wzrastać proporcjonalnie do czasu upływającego od momentu oznajmienia powrotu. Najemnik złapał ostrożnie rękojeść miecza i wolnym krokiem począł zmierzać ku otwartym wrotom. Ervill ruszył jego śladem, nie pozwalając mu

samemu podjąć ryzyka.

– O co w tym wszystkim chodzi? – szepnął skonsternowany elf. – Neven coś tam mi tłumaczył, ale mało go słuchałem...

– Chyba zaraz się czegoś dowiemy – odparł Avaret.

Księżyc wyłonił się zza chmur, oblewając podwórze intensywniejszym blaskiem. Spojrzenie Avareta przesunęło się po ziemi tuż u wejścia do chylącego się budynku. Coś przykuło jego uwagę. Kucnął, by lepiej przyjrzeć się rzadkim kępkom pożółkłej trawy, którymi upstrzona była w tym miejscu ziemia.

– To krew – mruknął, rozgarniając dłonią darń.

Wyprostował się i ścisnął mocniej rękojeść miecza. Nawykł już do sytuacji, w których serce biło mocniej, a każdy z narządów zmysłu odbierał bodźce intensywniej, niż zazwyczaj, ostrzegając przed potencjalnym zagrożeniem. Dzięki Ervillowi nauczył się również stąpać ostrożnie i cicho niczym kot, bezszelestnie zbliżając się do celu. Nie było możliwości, by dał się zaskoczyć. Ruchy Ervilla również były pewne i przemyślane. Równocześnie przekroczyli próg stajni.

W środku nie czekało na nich nic, prócz mroku, w którym mogło kryć się wszystko.

– Co widzą oczy elfa? – szepnął Avaret. Ciemność skryła ironiczny uśmiešek, jaki wypełził mu na twarz.

– To samo co twoje, Avarecie. Bawi cię, że w obliczu ciemności jestem równie ułomny jak wy, ludzie?

– Nie.

– Akurat. Zazdrościcie nam wiecznej młodości, sokolego wzroku oraz lepszej przemiany materii. Każdy aspekt, w którym was nie przewyższamy, jest przez was mocno wykpiwany. Nie wiem skąd...

– Zamknij się – przerwał mu Avaret, trącając go ramieniem.

Skupił wzrok, który powoli przyzwyczajał się do ciemności panujących we wnętrzu stodoły, na kształcie wystającym zza zgromadzonych przy jednej ze ścian beczek. Podszedł bliżej, cały czas zachowując skupienie. Pochyliwszy się, zdał sobie sprawę, że rzeczą, która przykuła jego uwagę, jest but. Jego spojrzenie podążyło dalej, wzdłuż wyciągniętej nogi, bioder,

klatki piersiowej i głowy, należących do mężczyzny w średnim wieku.

Z tej ostatniej sterczała strzała, z miejsca zaś, w którym się znajdowała, wciąż płynęła krew. Avaret dotknął skroni mężczyzny.

Jeszcze ciepła – pomyślał, pocierając mokre palce.

– Zdaje się, że Jovan i Neven winni nam są solidne wyjaśnienia – usłyszał obok głos Ervilla. Elf kucał przy zwłokach drugiego mężczyzny. – Coś tu się wydarzyło. I to dosłownie przed chwilą.

* * *

– Nie żyją – głos Avareta był twardy.

Jovan, który ledwie chwilę później znalazł się u boku najemników, stał teraz zupełnie sparaliżowany, wpatrując się w martwe ciała przyjaciół. Jego ramiona poczęły drżeć. Dopiero uświadamiał sobie, co właściwie ma przed oczami, a im był tego bliżej, tym bardziej wypełniały się łzami. Znać było, że lada chwila kolana ugną się pod nim.

– O co w tym wszystkim chodzi? – Avaret nie miał skrupułów dla wstrząśniętego mężczyzny. Liczył, że zdoła w ten sposób jakoś otrzeźwić załamane Loretanczyka.

Jovan spróbował coś powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle i szybko przeszedł w urywany szloch. Najemnik obrócił się w stronę Nevena, próbując pochwycić jego spuszczone ku ziemi spojrzenie. Ten trzymał się zdecydowanie mocniej, zaciskając jedynie dłonie w pięści.

– Prowadziliśmy dwa wozy z cennym ładunkiem – wymamrotał po chwili. – Bardzo cennym ładunkiem. Chcieliśmy was wynająć do ochrony w dalszej drodze — poderwał naraz głowę. – Ktoś musiał nas śledzić. Ktoś tylko czyhał na odpowiednią okazję. Ktoś...

– Nie ma czasu do tracenia – przerwał mu Avaret.

Chwycił za kołnierz osuwającego się na ziemię Jovana i postawił go na nogi, po czym uderzył otwartą dłonią w prawy policzek. Pomogło. Z oczu znikło przerażenie, a zastąpiły je gniew i buta, którym jednak Loretanczyk nie zdążył dać upustu. – Musimy działać czym prędzej. Ktokolwiek uprowadził wozy, zrobił to niedawno. Prędko!

Wybiegł na zewnątrz, nie oglądając się na resztę. Trzy uderzenia serca poświęcił na rozejrzenie się po pustym podwórzu, usiłując dojrzeć cokolwiek

mogącego naprowadzić na właściwy trop. Zasłona nocy i towarzysząca jej niemal bezwzględna cisza zatapiały jednak całą okolicę w odmętach niewyrazistości, zmuszając szukającego do snucia niepopartych żadnymi argumentami domysłów. A należało działać szybko.

– Jovan! Neven! Biegnijcie w górę ulicy. Ja i Ervill pobiegniemy w dół. W razie czego krzyczcie.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w obranym przez siebie kierunku. Po swojej prawej usłyszał zaraz sapanie Ervilla. Elf starał się z całych sił dostosować do narzuconego tempa, widać było jednak, że sprawia mu to niemało trudności. Pozostawało kwestią czasu, aż opadnie z sił. Uraz, jakiego doznał, a właściwie długotrwała stagnacja i morze wypitego w tym czasie alkoholu, odcisnęły wyraźne piętno na jego sprawności ruchowej, czyniąc mięśnie wiotkimi, a płuca mniej wydolnymi.

– O co może... w tym... chodzić? – zapytał któryś już raz tej nocy, czyniąc przerwy pomiędzy poszczególnymi słowami na zaczerpnięcie tchu.

– Myślę, że jeśli pobiegiesz szybciej i uda nam się złapać te wozy, to poznasz odpowiedź na swoje pytanie.

– Musisz mi tak... przyganiać, Avarecie? Miejże trochę... współczucia dla kaleki.

Avaret nie odpowiedział, a zamiast tego przyśpieszył jeszcze bardziej. Musiał uczciwie przyznać, że elf czynił co w jego mocy, by nie odstawać.

I może dlatego odstał tak szybko. W pewnym momencie Avaret zauważył, że nikt już koło niego nie biegnie. Obejrawszy się przez ramię dostrzegł zgiętego w pół Ervilla, wspierającego się prawą dłonią o mur stojącej przy drodze kamienicy. Głośno wymiotował.

– Nie przejmuj się mną! – usłyszał jego głos. – Biegnij dalej! Dogonię cię!

Avaret rzecz jasna ani nie zamierzał się przyjacielem przejmować, ani mu pomagać, ani też nie liczył, że ten zdoła go dogonić. Pomknął przed siebie, dostrzegając w odległości kilkudziesięciu kroków skrzyżowanie ulic. Minął świecące jasnym światłem okna oberży, kilka kamienic, które z kolei wydawały się całkiem pogrążone we śnie oraz budynek mogący być jedynie zamtużem, gdyż w oknach dostrzegł kilka frywolnie odzianych kobiet. Jego myśli przemykały przez głowę w miarowym rytmie podeszew uderzających o

ziemię.

Kogo tak właściwie ścigam? Jaki towar znajduje się na wozie? No i, cholera, którą stronę wybrać, gdy dotrę do skrzyżowania, a w dalszym ciągu nie dostrzegę uciekających drani?

Czas podjęcia decyzji zbliżał się w szaleńczym tempie, wraz z każdym kolejnym susem.

Obie przecinające się ze sobą ulice były całkowicie puste. Avaret rozejrzał się pospiesznie to na prawo, to na lewo. Zacisnął wściekle zęby, po czym na chybił trafił skierował się ku niewyraźnemu kształtowi, mającemu w oddali prowadzącego na wschód traktu. Gnany naprzód zajadłą determinacją, nie czuł żadnego zmęczenia.

Lecz niewyraźny kształt, w miarę jak nabierał konturów i powiększał się, potęgował sceptycyzm Avareta. Z całą pewnością się nie poruszał, nie mógł więc być uciekającym wozem.

– Niech to szlag – zaklął, zwolniwszy biegu.

Kilka kroków przed nim leżały beczki, które, najpewniej źle ułożone, zwyczajnie przewróciły się na drogę. Avaret zerknął na górujący nad nimi budynek.

Browar. Pieprzony browar.

Zawrócił zrezygnowany. Już nie biegł, a szedł powoli, dopiero teraz odczuwając zmęczenie płynące ze wzmożonego wysiłku. Nie wiedział czemu, ale silne przecucie mówiło mu, że również Jovan i Neven odnieśli identyczną porażkę. Ktokolwiek uprowadził wozy, zapewne był już daleko.

Dotarłszy do skrzyżowania, wyteżył jeszcze raz wzrok, aby przyjrzeć się uważniej kierunkowi przeciwnemu do tego, w którym pobiegł. Nie dostrzegł nic. Obrócił się i ruszył z powrotem w stronę podupadającej stodoły.

Nagle poprzez zasnuwający okolicę mrok jego uszu doszedł jakiś dźwięk, najprawdopodobniej rozmowy, lecz nie był tego pewien. Przystanął i wstrzymawszy oddech, nadstawił ucha. Odgłosy były niewyraźne, przytłumione i początkowo trudne do rozróżnienia, lecz z każdym kolejnym wolno stawianym krokiem nabierał pewności co do tego, kogo właściwie słyszy. Błady uśmiech rozjaśnił zatroskaną twarz najemnika.

– Zechciej mi wybaczyć, nadobna niewiasto, że zakłócę twój nocny

spoczynek – słowa Ervilla skierowane były do kurtyzany, wyglądającej z okna jednego z budynków. – Nie widziałaś aby przypadkiem kogoś przejeżdżającego tą drogą nie dalej jak przed momentem? Ścigam groźnych bandytów, lecz niestety strach przed moją osobą dodał im chyba nie lada chyżości, gdyż, psiakrew, całkiem zgubiłem ich trop.

– Widziałam tylko jego – kobieta wskazała długim, chudym palcem zbliżającego się do nich Avareta. – I chyba niespecjalnie się ciebie boi, elfie, skoro sam ku tobie zmierza.

Ervill obrócił się raptownie we wskazanym kierunku. Pochwycił od razu spojrzenie przyjaciela, który beznamiętnym ruchem głowy dał znać, że pościg nie zakończył się sukcesem.

– Wracajmy więc. Być może naszym tajemniczym przyjaciołom bardziej się poszczęściło.

Odwrócił się, na odchodnym posyłając kurtyzanie płomiennego całusa. Ta, o dziwo, oblała się rumieńcem.

Szli w milczeniu, wysłuchując jedynie odgłosu własnych kroków. Zawiedli, nie pierwszy raz, lecz gorycz wcale nie była z tego powodu mniejsza. Jedynie odnalezienie wozów i wymierzenie sprawiedliwości mordercom mogły zmyć jej posmak.

Nadzwyczaj silna determinacja zawładnęła Avaretem, zupełnie, jak gdyby traktował całą sprawę osobiście, a nie, jak to zawsze bywało, czysto zawodowo. Coś w jego wnętrzu płonęło, nakazując działać natychmiast i bez wytchnienia. Usiłował zdusić w sobie to uczucie i podejść do wszystkiego na chłodno, lecz starania te zdawały się jedynie próżnym wysiłkiem.

Miał przed sobą jasny cel, a pierwszym krokiem na drodze do niego była szczerza rozmowa z Loretańczykami.

Zastali ich pod wrotami, siedzących na jakichś starych, drewnianych wiadrach. Widok zwieszonych głów i skwaszonych min był jasnym sygnałem, że również ich próba się nie powiodła. Obaj milczeli, zatopieni we własnych myślach. Nieobecne spojrzenie Jovana zdradzało jego aktualny stan ducha; toczoną z samym sobą wewnętrzną walkę, poczucie winy za śmierć przyjaciół, przy których go zabrakło oraz czynione sobie z tego powodu wyrzuty. Oblicze Nevena ukazywało znacznie mniej. Zasepiony i nieruchomy, nie pozwalał, by emocje pojęły jego ciało we władanie. To on

jako pierwszy zauważył powrót Avareta i Ervilla.

– Nie wpadliśmy na żaden trop – rzekł ochrypłym głosem.

Avaret przystanął w odległości kilku stóp od niego.

– Zupełnie jak my. Ktokolwiek tego dokonał, wiedział, kiedy uderzyć i był do tego doskonale przygotowany. Musiał obserwować was od dłuższego czasu, może nawet podążał waszym śladem. Pytanie tylko dlaczego? Co znajdowało się na wozach?

Twarz Nevena zastygła. Niespodziewanie to Jovan, otrząsnąwszy się już nieco po doznanym szoku, powstał i zwrócił swe oblicze w stronę najemników. Avaret nie potrafił dojrzeć jego oczu, wyobrażał sobie jednak, że są czerwone i napuchnięte.

– To, co przewoziliśmy – głos drżał mu na tyle mocno, że z trudem wypowiadał kolejne słowa – to była broń.

– Broń?

– Miecze, tarcze, łuki, strzały, kolczugi. Głównie jednak miecze. W ich właśnie wykuwaniu specjalizują się krasnoludy z Gorzejących Gór.

– Z Gorzejących Gór? – spytał milczący do tej pory Ervill. – Daleka droga. Nie wiedziałem, że handlujecie bronią.

Usłyszawszy słowa elfa, Jovan zerknął w stronę Nevena. Tamten wykonał nieznaczny ruch głową.

– Nie handlujemy bronią – odparł. – Miała ona posłużyć do walki w powstaniu. Do obalenia rządów Wielkiej Rady. Do odzyskania wolności.

Wszystko zaczyna się zazębiać – przemknęło przez głowę Avaretowi.

– Rewolucja przygotowywana jest już od jakiegoś czasu, w tajemnicy oczywiście, lecz nie da się całkowicie ukryć takiego przedsięwzięcia. Emisariusze, tacy, jak my, przywożą kolejne transporty broni, której tak bardzo nam brakuje. Prawo w naszym kraju jest pod tym względem bardzo surowe; prości chłopci, kowale czy rzemieślnicy uzbroić się mogą co najwyżej w widły, kosy czy młoty. Wielka Rada sabotuje wszystkie oddolne próby zorganizowania lokalnych społeczności. Ktokolwiek się na to odważy, kończy w więzieniu, z którego już nie wychodzi.

Wkrótce jednak powinniśmy być gotowi. Do wojny, w której Loretia

spłynie krwią jej własnych mieszkańców. Nie ma jednak innego wyjścia. Widmo kolejnego zniewolenia przez Azhgad jest już zbyt bliskie. Zagłada w oczy każdemu z mych pobratymców, napełniając je strachem i zwątpieniem.

– Wojna jeszcze się nie rozpoczęła, a zdążyła już pociągnąć za sobą pierwsze ofiary – stwierdził sentencjonalnym tonem Ervill. – Wiecie, że to dopiero początek?

Jego pytanie nie doczekało się żadnej odpowiedzi, jeśli nie liczyć krakania wrony, przysiadłej gdzieś na dachu stodoły. Pierwsze promienie słońca zaczęły przebijać się przez kurtynę ciemności, padając na twarze czwórki towarzyszy, z których każda wyrażała inne emocje, w gruncie rzeczy jednak dość do siebie podobne. W błękitnych oczach Avareta tańczyły złość i ambicja, chęć wymierzenia sprawiedliwości i walki o słuszną sprawę, jedno uczucie napędzane przez drugie. Po twarzy Ervilla błąkało się coś bardzo bliskiego zgorzknieniu, bolesna świadomość dziejów, wynikająca z przeżytych przez niego ładnych kilku dekad oraz tego, czego w ich trakcie był świadkiem. Oblicze Jovana zatraciło całkowicie młodzieńczy urok; jego miejsce zajęły zwątpienie i bezsilność. Wyglądał jak człowiek, który w całym swoim życiu nie zamierza się już zaśmiać. Zaciśnięte usta i zmrużone oczy Nevena świadczyły o tym, że i w jego wnętrzu musi wiele się dziać, choć jedynie niewielka tego część wydostaje się na zewnątrz.

– Niezależnie od tego – rzekł w końcu Avaret, a słysząc te słowa, każdy z obecnych drgnął nieznaczenie – kto dokonał tego haniebnego czynu, zwykły złodziej, czy nie, pierwszym obowiązkiem wobec waszych towarzyszy powinno być pogrzebanie ich, w miarę możliwości z należnym honorem.

Jovan spróbował coś odpowiedzieć, lecz ściśnięte gardło pozwoliło wydostać się na zewnątrz jedynie cichemu jękowi.

– Dagonet i Risk byli naszymi wiernymi druhami – rzekł zamiast niego Neven. – Należy im się na pewno godny pochówek. Musimy jednak dokonać tego w tajemnicy, z dala od wścibskich oczu. Dla dobra naszej sprawy.

Najemnik skinął ze zrozumieniem głową.

– Wiele dni spędzonych w tym mieście pozwoliło mi je dość dobrze poznać. Znam jedno miejsce. Powinno nadać się idealnie.

Wynieśli ciała Dagoneta i Riska na zewnątrz, nie mącąc panującej ciszy ani jednym słowem. Gdy już ułożyli je na poznaczonej rzadkimi kępkami

trawy ziemi, Avaret przykucnął, by przyjrzeć się lepiej obu mężczyznom. Wydało mu się, że ich rysy układają się w dziwnym wyrazie ulgi i spokoju, cech tak odmiennych od tych, które towarzyszyły im, żyjącym.

Tylko trup może tak wyglądać.

Położył rękę na skroni Dagoneta, by wydobyć z niej strzałę. Ujął ją w prawą dłoń i począł ciągnąć, gdy nagle namacał na drzewcu jakąś nierówność, coś jakby dość misterne żłobienie. Szarpnął gwałtownie, a mając już wyswobodzoną strzałę między palcami, przyjrzał się jej uważnie w pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

Drzewiec nie był gładki, ale to poczuł już wcześniej. Teraz z kolei jego oczy ujrzały podobiznę wijącego się niczym morskie fale węża, z którego łba wydostawał się równie mocno poskręcany jęzor.

* * *

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy Avaret w towarzystwie Nevena, różnym krokiem zbliżał się do drzwi zbrojowni. Najemnik liczył, że jego znakomicie obeznany z bronią przyjaciel będzie w stanie powiedzieć im coś więcej na temat tajemniczego znaku węża. Czas działał na ich niekorzyść, z każdą chwilą szanse na odbicie ładunku malały.

Minąwszy znajomy mu już z widzenia zakład garbarski, Avaret zerknął z ukosa na swego towarzysza. Po drodze nie zamienili zbyt wielu słów. Małomówność Nevena mogła oczywiście wynikać z przeżyć minionej nocy, najemnik sądził jednak, że jej źródłem jest po prostu skryta natura. Loretańczyk bez cienia wątpliwości ulepiony był z dalece twardszej gliny niż jego pobratymiec. Zgodnie zresztą uradzili, że dla Jovana najlepiej będzie, jeśli odpocznie nieco i nabierze sił, które w niedalekiej przyszłości mogły okazać się nieocenione. Ervill zadeklarował się dotrzymać mu towarzystwa, bynajmniej jednak nie z powodu stanu swojego ducha, a raczej w wyniku konsekwencji, jakie niesie za sobą nadmierne spożycie alkoholu. Zwyczajnie zaczął doskwierać mu kac.

– Ciekawi mnie jedna rzecz – zagadnął Avaret, drapiąc się po krótkiej, jasnobrazowej brodzie.

– Tak?

– Dlaczego zwróciliście się do nas z prośbą o pomoc? Przejechaliście,

sami we czwórkę, kawał drogi. Z powodzeniem, gdyż z tego, co wiem, wasz ładunek nie ucierpiał w tym czasie ani trochę. Dlaczego zdecydowaliście się na dodatkową ochronę dopiero na tym etapie podróży? Do Loretii jest jeszcze kawałek drogi, nijak ma się to jednak do dystansu, jaki już pokonaliście.

Neven uśmiechnął się gorzko.

– To nie był mój pomysł – przyznał bez ogródek. Uśmiech szybko zniknął spod jego krzywego nosa, ustępując miejsca trudnemu do rozszyfrowania grymasowi. – Niemniej rozumiem pobudki, jakie kierowały innymi. I w gruncie rzeczy uważam, że podjęli słuszną decyzję. Widzisz, na początku wszystko wydaje się łatwe. Plan jest prosty: dotrzeć do Gorzejących Gór, załadować oręż na wozy i przywieźć go do Loretii. Jednak w drodze powrotnej wszystko się zmienia. Człowiek na każdym kroku spodziewa się kłopotów, patrzy spode łba na wszystkich mijanych wędrowców. Pojawia się świadomość, że wypchany czymś po brzegi wóz przyciąga uwagę. Kilukrotnie musieliśmy się bardzo postarać, by umknąć zasadzce. Prawdziwej bądź złudnej, gdyż jestem pewien, że duża część naszych obaw była jedynie wymysłem podsuniętym przez owładniętą strachem wyobraźnię. Chcieliśmy poczuć się choć trochę pewniej, ot cała historia.

– Rozumiem. – Avaret skinął głową. – Mimo wszystko dużo ryzykowaliście.

– Co masz na myśli?

– Nie udawaj. – Najemnik się zaśmiał. – Wtajemniczenie w takie przedsięwzięcie osób z zewnątrz jest jednak cholernym ryzykiem. Niektórzy nazwaliby to głupotą.

Neven zamilkł na chwilę, nieco zbity z tropu.

– Przecież... Przecież jesteście najemnikami... Wykonujecie zadania zleczone wam przez tego, kto wam płaci. Płacimy my, więc powinniście być po naszej stronie... Każdy może was wynająć, a wy robicie to, co jest w interesie zleceniodawcy. Czyż nie?

Avaret parsknął śmiechem.

– W teorii tak. W praktyce różnie to bywa. Mnie osobiście każdy wynająć nie może. W tym upatruję wyższości swojego zawodu nad tym najstarszym.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Nie zrobię czegoś, co mi się nie podoba, czegoś, co będzie sprzeczne z moim sumieniem. To jest jedna sprawa. Druga jest taka, że nie każdy, komu zapłacisz, będzie ci wierny. Zawsze może pojawić się ktoś, kto da więcej, a ty, zanim się połapiesz, możesz być trupem, żebrakiem bądź kaleką. Ludzka natura jest chciwa, a natura najemnika już najbardziej. Zapamiętaj to sobie.

Neven spojrzał na Avareta podejrzliwym wzrokiem, nie wiedząc, czy ten mówi poważnie, czy też kpi.

– Co mam przez to rozumieć?

Najemnik przystanął, by umożliwić wypchanemu po brzegi, a nawet sporo ponad nie, wozowi swobodny przejazd. Niemal bezzębny woźnica burknął coś niezrozumiale, skłaniając głowę. Zapewne było to „dziękuję”.

– Dokładnie nic – odparł, wznowiwszy swój marsz. – Oho! Jesteśmy na miejscu.

Przemierzył te kilka kroków, które dzieliły ich od progu zbrojowni, po czym, czyniąc równocześnie zapraszający gest lewą ręką w kierunku Nevena, prawą pchnął niewysokie drzwi.

– Uważaj na głowę – ostrzegł towarzysza. – Wejście projektował najpewniej krasnolud.

W środku było cicho i chłodno. Avaret odsapnął głośno, ścierając pot, jaki wystąpił mu na czole w trakcie marszu. U jego boku zaraz stanął Neven, przemykając pospiesznym spojrzeniem po kątach zbrojowni. Nie minęła chwila, a zza rogu krótkiego korytarza, w którym stali, wyłoniła się postać Gorana Metza. Na ich widok przygarbiony, posiwiały mężczyzna wyrzucił ręce w górę, wyraźnie rad z odwiedzin.

– Avaret! – zakrzyknął, ochoczo zacierając ręce. – Witam, witam. Widzę, że przemożna chęć odwetu mocno ci doskwiera, mam rację? Nie ma sprawy, już rozkładałam planszę. Ty w międzyczasie zechciej nas sobie przedstawić, mnie i twojego kompana, rzecz jasna.

To rzekłszy jednym, zwinnym susem dopadł swojego pokoju. Bałagan, jaki w nim panował, nie zmniejszył się od ostatniej wizyty najemnika ani o jotę. Avaret westchnął, kręcąc głową z uśmiechem.

– Tym razem nie przyszedłem na partię szachów – rzucił w kierunku

Gorana.

Na twarzy zbrojmistrza, która na dźwięk tych słów wychynęła zza ściany, malowało się zaskoczenie pomieszane z nutką rozczarowania. Jego gęste brwi zatańczyły nad oczami, zanim zdecydował, by i reszta jego ciała opuściła zagracone pomieszczenie. Avaret przedstawił sobie obu mężczyzn. Nie wdając się w przytaczanie Goranowi wydarzeń minionej nocy, bez zbędnych ceregieli dobył skrytej za pasem strzały i podetknął ją niemal pod sam nos zbrojmistrza.

– Byłbyś w stanie coś więcej nam o tym powiedzieć? Nie mam na myśli samej strzały, a raczej wyryty na niej znak

Goran zmrużył oczy, dokładając swojej twarzy kolejnej porcji zmarszczek. Kąciki jego ust poruszały się nieznacznie, zupełnie, jak gdyby z całych sił starał się powstrzymać wypęczający na nie uśmiech. Avaret zauważył, że mimowolnie ściska strzałę o wiele mocniej, niż było to potrzebne. Poczuł, jak drzewiec powoli odkształca się pod naporem jego siły. Raptownie rozluźnił uścisk, bojąc się, że może przypadkiem zniszczyć jedyną poszlakę. Przeniósł spojrzenie w stronę Gorana akurat w momencie, gdy ten zdawał się gotowy, by wygłosić swoje zdanie na temat dostarczonej mu rewelacji. Krótką chwilę napięcia ostatecznie zakończyło jego cmoknięcie.

– Proszę, proszę – po jego minie znać było, że możliwość wygłoszenia ekspertyzy sprawia mu niemałą przyjemność. – Niecodzienne znalezisko dzierzysz w dłoni, Avarecie. Chodźcie! Usiądźmy wygodnie, to wszystko wam opowiem.

Obróciwszy się na pięcie, skierował swe kroki na powrót w stronę zagraconej izby. Avaretowi przemknęło przez myśl pytanie odnośnie tego, co Goran rozumie przez wygodne usadowienie się na wąskich i twardych krzesłach, jednak powstrzymał się od komentarza. Zająwszy miejsce przy stole, raz jeszcze przyglądał się tajemniczemu grawerunkowi. Zdało mu się, że gdy porusza strzałą między kciukiem a palcem wskazującym i środkowym, wąż wije się zupełnie, jak gdyby rzeczywiście był gadem pełzającym wśród traw. Z zamyślenia wyrwał go Goran, sadowiąc się dokładnie naprzeciw niego.

– Nie pytam, skąd macie tę strzałę, ani w jakich okolicznościach weszła w

wasze posiadanie. Mimo że ciekawość aż mnie zżera, mówiąc szczerze.

Avaret milczał. Zacisnąwszy mocniej usta, skinieniem głowy nakazał Goranowi kontynuować, bez pochylania się nad tym aspektem całej sprawy. Zbrojmistrz wykrzywił wargi w wyrazie nieco zadziornego uśmiechu.

– No cóż, przejdźmy dalej – rzekł. – Z pozoru grawerunek może się wydawać zupełnie zwyczajny, wszak wykonanie go nie powinno stanowić problemu dla wprawnego rzemieślnika. Jednak z tym jest inaczej. Ciekaw jestem, Avarecie, czy udało ci się dostrzec w nim coś, co by go w znaczący sposób wyróżniało.

Oczy Avareta rozblęły na krótki moment.

– Cóż... Widziałem... Wydało mi się, że ten wąż się porusza.

– Bingo! – krzyknął Goran, waląc pięścią w stół. Stojący na nim kałamarz przesunął się na niebezpiecznie bliską krawędzi odległość. Zbrojmistrz chrząknął, zupełnie nie zwracając na to uwagi. – Aby poznać genezę przedmiotu, który dzierzysz Avarecie w swej dłoni, musimy się cofnąć o wiele lat. Zbyt wiele, by to, co zaraz powiem, można było uznać za bezsprzeczne fakty, zbyt mało jednak, by traktować to jedynie jako legendę, wydumaną bajdę opowiadaną dzieciom.

Avaret zerknął w stronę malutkiego okienka znajdującego się nad głową Gorana. Upał ostatnich dni przywłókł w końcu za sobą burzowe chmury, które poczęły kłębić się zupełnie, jak gdyby przybyły na zawołanie Gorana, aby podsyć atmosferę jego opowieści. Najemnikowi zdało się, że na twarz zbrojmistrza wypełził delikatny uśmiech, wywołany dodatkowym podniecenie, jakie mu się w związku z tym udzieliło. Bez wątpienia czuł się w tym momencie jak ryba w wodzie.

– Wszystko zaczęło się jakieś pięćset z górą lat temu – zaczął Goran. – Wtedy to jeden z prominentnych dostojników królewskich, wskutek uknutej przez nieprzychylnych mu ludzi intrygi, został postawiony w stan oskarżenia o zdradę kraju. Król, jak niosła plotka, sam uwikłany w intrygę, lekką ręką wydał wyrok skazujący go na śmierć. W dniu egzekucji cały plac wokół szafotu zappełnił się ludźmi. Wtedy to, na oczach tłumu zdarzył się cud. Nie wiedzieć jak, skazańcowi udało się jakoś umknąć spod stryczka. Nim zniknął, przystanął na dachu jednego z otaczających plac budynków i obwieścił zemstę na królu i jego rodzie. Zemstę, która dokona się na długo wcześniej,

zanim zostanie zauważona.

– O co mu chodziło? – przerwał zaciekawiony Neven.

– Tego nikt nie wiedział – odparł Goran. – Tutaj przechodzimy do drugiej części historii. Wkrótce po tym zdarzeniu, kraj zalała fala zuchwałych napadów. Jej ofiarą padli poborcy podatków, znikający bez żadnego śladu wraz z zebranymi pieniędzmi, karawany przewożące drogocenne klejnoty, złote monety, bursztyny i jedwabie. Zjawisko narastało w zastraszającym tempie, najgorsze zaś było to, że po incydentach nie pozostawał żaden świadek. Dosłownie żaden. Jedna rzecz łączyła wszystkie rozboje.

– Strzała z wijącym się wężem – wtrącił Avaret.

– Dokładnie – Goran skinął głową. – Na ludność padł blady strach. Szeptano o hordzie demonów zesłanej w karze za występki dworu, nazwano ją właśnie Bractwem Jadowitego Węża. Król miał do całej sytuacji dużo bardziej racjonalne podejście, niemniej zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakie z niej wynikało. Wiecie, co się wtedy stało?

Obaj, Avaret i Neven, pokręcili przecząco głowami. Huk gromu rozdarł na poły ciszę, jaka na chwilę zapanowała.

– W momencie, w którym przerażenie ludu sięgnęło zenitu, rozboje zaczęły stopniowo ustawać. Bractwo przystąpiło do kolejnej fazy działania. Zasobne w zagrabione bogactwa, znajdując się u szczytu potęgi, poczęło stopniowo przejmować władzę. Zaczynając od najniższych szczebli, korumpowało i przeciągało na swoją stronę kolejnych dostojników. Jakoś tak to się jednak działo, że żaden z przekupionych nie nawiązywał osobistego kontaktu z członkiem bractwa, wszystko odbywało się przez tajemniczych pośredników. W międzyczasie władzę przejął syn zmarłego króla. Gangrena sięgała coraz wyżej i wyżej, aż w końcu dotarła w najbliższe otoczenie władcy, mającego już przeciw sobie większość szlachty i rycerstwa. Wtedy to prostaczekowie zaczęli przebąkiwać, że oto dokonała się zemsta zapowiedziana kilkadziesiąt lat wcześniej oraz że nadszedł moment, w którym niesłusznie skazany doradca, niechybnie stojący na czele bractwa, ujawni się, by przejąć władzę i włożyć na swą głowę koronę. I tutaj następuje najciekawsza rzecz.

Czekając na kontynuację opowieści, Avaret zerknął w stronę okienka, akurat w momencie, gdy jego przeciwległe rogi połączyła błyskawica.

Wnętrze izdebki na krótki moment zalała fala światła.

– Nie stało się nic. Bractwo przepadło bez śladu, znikło raz na zawsze, zapadło się pod ziemię. Król utrzymał władzę, po jego śmierci zaś przejął ją jego syn, a następnie wnuk. Nikt więcej nie słyszał o Bractwie Jadowitego Węża.

Avaret zmarszczył czoło.

– I tyle? Legendy nigdy tak się nie kończą.

Ciepły śmiech Gorana wypełnił każdy kąt pomieszczenia, żywo kontrastując z kolejno następującymi po sobie hukami piorunów.

– To nie jest legenda, przyjacielu, przynajmniej nie do końca. Istnieje wiele źródeł historycznych, potwierdzających autentyczność tamtych wydarzeń.

– Więc... Więc sugerujesz mi, że na wpół mityczna organizacja odrodziła się właśnie teraz? Że powróciła ni z tego, ni z owego, po paruset latach niebytu?

Zbrojmistrz rozłożył ręce w obronnym geście.

– Absolutnie niczego takiego nie sugeruję, Avarecie. Przyszedłeś do mnie, aby dowiedzieć się więcej o strzale, którą tak kurczowo ściskasz w swej prawicy, ja zaś przytoczyłem ci jej historię. Jestem bardzo daleki od wygłaszania jakichkolwiek werdyktów.

– Więc co to wszystko ma znaczyć? – rzucił podirytowany najemnik. Wcześniej liczył, że wizyta złożona Goranowi zdoła posunąć śledztwo naprzód, zamiast tego uzyskał kolejną porcję pytań i wątpliwości. Ziarnko bezsilność w jego wnętrzu pękło, otwierając drogę wzrastającemu uczuciu. Zerknął na siedzącego nieruchomo Nevena. Oblicze Loretańczyka było zasępione, puste oczy nie zdradzały żadnych emocji. Widok ten pozwolił zakiełkować kolejnemu ziarnku w duszy Avareta, ziarnku poczucia zawodu. Przepełniony gniewem, w głównej mierze na samego siebie, zacisnął mocniej nie tylko dłoń dzierżącą jedyną poszlakę, lecz również zęby, które głośno zazgrzytały.

– Tego musisz już sam się dowiedzieć – rzekł Goran, nawiązując do zadanego wcześniej pytania. W jego oczach odbijał się blask coraz liczniej przecinanego błyskawicami nieba.

* * *

Pomimo gęstych strug padającego deszczu oraz gorących nalegań Gorana, aby przeczekali u niego ulewę, Avaret i Neven niezwłocznie pokonali odległość dzielącą zbrojownię od karczmy „Kudłaty Miś”. Czas naglił, groźba przemoknięcia do suchej nitki nie miała prawa ich odstraszyć.

Od progu zalała ich fala przyjemnego ciepła. Wślizgnąwszy się do środka, Avaret przystanął na chwilę, aby pozwolić ubraniom nieco ocieć. Rozczochnął opadające na ramiona zlepione włosy, tupnął parę razy butami o drewnianą pogodę, po czym rozejrzał się po wnętrzu głównej sali. Była całkowicie pusta, jeśli nie liczyć siedzących przy jednym stole Ervilla i Jovana, oraz Holeta dokładającego drewnianego do palącego się na kominku ognia. Elf był właśnie w trakcie przyjmowania złocistej barwy lekarstwa, w postaci płynnej rzecz jasna, mającego uśmierzyć kaca. Siedzący naprzeciw niego Jovan również pochylał się nad kuflem, z którego jednak niewiele jak do tej pory ubyło. Mimo to sprawiał wrażenie, jakby pozbierał się w końcu w garść. Avaret zadał sobie w myślach pytanie, czy to właśnie towarzystwo elfa, a konkretniej jego prostolinijność, poczucie humoru, swada i lekceważący stosunek do napotykanym kłopotów, tak na niego wpłynęły, czy może zaczęło działać najlepsze lekarstwo, jakim jest czas.

Złowiony kątem oka ruch Nevena w stronę zajętego przez ich towarzyszy stołu sprawił, że ocknął się za zamyślenia. Idąc śladem Loretańczyka, zajął miejsce naprzeciw Ervilla, dłoń wspierając na rękojeści miecza tak, aby nie zahaczyć nim o któryś z mebli stanowiących wyposażenie karczmy. Strzała spoczywała bezpiecznie w jednej z kieszeni jego szarozielonego kubraka.

– Dowiedzieliście się czegoś? – zagadnął Ervill unosząc kufel do ust.

– Raczej nie mogę tego powiedzieć – wycedził Avaret. – Wedle naszej jedynej koncepcji za wszystkim stoi mityczna organizacja, zwana Bractwem Jadowitego Węża, która oto objawiła się ponownie po pięciu wiekach zapomnienia. Kiedyś podobno niemal przejęła władzę w królestwie, teraz zaś wróciła po to, by udaremnić powstanie w Loretii. Jak to dla ciebie brzmi?

Elf gwizdnął głośno i przenikliwie.

– Ciekawa koncepcja, przyznaję. Wobec tego nie pozostaje nam chyba nic innego, jak zakończyć śledztwo. Jovanie, Nevenie, bardzo mi przykro, ale ta sprawa jest z góry przegrana. Trzeba się z tym pogodzić i ruszać dalej.

Jovan spuścił niemrawo głowę. Widać było, że jest całkowicie wyczerpany z jakichkolwiek sił; że nie ma już ani ochoty walczyć, ani wiary w to, że walka może okazać się zwycięska. Znajdował się w stanie, w którym człowiekowi jest już zupełnie wszystko jedno, co się stanie, choćby stał w obliczu pewnej śmierci. Neven, do czego już wszystkich przyzwyczał, zachował większość emocji dla siebie.

Avaret przyjrzał się bacznie elfowi. Gdyby jego oczy miały zdolność miotania gromami, Ervill właśnie leżałby pod stołem, a z jego ciała unosiłyby się smużki dymu i zapach spalenizny.

– Chyba żartujesz – wycedził. – Nie spocznę, póki...

– Póki się nie zesrasz – dokończył Ervill, beczelnie wpadając w słowo. – Zdarza się, drogi Avarecie, coś takiego, jak zbrodnia doskonała. Przypadek rzadki, jak sraczka, niemniej zdarza się. I właśnie nas spotkał. Nie mamy żadnego tropu, prócz tego wiodącego donikąd, nie mamy żadnych poszlak. Ci, którzy to zrobili, znali się na swoim fachu, niech ich jasna cholera! Pogódź się z tym, przyjacielu. Im prędzej, tym lepiej, dla ciebie i dla nas. Zdaj się na moje doświadczenie, bogatsze od twojego o ładnych parę dekad.

Avaret wstał gwałtownie, omal nie przewracając tym ruchem stołu.

– Pierdolę twój pragmatyzm i wyrachowanie! – wybuchnął. – To doświadczenie, którym się chwalisz, to nic innego, jak zwykłe zgorzknienie, starczy defetyzm, główne źródło bierności i stagnacji!

– Czynisz duży błąd, Avarecie, równając mnie ze starcami ludzkiego gatunku. Starzec taki bowiem gorzkniej, mając świadomość nadchodzącej wielkimi krokami śmierci, kresu swojego życia. Ja zaś kostuchy na horyzoncie nie dostrzegam, dzięki czemu wiek może być w moim przypadku tylko i wyłącznie zaletą.

Avaret pokręcił głową, dając wyraźnie do zrozumienia, co sądzi o tej krótkiej wymianie zdań. Loretańczycy wpatrywali się w niego w milczeniu, gdy odwracał się plecami do Ervilla i ruszał w stronę wyjścia.

– Goran polecił mi udać się do Wielkiej Biblioteki Mostaru, by tam zdobyć nieco wiedzy na temat Bractwa – rzucił przez ramię do Loretańczyków. – Jeśli chcecie, chodźcie ze mną. Na razie nic więcej nie jesteśmy w stanie zrobić.

Jovan począł się podnosić, lecz zastygł, na wpół stojąc, na wpół siedząc, na dźwięk słów Nevena:

– Zostań. Ervill ma rację, to nie ma sensu. Przeegraliśmy.

Jovan zwiesił głowę, ograbiony z resztek nadziei i woli walki. Drzwi trzasnęły głośno za Avaretem.

Nieoczekiwanie Neven uniósł się, ściągając na siebie spojrzenia pozostałej dwójki.

– Idę się przejść – rzekł. – Potrzebuję zażyć trochę samotności.

Chwilę później drzwi trzasnęły ponownie, a odgłos ich zamykania towarzyszył przez chwilę zatopionym w myślach Ervillowi i Jovanowi.

* * *

Odziany w obdarte łachmany mężczyzna zeskoczył z konia, lądując w błotnistej brei, w jaką zmieniała się ziemia w ciągu ostatniej godziny. Jego ubiór żywo kontrastował ze schludnie przystrzyżoną siwą brodą oraz starannie uczesanymi, krótkimi, równie siwymi, jak broda włosami. Można by nazwać go starcem, gdyby nie bystre, żywe oczy oraz lekki i płynny sposób poruszania się. Mężczyzna pochylił się, bacznie przyglądając się rozmokłej ziemi. Choć wydawać się mogło, że ulewa zdążyła już zmyć wszystkie ślady, dokładnie wiedział, co robi.

Trop, którym od dłuższego czasu podążał, wiódł w stronę Mostaru.

* * *

Ervill, rozsiadłszy się wygodniej, a przez wygodę rozumiał oparcie prawej stopy na stole i kołysanie się na tylnych nogach krzesła, począł analizować odbytą dopiero co, utrzymaną w niezbyt przyjaznym tonie, pogawędkę z Avaretem. Przywar, jakie zostały mu w niej wytknięte, w najmniejszym stopniu nie uważał za prawdziwe, co nie znaczyło wcale, że nie poczuł się dotknięty. Zjeździł z Avaretem pół świata, wspólnie stawiali czoła niebezpieczeństwom, jakie innym nawet się nie śniły, hartując tym samym swoją przyjaźń. Elf zdawał sobie sprawę z różnic światopoglądowych, jakie ich dzielią, mimo to miał pewność, że jego kompan rozumie go bardziej, niż ktokolwiek inny na tym świecie. To samo działało również w drugą stronę; Ervill bardzo dobrze pojmował prawość i niezłomność Avareta. Pochwalał je i w jakimś stopniu także podzielał.

Zerknął na wciąż niedopite piwo, sięgające swoim poziomem niemal dokładnie połowy kufła i zadał sobie odwieczne pytanie filozofów. Odpowiedź, jaka mu się od razu nasunęła, usprawiedliwił prędko swoim zamięłowaniem do piwa, zapewniając się w duchu, że gdyby w kufłu znajdowała się woda, jego odczucia byłyby zgoła odmienne.

Z morza przemyśleń wyłowił go obraz zapadniętych oczu Jovana, przeszklonych niewylanymi łzami, odkrytych przez tkwiące nieruchomo powieki.

– Przykro mi – bąknął ni z tego, ni z owego, z najwyższym trudem starając się stłumić głośne beknięcie, tak nieodpowiednie dla tej chwili. Udało mu się wygrać tę walkę, natychmiast zdał sobie jednak sprawę z tego, jak głupio zabrzmiały jego słowa. Zauważył, że Loretańczyk nawet nie drgnął, co odczytał jako dobry znak. Pochyliwszy głowę, począł z mozołem klecić w myślach formułkę, która mogłaby wlać trochę miodu w poszarpane serce Jovana, przyszło mu jednak do głowy, że jest w nim zbyt wiele dziur, przez które miód z pewnością od razu wypłynie. – Długo ich znałeś?

Jovan uniósł nieco głowę, na tyle, by móc przyjrzeć się obliczu elfa. Minęła dłuższa chwila, zanim w końcu zdecydował się odpowiedzieć.

– Niezbyt – siła jego głosu zaskoczyła Ervilla, który spodziewał się usłyszeć raczej jęk i szlochanie, aniżeli pewną odpowiedź. – Spotkaliśmy się po raz pierwszy na krótko przed naszą wyprawą. Niemniej znałem ich dobrze.

Ervill na powrót zajął się kuflem piwa, jednocześnie uważnie słuchając.

– W trakcie takiej wyprawy można poznać człowieka od stóp do głów, ze wszystkimi jego zaletami i przywarami, lękami i radościami. Dagonet i Risk byli mi druhami, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, wiernymi i oddanymi, gotowymi stanąć za mną w najgorszej opresji. Można przeżyć całe życie u boku drugiej osoby i do końca nie wiedzieć, czego się po niej spodziewać. W tym przypadku było dokładnie odwrotnie. W ciągu krótkiego czasu zdołałem się przekonać, że mogę na nich polegać.

– Mądrze prawisz. Nawet zbyt mądrze jak na takiego młokosa.

– Nieco inaczej ma się sprawa z Nevenem – kontynuował Jovan, puszczając uwagę elfa mimo uszu. – Pochodzimy z tej samej wioski, wspólnie wychowywaliśmy się, dorastaliśmy, wspólnie też przystaliśmy do

rebeliantów. Połowa moich wspomnień, tych radosnych, ale i też gorzkich, jest również i jego wspomnieniami. Pierwsza walka na drewniane miecze, praca w polu, wspólne psoty, jak i otrzymane za nie lanie, letnie kąpiele w rzece, słuchanie opowieści starszych w długie, zimowe wieczory... Podróż do Gorzejących Gór. Śmierć Dagoneta i Riska.

Przyglądając się bacznie Jowanowi, Ervill zaczął się zastanawiać, czy chłopak, którego poznał zeszłego wieczora, umarł już na zawsze. Jednocześnie zauważył, że wypowiedzenie tych kilku zdań przyniosło mu nieco ukojenia, jak gdyby wyrzucił z siebie jakąś truciznę. Samo to, że przemawiał donośnie i bez zająknięcia, było sporym postępem w porównaniu do stanu, w jakim jeszcze niedawno się znajdował.

– Tak – rzekł zdecydowanie Jovan. – O ile Dagoneta i Riska mogę nazwać druhami, o tyle w przypadku Nevena odpowiedniejszym określeniem byłby brat.

Ostatnie słowa na powrót wprawiły Ervilla w stan głębokiej zadumy. Relacje, które tak dokładnie i obrazowo opisywał jego rozmówca oraz uczucia, jakich w związku z nimi doświadczył, kazały elfowi zastanowić się nad tym, w jakim miejscu znajduje się nic jego życia, czy spleta się z innymi, a jeśli tak, to, jak ściśle. Mimo szmatu czasu, licząc kategoriami ludzkimi, jaki już przeżył, nie mógł powiedzieć, że spotkał na swej drodze wielu przyjaciół, osób, dla których coś znaczył, bądź które znaczyły coś dla niego. Kompanów do picia, owszem, miał wielu, wiedział jednak, że każdy z nich sprzedałby go za garść miedziaków, gdyby nadarzyła się ku temu okazja. Podrapał się po szyi, będąc już bliskim gorzkiej konkluzji. Jedyłą osobą, na którą mógł w swoim życiu liczyć, był Avaret.

Moment puenty, jaką w duchu wygłosił, zbiegł się w czasie z trzaskiem raptownie otwieranych drzwi wejściowych. Ervill zerknął w ich stronę ponad ramieniem Jovana, do którego uszu – wskazywał na to brak jakiegokolwiek reakcji ruchowej – hałas najwyraźniej nie dotarł. Przez próg gramoliła się niezdarnie grupka trzech wyraźnie podchmielonych młodzieńców, którym towarzyszyła dziewczyna będąca ich rówieśnicą. Pierwszych dwóch miało identyczne, gęste czarne czupryny, bliźniaczo podobne spojrzenia brązowych oczu, oraz takie same, delikatne podbródki. Musieli być braćmi. Po gładko wygolonej głowie trzeciego spływały ostatnie krople pozostawionego na zewnątrz deszczu. Dziewczyna, o delikatnej twarzy i silnie rudych, prawie

czerwonych włosach, trzymała się wyraźnie jego boku. Wszyscy odziani byli w stroje sugerujące raczej niższe pochodzenie, pełne łat i dziur, na które łat już zabrakło. Rozejrzeli się niespiesznie po sali, po czym zajęli stół stojący w sąsiedztwie paleniska. Nim to jednak uczynili, łysy młodzieniec zdążył rzucić Ervillovi pełne pogardy spojrzenie. Efowi udało się przyuważyć miecz wiszący u jego pasa, który wychylił się na krótką chwilę spod sięgającego niemal ziemi płaszcza.

Nie wyglądają na uczciwych obywateli – pomyślał Ervill, instynktownie umieszcawiając całą gromadkę w klasie przestępczej miasta Mostar.

Nowi goście prędko zaczęli domagać się piwa, ponaglając biednego Holeta paskudnie brzmiącymi przekleństwami. Popłoch, jaki wywołały one u gospodarza, przywiódł go do nieszczęśliwego potknięcia, w konsekwencji czego cała pierwsza kolejka rozlała się po ziemi. Feralny wypadek rychło doczekał się salw śmiechu, które jednak rychło ustąpiły pola kolejnym przekleństwom. Ervill na dobre zajął się dopiciem piwa, starając się równocześnie nawiązać swobodniejszą rozmowę z Jovanem, jednak jego zdawkowe odpowiedzi z czasem okazały się przeszkodami nie do pokonania. Elf na powrót pogrążył się w zadumie, nie na tyle jednak głębokiej, by jego uszy nie wyłowiły paru paskudnych epitetów dotyczących jego osoby, dobiegających z sąsiedniego stołu. Zwróciwszy swe oczy w kierunku źródła tych obelg, napotkał spojrzenie łysego młodzieńca, który zdawał się od dłuższego czasu łypać na niego spode łba.

Ervill nie należał do tych, co to dają sobie w kaszę dmuchać. Rozeźlić go też nie było ciężko.

– Cóż tak spozierasz na mnie spode łba? Dawnoś nie widział nikogo z gatunku długowłosych, mam rację?

Ruda dziewczyna roześmiała się słodko i szczerze, wprawiając łysego w stan zażenowania, potwierdzony obrazem kraśniejących policzków. Przysunęła usta do jego ucha i zaczęła szeptać. Mimo że tego nie słyszał, Ervill był pewien, że podjudza go do odpowiedzi na zaczepkę.

– Dawno nie widziałem tutaj plugawego elfa!

Ervill zaśmiał się donośnie.

– Może zatem pokażesz mi łaskawie miejsce, w którym będę mógł się schować przed twoim gniewem? – odparł łysemu, starając się jeszcze

bardziej podrażnić jego dumę. Bardziej wynikało to z faktu, że zdążył już mocno stęsknić się za walką, aniżeli z powodu wymierzonych w niego inwektyw. Chłopak wydawał się idealnym przeciwnikiem do tego, aby przypomnieć sobie, jak miecz leży w ręce.

Dziewczyna wciąż szeptała, chłopak znajdował się już na drodze, z której wstyd byłoby zawrócić. W końcu wstał, chwając się przy tym dość wyraźnie.

– Pokażę! – rzucił buńczuczny tonem. – Pierwej jednak wyrządę ci trochę krzywdy.

Ervill również powstał, uśmiechając się pod nosem. Zauważył, że także i jemu piwo zmąciło zmysł równowagi. Potraktował ten fakt jako dodatkową gratkę w szykującej się zabawie.

– Wyjdźmy więc na zewnątrz, by stoczyć ten heroiczny pojedynek. Gospodarza darzę zbyt dużą estymą, by doprowadzać jego przybytek do ruiny.

Łysy młodzieniec chyżo ruszył w kierunku drzwi, nie czekając, aż Ervill wygramoli się zza stołu. Jego kompania ruszyła w ślad za nim. Ervill, wciąż z kąpiącym uśmiechem na ustach, mimowolnie zerknął w stronę Jovana.

Naraz zalało go uczucie wstydu. Nie wypadało urządzać sobie podobnych zabaw w cieniu tragedii.

– Nie martw się – rzekł lakonicznie. – Należy mu się lekcja i ktoś po prostu musi mu ją dać.

Ku jego uldze Loretańczyk wstał i dołączył do niego przy drzwiach.

Na zewnątrz wciąż lało. Gdyby ulica w tym miejscu nie była brukowana, przyszłoby im grzęznąć w błocie, co już całkowicie zamieniłoby ich potyczkę w zwykłą farsę.

– Jestem Katus – krzyknął łysy. Jego głos z trudem dotarł poprzez strugi deszczu do Ervilla. – Będiesz mnie pamiętał na długo po tym, jak z tobą skończę.

– Więc mogę liczyć, że mnie nie zabijesz?

– Zaraz się przekonasz, co z tobą zrobię!

Nie czekając na odpowiedź, runął do bezmyślnego ataku, trzymając miecz

oburącz, tuż przy twarzy. Nie zdołało to zaskoczyć elfa, który szybkim ruchem wy dobył swój oręż z pochwy. W momencie, gdy Katus był już bliski końca swojej szarży, Ervill uchylił się nieco, otwierając przeciwnikowi dalszą drogę. Zdążył jeszcze klepnąć go płazem miecza w pośladki, w konsekwencji czego chłopak całkowicie stracił równowagę i wyrznął twarzą o ziemię.

– Oto jest mąż, który prawdziwie umiłował tę ziemię – zakpił Ervill. – Składa jej pocałunki, nie bacząc na wrogą aurę.

Katus podniósł się szybko, choć nie bez trudu. Gdy zwrócił swą pokiereszowaną twarz w kierunku przeciwnika, w jego spojrzeniu można było dostrzec gniew graniczący z furją. Sapał głośno i warczał, Ervill natomiast śmiał się, podobnie jak i ruda dziewczyna. Jakikolwiek były zamiary Katusa wobec niej, wydawało się, że ona nie traktuje go zbyt poważnie.

Młodzieniec sapnął jeszcze kilka razy, po czym natarł po raz kolejny, tym razem jednak z mniejszym impetem. Ervill bez trudu odbił kilka jego bezładnych ciosów, na koniec uderzając go dłonią zaciśniętą na rękojeści prosto w nos. Brodę Katusa zalała krew; kolejno odrywające się od niej krople upadały na bruk, rzednąc w strumieniach deszczu.

– Ty... skurwysynu! – wystękał chłopak.

Odjawszy dłoń od zakrwawionego nosa, ukazał zaciśnięte wściekle zęby. Nie wyciągając żadnej nauki z poprzednich prób, przypuścił następny, wyzuty z jakiegokolwiek strategii atak. Zamachnął się, uderzając kilkakrotnie całkowicie na oślep. Żadne z cięć nie osiągnęło celu, za każdym razem napotykając unik bądź blokadę. Znudzony już tą zabawą Ervill wykorzystał pierwszy, lepszy moment, w którym przeciwnik całkiem się odsłonił, i wolną ręką rąbnął go potężnie w brzuch. Katus zgiął się w pół, wydobywając z siebie stłumiony jęk. Ervill obszedł spokojnie zgiętego wpół przeciwnika i, przyjrzawszy się dokładnie celowi, kopnął go podeszwą w wypięte pośladki. Młodzieniec poleciał w przód, raz kolejny napotykając twarzą szorstki bruk.

– Dziękuję państwu, koniec widowiska – podsumował elf, chowając miecz i teatralnie otrzepując dłonie.

Ruszył niespiesznym krokiem z powrotem w kierunku karczmy, gdy nagle dostrzegł, jak prawa ręka Jovana unosi się ku górze, a jej palec wskazujący

prostuje, by coś mu wskazać. Jeszcze zanim Loretańczyk zdążył wykrzyknąć słowa ostrzeżenia, Ervill błyskawicznie odskoczył w bok, słysząc, jak coś rozdziera powietrze w miejscu, w którym dopiero co stał. Chwilę później rozległ się dźwięk metalu uderzającego o kamień.

– On... Próbowałem cię ostrzec – wydusił Jovan, mierząc palcem w klęczącego Katusa.

Ervill doskoczył do przeciwnika i, nie okazując żadnej litości, wymierzył mu kopniaka prosto w twarz. Jego siła była tak wielka, że pokonany wykonał niemal pełny obrót wokół własnej osi, nim ostatecznie rozciągnął się jak długi na bruku. Elf splunął na bezwładne ciało, ostatecznie odbierając chłopakowi honor.

– Pozbierajcie go – warknął do dwóch jego bliźniaczo podobnych do siebie towarzyszy. Na dźwięk jego słów targnął nimi dreszcz przerażenia. – A ty, ruda... Nie zadawaj się z nim. Przecież widzisz, że to idiota.

Dziewczyna skinęła głową. Delikatny uśmiech nie opuszczał jej ust.

– Chodź Jovan, wracajmy do środka. Całkiem już przemokłem.

Postąpił kilka kroków naprzód, lecz zdał sobie sprawę, że podąża sam.

– Jovan? – dorzucił pytającym tonem, odwracając się w kierunku stojącego nieruchomo mężczyzny.

Loretańczyk wpatrywał się uparcie w sztylet, który o mały włos nie ugodził Ervilla. Zbliżywszy się, elf dojrzał to, co wprowadziło jego kompana w stan niemego osłupienia. Rękojeść zawierała grawerunek. I to nie było jakie.

Był to herb Loretii.

* * *

Potężny gmach, wzniesiony przed wiekami z gładko oszlifowanych bloków szarego kamienia sprawiał, że Wielka Biblioteka Mostaru w pełni zasługiwała na swoją nazwę. Nie licząc przybudówek mieszczących pokoje bibliotekarzy, całość zajmowała Sala Główna. Dostęp do niej miał każdy z mieszkańców, wiązał się on jednak z wysoką opłatą.

Avaret podążał w ślad za dzierzącym płonący kaganek bibliotekarzem. Stary, zgarbiony mężczyzna odziany był w szary, przepasany grubym sznurem habit. Sprawiał wrażenie do reszty zdziwaczałego, o czym świadczył już sam ubiór, sugerujący wręcz religijne oddanie i wierność

zawartości biblioteki. Mimo to okazało się, że jest na tyle przytomny umysłowo, by, w zamian za wstęp do Sali Głównej, pozbawić Avareta połowy zawartości sakiewki. Wykładem na temat historii Biblioteki uraczył najemnika, ku jego wielkiej uldze, nieodpłatnie.

Przystanęli przy kamiennej balustradzie, kończąc w tym miejscu spacer pogrążonym w prawie całkowitych ciemnościach korytarzem. Avaret oparł się o nią, by móc przez chwilę popodziwiać zapierający dech w piersiach widok Sali Głównej. W dole rozciągały się niezliczone rzędy regałów, których końce ginęły w mroku. Liczba zgromadzonych na nich ksiąg, manuskryptów i pergaminów kazała przypuszczać, że Wielka Biblioteka niekoniecznie zaczerpnęła swą nazwę od rozmiarów budynku. W oczy rzuciło mu się kilka jasnych punktów, rozproszonych w dość regularny sposób.

– To miejsca, w których można zasiąść i trochę poczytać – poinformował go dziadunio. – Krzesło, stolik, a na nim lampka oliwna. Uwagę zachowaj, młodzieńcze, byś przypadkiem pożaru nie wzniecił. Co prawda dawno się tu już żaden nie zdarzył, aczkolwiek po dziś dzień zachowuję wspomnienie ognia szalejącego przed pięćdziesięciu laty. Zabrał ze sobą wiele bezcennych manuskryptów, że wspomnę choćby...

– Wątpię, bym ich potrzebował – przerwał bezpardonowo najemnik. – Jak już mówiłem, interesuje mnie Bractwo Jadowitego Węża.

Dziadunio zacmokał, zawiedziony najwyraźniej tym, że nie będzie mu dane wygłosić kolejnego wykładu.

– Bractwo Jadowitego Węża – powtórzył. – Chodźmy więc.

Zeszli po szerokich schodach, zbiegających w obie strony równoległe do balustrady. Gdy już ich stopy stąpały po posadzce Sali Głównej, dziadunio wyciągnął rękę, wskazując coś w oddali.

– Tym korytarzem aż do miejsca, w którym ginie on w mroku – przez korytarz rozumiał przestrzeń ograniczoną z obu stron przez wysokie regały. – Tam powinieneś coś znaleźć.

Avaret skinął głową, przyjmując od niego kaganek. Mimo że granica mroku musiała ulec przesunięciu w miarę posuwania się naprzód, nie poprosił o konkretniejsze wskazówki. Nie miał ochoty na dalsze pogaduchy z przewodnikiem. Ruszył żwawym krokiem, rozglądając się z podziwem po

otaczającym go świadectwie wielowiekowej historii. Wszechogarniającą ciszę mącił jedynie niewyraźny szelest przewracanych stron oraz szeptów innych ludzi buszujących pomiędzy regałami. Przez wzgląd na powagę miejsca nie dopuszczali się niczego więcej.

To szepczą karty historii. O wiekach minionych, lecz także i przyszłych, gdyż w końcu historia nauczycielką życia i kołem się toczy.

Najemnik uśmiechnął się krzywo do własnych myśli, zastanawiając się nad tym, kiedy to ostatnio historia kogokolwiek czegoś nauczyła.

Przystanął, by ocenić dystans, jaki pokonał. Koniec alejki za jego plecami zdawał się całkiem zatopiony w mroku, zdecydował więc, że to w tym miejscu rozpocznie swoje poszukiwania. Podszedł do stojącego najbliżej regału i na chybił trafił wybrał tomiszczce, które najbardziej rzuciło mu się w oczy. Wybór padł na *O poprawie moralności ludu prostego*, co nie okazało się celnym strzałem. Avaret odłożył księgę na swoje miejsce, swą uwagę zwracając w nieco dalsze rejony. Począł przebiegać spojrzeniem po półkach od lewej do prawej, gdy nagle mignął mu przed oczami dobrze już znany grawerunek. Odszukał szybko opatrzoną nim księgę. Nie mylił się. Znak węża wyryty na jej grzbiecie był identyczny z tym znajdującym się na drzewcu strzały, z tą różnicą, że ten się nie poruszał. Wyciągnął księgę, wzniesając pokrywający ją i sąsiednie tomy kurz, po czym obrócił się. Zaraz za jego plecami znajdował się stolik, stojący tuż przy filarze przerywającym ciągłość zmierzającego dalej rzędu regałów. Avaret usadowił się wygodnie na krześle. Pełgający chaotycznie ogienek lampki zmusił go początkowo do przymrużenia oczu. Gdy już się przyzwyczaił, skierował całą swoją uwagę na leżącą przed nim księgę.

Czy to w niej znajdę odpowiedzi na swoje pytania? Czy wiem w ogóle, jak one brzmią? Co spodziewam się odnaleźć?

Wzdychając o wiele głośniejszym, niż przystawało, otworzył księgę.

Bractwo Jadowitego Węża. Dzieło Sazaara Bardta – przeczytał w myślach Avaret. Rok 1307.

Najemnik przyjrzał się z zaciekawieniem dacie zdobiącej pierwszą kartę. Wyglądało na to, że księga została spisana w czasach, o których wspominał w swojej opowieści Goran, okresie działalności Bractwa. Samo nazwisko autora nic jednak Avaretowi nie mówiło. Odwrócił się w kierunku, z którego

przyszedł. Przez chwilę nie był w stanie nic dostrzec, oszołomiony półmrokiem korytarza, po kilku mrugnięciach oczu przywykł jednak do niego. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że niewyraźny szelest, do tej pory dobiegający jego uszu, całkowicie zanikł, zastąpiony przez niepokojącą ciszę. Poczuł się, jak gdyby był zupełnie sam pośród tysięcy zakurzonych ksiąg. Jedyne człowiek starający się za wszelką cenę dokopać prawdy, samotnie stawiający czoła setkom lat dziejów. Skupił się na powrót na księdze. Ktoś, kto przyjrzałby się w tym momencie jego twarzy, dostrzegłby ogniki pełgające w jego błękitnych oczach, czyniące je jeszcze jaśniejszymi, niż zazwyczaj. Ogień ten w większości przypadków okazałby się narzędziem niezbędnym człowiekowi do przeżycia, opatulającym go ciepłym płaszczem, zapewniającym ochronę. Podsycony jednakowoż przez czyjeś wrogie działanie, gotów był nieść śmierć i spustoszenie.

Avaret, podparłszy pięścią czoło, zagłębił się w lekturze. Wydarzenia, których dotyczyła, zostały już pokrótce przedstawione najemnikowi w opowieści zbrojmistrza. Autor książki przekonywał, że udało mu się przeniknąć do Bractwa i stać się jego pełnoprawnym członkiem. Ogólnikowe opisy, nieodbiegające specjalnie od bądź co bądź, mało szczegółowej relacji Gorana, nie zdawały się jednak potwierdzać tego faktu. Avaret począł przewracać kolejne stronicę, zapoznając się z ich treścią dość pobieżnie. Zapełnione były w większej mierze raczej fantazyjnym tłem dziejowym, aniżeli konkretnymi informacjami. Zirytowany Avaret zamknął z hukiem księgę, nie zważając na głośne echo, jakie poniosło się po ścianach Sali Głównej.

Tyłna okładka otworzyła się jednak z powrotem, odsłaniając ostatnią kartę książki.

... jednakowoż największą spośród sił Bractwa jest jego wieczność, oparta na solidnych fundamentach tajemnicy i skrytości, lojalności i tradycji, która przetrwa wśród wybranych, by pozwolić mu powrócić w najmniej spodziewanym momencie. Czy to po pięćdziesięciu, stu, czy w końcu pięciuset latach.

Avaret zamrugał, nie dowierzając gorzkiej ironii ostatnich słów.

A może...?

Nagle przeczucie wyrwało go z sideł krainy domysłów. Błyskawicznie

oderwał się od stołu, przewracając się wraz z krzesłem na ziemię. W tym samym momencie coś rozpruło powietrze z głośnym świstem.

Avaret pozbierał się natychmiast, usiłując wykryć źródło zagrożenia. Jego oczy przesłonięte były jednak kurtyną czarnych chmur, mieniących się mimo intensywnego mrugania powiekami. Gdzieś z góry dobiegł go odgłos uderzających o kamień podszew, dźwięk uciekającego człowieka. Nim jego wzrok przyzwyczaił się do panujących ciemności, hałas zdążył już zginąć gdzieś w oddali.

Avaret, ze wciąż szybko bijącym sercem, zerknął w stronę książki, nad którą dopiero co się pochylał. Tylne okładka w dalszym ciągu pozostawała otwarta. Niemalą pomoc niosła jej w tym tkwiąca w niej strzała; jej grot chował się gdzieś pod blatem stołu.

Czyżby to wszystko było prawdą?

Nagły dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

* * *

Dzień miał się już ku końcowi, gdy Avaret ponownie stanął przed drzwiami gospody „Kudłaty Miś”. Nim je pchnął, jedne z ostatnich promieni słońca zdążyły jeszcze smagnąć jego twarz, plecy oraz stopy. Chwilę później te ostatnie wiodły już najemnika w górę schodów prowadzących do izb dla gości karczmy. Bez pukania wszedł do tej zajmowanej przez niego i Ervilla.

– Nareszcie jesteś – witające go słowa należały do elfa, siedzącego na skraju jednego z dwu wąskich łóżek. Elf pochylał się, przedramiona opierając na kolanach, a dłonie splatając. Była to poza kogoś, kto z wyraźnym zniecierpliwieniem na coś czeka. A w tym wypadku kogoś.

– Trafiliśmy na trop – rzekł Jovan, zajmujący drugie łóżko. Avaretowi wydało się, że wstąpił weń jakby nowy duch, ożywiający na nowo martwe kończyny i zmazujący z twarzy beznamiętny wyraz. Lekki podmuch wiatru wleciał do izby przez znajdujące się pomiędzy łóżkami uchylone okno, poruszając lokami opadającymi na czoło Loretańczyka. Wydawał się w tym momencie tym samym radosnym młodzieńcem, którego poznali, zanim narodził się jako jeden z synów wojny.

Siedzący na krześle przy drzwiach Neven dźwignął się, by móc dosięgnąć czegoś, co leżało na stojącym nieopodal regale i następnie okazać rzecz

Avaretowi. Spojrzenie najemnika przebiegło od dołu do góry, wzdłuż ostrza sztyletu, jego jelca, aż do trzonu, na którym znajdował się jakiś grawerunek. Zamarł na krótki moment, gdy zdał sobie sprawę z tego, co widzi.

– Skąd to macie? – spytał. Suchość w gardle spowodowała, że jego głos zabrzmiał niczym przesypywany piasek.

Ervill podniósł się gwałtownie, przywołując na twarz pewny siebie uśmiech. Jego oczy śmiały się również, współgrając z ustami. Razem tworzyły obraz zwycięzcy, który utarł nosa rywalom i nie zamierza się tym nie chwalić.

– Widzisz, drogi przyjacielu, źle mnie oceniłeś. Starcze zgorzknienie jeszcze mnie nie nadgryzło, wciąż pełen jestem ikry, nadziei, chęci działania i nieustępliwości. To, co mi wypominałeś, to jedynie rozum i doświadczenie oraz dobra ocena sytuacji. Daruję ci jednak, zrzucając wszystko na karb nieroztropności, której z wiekiem na pewno się pozbędziesz.

– Możesz jaśniej?

– Przypadek – wtrącił się Jovan. – Czysty przy...

– Właśnie ta nieustępliwość – Ervill nie dał sobie zepsuć popisu, lekkim podniesieniem głosu dając do zrozumienia Jowanowi, by więcej się nie odzywał – doprowadziła mnie do jedyne go tropu, jakim w tym momencie dysponujemy. Wyobraź sobie Avarecie, że gdy ty traciłeś czas w bibliotece, ja odnalazłem człowieka, który przypadkiem wszedł w posiadanie tego sztyletu. Znalazł go, jak twierdzi, na trakcie wiodącym na południe, niemal na samych obrzeżach miasta. Jovan i Neven przyjechali ze wschodu, można więc z całą pewnością założyć, że to nie oni go zgubili. Nie pozostaje nam nic innego, jak wsiąść na koń, i dopaść tych łajdaków – zakończył elf, krzyżując z dumą ręce na wypiętej piersi.

Avaret zaśmiał się ochrypłym śmiechem.

– Skoro opuścili już miasto, to kto usiłował mnie zgładzić, gdy byłem w Bibliotece? – rzekł, po czym, na poparcie swoich słów, okazał całej trójce mającą w niego ugodzić strzałę. Jako że tkwiła ona mocno w blacie stołu, który przeszyła, Avaret zdecydował się przeciąć ją na pół, by móc ją wyciągnąć.

Ervill przyjrzał się jej z konsternacją. Również Loretańczycy doskoczyli

do Avareta, by móc bliżej przyglądać się przedmiotowi.

– Nie ma... Nie ma grawerunku – oświadczył niepewnym głosem elf.

Avaret drgnął, wyraźnie zaskoczony. Nie zadał sobie wcześniej trudu przeprowadzenia dokładniejszych oględzin strzały, wziął raczej za pewnik, że jest ona powiązana z Bractwem Jadowitego Węża. Uniósł ją na wysokość swoich oczu i obrócił obie części drzewca wokół ich własnych osi.

– Rzeczywiście... Masz rację, jest zupełnie gładka. Nic na niej nie ma.

– Co to oznacza? – spytał Jovan, przejmując od Avareta strzałę. Obejrzawszy ją pobieżnie – nie miał wszak powodów, by nie wierzyć osądowi poprzednich obserwatorów – przekazał ją Nevenowi.

– Cholera wie – odparł Ervill. – Albo Bractwu skończyły się magiczne strzały... Albo w sprawę wmieszany jest ktoś jeszcze.

Avaret pokręcił głową.

– To niedorzeczne. Historia i tak jest już wystarczająco absurdalna. Nie czynimy z niej jeszcze większej farsy.

– Co zatem uczynimy?

Avaret skrzyżował ręce na piersi. Ślad wiodący na południe był jedynym, jakim dysponowali. Czas grał na ich niekorzyść, podjęcie ryzyka mogło im się niebywale opłacić, bądź pozostawić w miejscu, w którym i tak już tkwili. Nie mieli nic do stracenia.

– Ruszamy na południe. Jeszcze dzisiaj.

Zauważył, że jego słowa zrzuciły ogromny balast z ramion Jovana. Znać było, że młody Loretańczyk z napięciem oczekiwał próby podjęcia skonkretyzowanego działania, zapewne od chwili, w której płomyk nadziei na powrót rozgorzał w jego sercu. Z impetem dopadł drzwi, by następnie w tempie błyskawicy przemknąć po wiodących w dół schodach, zapewne, aby czym prędzej przygotować konie do drogi. Neven podążył jego śladem, emocje trzymając kurczowo na wodzy. W ginącym coraz bardziej w mroku nadchodzącej nocy pokoju pozostali jedynie Avaret i Ervill. Po chwili dołączył do nich również gołąb, który przysiadł na parapecie otwartego okna. W dziobie trzymał jakąś cienką witkę, lecz przestraszony głośnym okrzykiem, jaki dobył się gdzieś z pobliskich ulicznych zakamarków, wypuścił ją z dzioba, pozwalając upaść na ziemię.

– Wiesz, że być może dajemy im jedynie złudną nadzieję? – głos Ervilla przeciął ciszę, jaka zasnuła izbę. – Że ten trop może doprowadzić nas równie dobrze donikąd?

Avaret milczał, wpatrując się w gołębia, który opadł na podłogę pokoju, po czym, pochwywszy gałązkę w dziób, wyfrunął na otwartą przestrzeń.

– Wiem. Ale grzechem byłoby nie spróbować.

* * *

Poruszali się naprzód w milczeniu, z rzadka jedynie wymieniając zdawkowe uwagi. Trzeci dzień pościgu zagnał ich na równinę Bermath, porośniętą niemal wyłącznie trawą. Wcześniej zostawili za sobą gęste bory, rwące rzeki oraz kilka napotkanych po drodze, słabo zaludnionych osad. Avaret już na początku natknął się na ślad, który mógł zostać pozostawiony przez dwa uciekające wozy, jednak padające ostatnimi czasy deszcze uczyniły go dość niewyraźnym. Mimo wysokiego tempa, jakie sobie narzucili, wyprzedzał ich on w dalszym ciągu o, jak szacował najemnik, niecały dzień. W niemałe zdumienie wprowadził Avareta fakt, że mimo znacznego balastu, złodzieje potrafią poruszać się tak szybko.

O ile to rzeczywiście oni.

Trakt wyglądał na z rzadka uczęszczany. W wielu miejscach zarośnięty trawą, pełen zastarzałych kolein i dziur, nie wydawał się najlepszą drogą wiodącą na południe. Avaret wiedział, że równoległe do niego, w odległości kilku staj, biegnie szeroki trakt, utrzymany w dobrym stanie i pełen podróżnych. O ile dobrze pamiętał mapy, obie drogi łączyły się w pewnym momencie, w którym jednak, tego nie był pewien.

Spojrzał przed siebie, aby już po raz któryś tego dnia ogarnąć wzrokiem teren wychodzący im na spotkanie. W odległości kilkuset stóp dostrzegł zagajnik, mogący służyć za dogodne schronienie w ciągu nadchodzącej nocy. Zerknął z góry na łeb swojego konia; jego zwieszona uszy ostatecznie przekonały go, że tego dnia nie posuną się już dalej. Pochylił się i pogłaskał swego gniadosza po pysku.

– Zatrzymamy się opodal tego zagajnika – krzyknął donośniej przez ramię, aby jadący za nim towarzysze mogli go usłyszeć.

Rozłożywszy się w bezpośrednim sąsiedztwie linii drzew, przystąpili do

szukania suchych gałęzi potrzebnych do rozpalenia ogniska. Neven dokonał szybkiego przeglądu zapasów; skromne zasoby, z jakimi wyruszyli, uszczupliły się już na tyle znacznie, że nie mogli obyć się dłużej bez polowania. Pozostawiwszy mu obowiązek zapewnienia ognia, Avaret, Ervill i Jovan pochwycili łuki i rozproszyli się na trzy strony w poszukiwaniu zwierzyny. Czasu mieli już niewiele, cienie młodych drzew rosnących na skraju zagajnika wydłużały się z każdą kolejną chwilą.

Gdy po zapadnięciu zmroku spotkali się przy ognisku, jedyną zdobyczą okazał się chuderlawy zając przyniesiony przez Ervilla. Równina nie obfitowała w zwierzynę, przynajmniej jadalną, gdyż ataku jakiejś przemierzającej ją watahy wilków można się było jak najbardziej obawiać.

– Lepsze to, niż nic – rzekł Jovan siadając. Podobnie uczynili Avaret i Neven, elf zaś w tym czasie zajął się patroszeniem szaraka.

– Nie martw się – powiedział Avaret. – Nasz pościg dobiega końca, jest kwestią kilku dni, jak dopadniemy tych łajdaków.

– Chciałbym w to wierzyć – bąknął Neven.

– Czyżbyś nie zauważył, Nevenie – wtrącił żywo Ervill, wymachując odrąbaną zającowi łapą – że oto weszliśmy w posiadanie potężnego artefaktu, przynoszącego szczęście jego właścicielowi? Z taką pomocą nasza sprawa już wydaje się wygrana.

Avaret parsknął, kolejny raz nie dowierzając poczuciu humoru przyjaciela. Nie wytrzymał długo, nim zawładnął nim z trudem duszony śmiech, który stopniowo udzielił się i Loretańczykom. Po chwili cała czwórka rechotała już głośno, ocierając ściekające po policzkach łzy. W wesołej atmosferze przystąpili do dzielenia się upieczonym zającem, podając sobie kolejno kij, na który został nadziany.

– Pora zażyć trochę snu – oznajmił Avaret po skończonym posiłku. – Ruszamy dalej jeszcze przed brzaskiem.

Jako że chłód nocy przybierał na sile, opatulili się czym mogli i prędko posnęli.

Z płytkiego snu wyrwał Avareta jakiś odgłos, dobiegający z bardzo bliska. Zerwał się z ziemi, od razu dostrzegając źródło dźwięku.

Tuż przy ognisku kucał mężczyzna o elegancko przystrzyżonych, siwych

włosach i krótkiej brodzie, odziany w kontrastujące z jego dostojnym obliczem łańchmany; nie zwracając większej uwagi na śpiących podróżnych, dorzucał do ognia zgromadzone obok gałęzie.

Naraz zwrócił swe oblicze w kierunku osłupiałego najemnika; w jego oczach kryła się niezwykła mądrość i rozwaga, a także spryt i przebiegłość.

Avaret znał tego człowieka.

* * *

– Garray – wyszeptał. Czarodziej uśmiechnął się w odpowiedzi. – Co tu robisz? – dodał bardziej zdecydowanym głosem. Zauważył, że jego towarzysze poczęli wiercić się w swoich legowiskach, kwestią chwil pozostawało, aż się wybudzą.

– Witaj Avarecie – głos Garraya był ciepły, dokładnie taki, jakim go zapamiętał. – Kolejny raz dajesz się zaskoczyć, nieprawdaż?

Tym razem najemnik również się uśmiechnął, przywołując w pamięci ich pierwsze spotkanie. Okoliczności wydawały się niemal identyczne. Gdzieś z boku Ervill przecierał już oczy, niezdecydowany co do tego, czy rzeczywiście się wybudził, czy też w dalszym ciągu śni.

Widok nieznanego raptownie wyrwał Loretańczyków z objęć snu, w mgnieniu oka stawiając ich na równe nogi. Mimo szybkiej reakcji Avareta, zapewniającego o jak najbardziej pokojowych zamiarach Garraya, pozostali czujni, cały czas przyglądając się nieufnie nieznanemu. Niechętnie wyjawili swoje imiona, gdy przyszło się przedstawić.

Ervill bez zbędnych ceregieli zdecydował się zakończyć część powitalną.

– Dobrze, dobrze. Trzeba przyznać, że to niemały zbieg okoliczności, żeśmy się tu spotkali. Prawda, Garrayu? Chyba że – a znając cię wcale bym tego nie wykluczał – to nie jest zbieg okoliczności.

Garray skupił swoje spojrzenie na Ervillu, nie odpowiadając od razu. Zmrużył powieki, jak gdyby czyniąc w myślach sobie tylko wiadome rozważania. Chwila ciszy wydłużyła się nienaturalnie, prowokując u Ervilla głupi uśmiech, w którym wyszczerzył wszystkie zęby. W końcu czarodziej parsknął śmiechem.

– Ervill, wciąż ten sam, co zwykle, kropla szaleństwa w morzu roztropności tego świata. Niewątpliwie masz rację: nie złączył nas

przypadek. Czas zbyt nas nagli, by owijać w bawełnę. Mamy wspólny cel i, mam taką nadzieję, osiągniemy go połączonymi siłami.

Niespodziewanie Jovan wyskoczył zza pleców Avareta, stając w odległości ledwie kilku kroków od Garraya. Zmierzył go wzrokiem, a w spojrzeniu jego próżno było szukać respektu, a raczej pewnego rodzaju wyzwania i subtelnej groźby.

– Skąd wiesz, czego szukamy? Nie zdradzaliśmy się nikomu z naszymi zamiarami, prócz nas i naszych wrogów nikt nie wie o celu naszej wędrówki. Tłumacz się!

Czarodziej przeniósł na młodego Loretańczyka spojrzenie swych bystrych oczu. W jednej chwili z ciepłego zmieniło się w srogie. Jovan prędko zmalął pod jego naporem, tracąc całą butę, jaka w nim wezbrała. Avaret przypomniał sobie, jaką mocą potrafię emanować najdrobniejsze gesty Garraya.

– Nie będę tłumaczyć się ani tobie, ani komukolwiek. – Słowa czarodzieja zabrzmiały szorstko i nieprzyjemnie. – Wiadomo mi wiele o różnych sprawach, w niektóre z nich nawet ingeruję. Nie bez powodu los przywiódł mnie w to miejsce, dokładnie w tym czasie. Podobnie zresztą, jak i was, czego jednak nie uznałem za powód do rozpoczęcia naszej znajomości od agresywnego przesłuchania. Nawet najbardziej z pozoru odległe od siebie sprawy tego świata często splatają się ze sobą bardzo ściśle. Ja jestem waszej z pewnością przychylny, wiedz zatem, że masz we mnie sojusznika, nie wroga.

Dobrze widoczna w świetle ogniska twarz Jovana pokryła się rumieńcem. Choć jego nieufność miała swoje uzasadnienie, poczuł się głupio, że zareagował tak agresywnie.

Ktoś inny nie zważałby na to, pozwalając mu wycofać się i przyglądać wszystkiemu z zażenowaniem krępującym od tej pory każdy gest, jednak nie Garray. Jego otwarta dłoń wystrzeliła w kierunku młodzieńca, a usta uniosły się ku górze w uśmiechu.

– Może zaczniemy jeszcze raz, przyjacielu.

Choć wyraźnie zaskoczony, Jovan nie zastanawiał się ani chwili i uściśnął rękę czarodzieja.

– Wybacz. Chyba rzeczywiście przesadziłem. Jeśli tylko Avaret i Ervill uznają cię za przyjaciela, nic nie stoi na przeszkodzie, aby i ja uczynił to samo.

– Przejdźmy zatem do rzeczy – rzekł Avaret, uznając, że nadszedł już dogodny moment, aby wydobyć z Garraya nieco więcej. – Z tego, co mówisz wynika, że nasze ostatnie losy są ci z grubsza znane. Wiesz zapewne, kogo ścigamy i w jakim celu. Ciekaw jestem jednak, co dokładnie sprowadza tu ciebie.

– Ja natomiast – wtrącił się Ervill – chętnie usłyszę, co wiesz na temat Bractwa Jadowitego Węża. Nie trzeba chyba robić wielkiej tajemnicy z faktu, że to właśnie jego tropem podążamy. A przynajmniej tak nam się wydaje.

– Wszystko po kolei – rzekł spokojnie Garray. – Może usiądźmy przy ognisku, wygodniej będzie nam się rozmawiało.

Usiadłszy, cała czwórka nabrała tchu, w napięciu wyczekując odpowiedzi czarodzieja.

– Jak powszechnie wiadomo, w Loretii nie dzieje się najlepiej. Wolność tego kraju jest poważnie zagrożona, co gorsza, do niewoli pchają go jej własne zepsute elity, zaś Azhgad tylko zaciera ręce w oczekiwaniu na zadanie decydującego ciosu. Nic nie pozostaje jednak bez reakcji. Młode pokolenie Loretii nie zamierza zaznać losu swoich przodków, w związku z czym przygotowuje się do wybuchu rebelii, mającej odsunąć ich ojczyznę od zaciskających się szponów sąsiada z północy. Tutaj na scenę wkraczacie wy, drodzy przyjaciele – wraz z tymi słowy zwrócił się w kierunku Nevena i Jovana. – Przyjmujecie role emisariuszy, którzy ze wszystkich zakątków świata sprowadzają do kraju broń, której posiadanie zostało mocno ograniczone przez decyzje Wielkiej Rady, w celu zapobieżenia ewentualnym rozruchom. Wasz transport zostaje jednak skradziony, wasi towarzysze zabici, wy zaś, z pomocą Avareta i Ervilla, ruszacie w pogoń za złodziejami.

Garray zrobił pauzę, odgadując po twarzach słuchaczy, jakiej odpowiedzi najbardziej pragną usłyszeć.

– Bractwo Jadowitego Węża nie istnieje. Czy istniało kiedyś, tego nie jestem pewien, jednak dzisiaj z pewnością nie z nim mamy do czynienia.

Ciszę, jaka na chwilę zapanowała, zmącił jedynie trzepot skrzydeł ptaka wzbijającego się ku niebu z gałęzi jednego z pobliskich drzew.

– Zatem kto? – pełen przejęcia głos Avareta przeszedł niemal w szept. – Z pewnością gdybyś właśnie oznajmił nam, że istotnie za wszystkim stoi Bractwo, byłbym równie zszokowany, niemniej...

Garray dorzucił kilka kolejnych gałęzi do ognia, wzbijając iskry.

– Za wszystkim stoi oczywiście Azhgad, a konkretniej jego szpiedzy, którzy mają za zadanie udaremnić poczynania emisariuszy. Bractwo Jadowitego Węża to jedynie zmyślna przykrywka, mająca wprowadzić w błąd.

– Ale... – w oczach Jovana malowało się niedowierzanie. – Przecież... Przecież ten wąż zdobiący strzały... On naprawdę się porusza! Toż to podobno znak charakterystyczny jedynie dla Bractwa.

Garray odrzucił głowę do tyłu, przecinając śmiechem zasłonę nocy.

– To jeden z powodów, dla których zaangażowałem się w tę sprawę. Szpiegom musi pomagać jeden ze znających magię, jakiś podrzędny sztukmistrz, niewiedzący jak w należyty sposób spożytkować tę odrobinę mocy, jaka została mu dana. Sztuczka ze strzałami jest niesłychanie błaha, niemniej nie w taki sposób powinno się korzystać z magii.

– Wyczuwam w tobie nutkę niechęci do Azhgradu, Garrayu? – wtrącił Ervill. – Skąd to uprzedzenie? Nie jesteś przecież Loretańczykiem, jak mi się zdaje.

– Nie jestem. Niemniej wszystkie lata, które spędziłem na tym padole, a było ich więcej, niż w twoim przypadku, uzmysłowiły mi kilka rzeczy. Zbyt silny Azhgad nie leży w niczyim interesie. Chciwe zapędy tego kraju nie pozwolą mu poprzestać jedynie na zagarnięciu swojego południowego sąsiada. Poprzednie tego rodzaju próby co prawda spełzły na niczym, niemniej nie warto dawać mu kolejnej szansy. Nietrudno wyobrazić sobie konflikt, z udziałem wielu krajów, tysiące trupów, spalone miasta, zniszczone uprawy, głód i zarazę. Pewna swojej suwerenności Loretia może być skutecznym przedmurzem dla reszty świata.

– A więc – Ervill przywołał na twarz gorzki uśmiech – Loretia ma dla ciebie znaczenie czysto strategiczne? Ma być jedynie narzędziem służącym do obrony przed agresją Azhgradu?

Garray wpatrzył się przed siebie. Mimo kurtyny ciemności zdawało się, że

jego spojrzenie spoczęło na czymś znajdującym się w oddali.

– Tak działa polityka, Ervillu – skwitował. – Ale nie, nie zgodzę się z tym, co sugerujesz. Widzisz, długie życie może uczynić z ciebie cynika, natomiast bardzo długie życie daje ci sposobność powrotu do młodzieńczych, czy też nawet dziecięcych wartości, pozwala poznać je dogłębnie i docenić ich znaczenie. Pragnienia proste i instynktowne to wartości, które upodobałem sobie szczególnie. Jedną z nich jest wolność, uczucie leżące u podstaw człowieczeństwa, niedające się w żaden sposób wykorzenić. Uczucie, które jest tak mocno duszone w sercach Loretańczyków.

Avaret zerknął w stronę Ervilla, starając się dostrzec, czy uwaga o cynikach zrobiła na nim jakieś wrażenie. Elf nie dał jednak niczego po sobie poznać, jego mina nie zdradzała żadnych oznak refleksji.

Garray przesunął spojrzeniem po twarzach całej czwórki, po czym klasnął w dłoń.

– No cóż, to tyle, jeśli chodzi o ważniejsze sprawy. Jeśli nasz pościg ma być skuteczny, to dobrze by było zażyć nieco snu przed jego wznowieniem.

W odpowiedzi wszyscy pokiwali głowami, Ervill zaś, jakby chcąc podkreślić trafność uwagi czarodzieja, potarł pięściami oczy i ziewnął ostentacyjnie.

Noc była chłodna, lecz dzięki niegasnącemu ognisku żaden z wędrowców tego nie odczuł. Avaret był wielce rad, że drogi jego i Garraya, po raz kolejny się skrzyżowały.

* * *

Udało im się natrafić na świeży ślad jeszcze zanim słońce osiągnęło zenit w swej codziennej wędrówce po niebie. Nim tego dokonali, zdążyli już jednak zostawić za sobą równinę, pośrodku której przyszło im spędzić noc. Jej miejsce zajął teren obfity w różnej wysokości wzniesienia, pokryte w znacznym stopniu świerkami i sosnami. Trakt wił się pomiędzy nimi, od czasu do czasu jednak biegnąc pod górę.

Garray od początku ich wspólnego pościgu wysforował się naprzód, czyniąc siebie samozwańczym przewodnikiem. Nikt takiemu rozwiązaniu jednak nie oponował, z pokorą przyjmując narzuconą rolę. Najtrudniej przyszło to Avaretowi, który do tej pory mógł uchodzić za osobę kierującą

poczynaniami reszty, aczkolwiek rozważa wzięła w nim górę nad ambicją i również on nie wygłaszał żadnych uwag.

– Doganiamy ich – rzucił Garray przez ramię. – Myślę, że znam miejsce, w którym się na nich natkniemy.

– Czyżby – odezwał się nie kto inny, a Ervill, a już w pierwszym jego słowie złowić można było ironię – jedną z tajemnych sztuk na temat której posiadałeś wiedzę, było i jasnowidztwo?

– Ja tę sztukę zwę raczej rozumowaniem. Logicznym myśleniem bądź też dedukcją. Tak się składa, że w niewielkiej oddali znajdują się ruiny pewnego zamku, który w czasach świetności bronił przebiegającej w tym miejscu granicy. Wydaje się on idealnym miejscem do dłuższego postoju i założę się, że Azhgadczycy z tej okazji skorzystali, wszak nie spodziewają się raczej pogoni. Ty jednak, panie elfie – dorzucił, zmieniając ton na nieco bardziej kąśliwy – możesz nazywać tę sztukę jasnowidztwem, skoro wydaje ci się ona tak tajemna.

Ervill mruknął coś, wyraźnie speszony odpowiedzią czarodzieja, jak to jednak w jego wypadku bywało, humor wrócił mu bardzo prędko.

Potwierdzenie słów czarodzieja ujrzeli jeszcze zanim zdecydowali się na odpowiadający obiadowi popas. Wyjechawszy z lasu, który trakt w pewnym momencie przecinał, dostrzegli w odległości nie więcej, niż pół staj, strome wzniesienie. Wieńczyły je ściany z kamienia, przed wiekami będące murami zamku. Poszczególne jego części zniszczone były raczej w różnym stopniu, aniżeli równomiernie; sam zamek górny, wraz z wybijającą się z jednego z narożników wieżą, prezentowały się wcale nieźle w porównaniu do okalających go murów i budynków przedzamcza, po których pozostały jedynie hałdy porzrzuconych bezładnie kamieni. Mimo znacznego uszczerbku ruiny dawały niejaki wyobrażenie o dawnej świetności.

Droga u stóp wędrowców biegła w kierunku zamku nieosłonięta przez rosnące drzewa, czego jednak nie można było powiedzieć reszcie wzniesienia. Zarówno od wschodu, jak i zachodu, wspinał się po nim gęsto rosnący las, nieśmiało przedzierając się także pod mury zamku.

– Jeśli rzeczywiście się tam zatrzymali, roztropniej będzie podejść ich od strony lasu, aniżeli drogi. Przywiążmy tutaj konie i ruszmy dalej pieszo – Avaret zdecydował się uszczknąć nieco z puli, którą przydzielili Garrayowi i

samemu zaproponować jakieś działanie. Wiedział, że czarodziej będzie podzielał jego sposób myślenia w tej kwestii.

– Słusznie – odparł Garray.

Odbili od traktu, kryjąc się pod zasłoną drzew. Pozostawiwszy konie na skraju lasu, ruszyli w stronę wschodniej strony wzniesienia. Splątane, zachodzące na siebie gałęzie świerków, sosen i modrzewi nierzadko spowalniały ich pochód, skutecznie utrudniając przedzieranie się w obranym kierunku. Jedyne nieliczne promienie słońca przedzierały się przez iglastą ścianę, z trudem docierając do wilgotnej ściółki. Na czoło kolumny wysunął się tym razem Avaret, który, dobywszy uprzednio miecza, w razie potrzeby torował reszcie drogę, siekąc bezlitośnie stojące im na przeszkodzie gałęzie. Po jakimś czasie teren zaczął się nieznacznie wznosić, obwieszczając dotarcie do podstawy wzniesienia. Cała piątka zatrzymała się w tym miejscu.

– No więc jesteśmy – oznajmił Avaret, przysiadając na przegniłym pniu jakiegoś dawno ściętego drzewa. – Wypadałoby przedyskutować plan działania.

Nagle Ervill poruszył się niespokojnie, instynktownie sięgając dłonią do rękojeści miecza.

– Ktoś tu jest! – krzyknął, w tym samym momencie, w którym coś przecięło powietrze, przelatując na wysokości jego pasa. W następnej chwili potworny wrzask zmusił wszystkie ptaki znajdujące się w okolicy do poderwania się z drzew. Avaret dostrzegł strzałę tkwiącą w ubabranym krwią udzie Jovana, gdy wtem następna przebiła korę rosnącego obok niego modrzewia. Całkowicie dezorientowany, zahaczył o jakiś wystający korzeń, w duchu przeklinając się za to, że dał się zaskoczyć w tak trudnym terenie.

Niespodziewanie, nim jego twarz zdążyła zetknąć się z porastającym ziemię mchem, poczuł na całym ciele podmuch wiatru. Jego wielka siła sprawiła, że koniec końców wylądował na plecach. Uniósłszy niezwłocznie głowę, zorientował się, że podobny los spotkał wszystkich jego towarzyszy, z wyjątkiem stojącego niewzruszenie Garraya. Dokoła niego jakby nieco pojaśniało; zdał sobie sprawę, że w promieniu kilkudziesięciu stóp leżą połamane gałęzie, wyrwane z drzew mniej więcej do wysokości równej wzrostowi czarodzieja. Prędko dojrzał również dwie męskie sylwetki, gramolące się niezdarnie wśród opadłych konarów. Zerwał się błyskawicznie

na nogi, po czym, jednym susem dopadłszy pierwszej z nich, zagłębił ostrze swego miecza w jej brzuchu. Nim udało mu się wyswobodzić oręż, podobny los spotkał drugiego mężczyznę z ręki Ervilla.

– Wartownicy! – warknął wściekle Ervill, przekrzykując wrzaski rannego Jovana. Z furją odepchnął plującego krwią mężczyznę, wyswobadzając ostrze. Ten, jeszcze zanim upadł na ziemię, był już martwy. – Jednak nie dali się tak całkiem zaskoczyć!

Avaret podbiegł prędko do leżącego na ziemi Jovana, którego głowa spoczywała wsparta o dłonie klęczącego Nevena.

– Szczyściem grot przeszył udo na wylot – mruknął Garray, pochylając się nad rannym.

Ułamał strzałę i, nim Jovan zdążył wygłosić choć słowo protestu, wyciągnął ją z nogi jednym, sprawnym ruchem, drugą dłonią zakrywając mu usta. Stłumiony jęk nie mógł być słyszany w dalszej odległości.

– Coś ty... zrobił?!

– Spokojnie, to niegroźna rana – rzekł w odpowiedzi czarodziej, równocześnie zakładając opatrunek z dobytej nie wiadomo skąd tkaniny. Zakończywszy, powstał i przyglądał się swojemu dziełu.

– Co dalej? – zapytał Avaret, stając u boku Garraya.

– Nie mamy czasu do stracenia. Musimy zaatakować prędko, zanim śmierć wartowników zostanie zauważona. Jovana musimy gdzieś tutaj ukryć, nie ma innej rady.

– Jak to? – zaprotestował żywo Loratańczyk. – Beze mnie nie dacie rady! Muszę wam pomóc!

Począł dźwigać się do góry, czepiając przy tym rękawa stojącego nad nim Nevena. Znać było, że duch w nim był wielki, ciało okazało się jednak za słabe. Ze zduszonym stęknieniem osunął się zaraz na ziemię. Po jego policzkach spłynęły łzy, zataczając łuk wokół wydętych ust, spod których widać było zaciśnięte z wściekłości zęby.

– To żadna ujmą dla ciebie, Jovanie – rzekł łagodnym głosem Garray. – Docierając aż tutaj pokazałeś, jak ważne jest dla ciebie dobro twej ojczyzny. Sama zawziętość nie wystarczy, czasami trzeba wykazać się również mądrością, właściwą oceną sytuacji. Wielu było już takich, co porwali się na

wroga, nie mając żadnych szans. Cóż im z tego przyszło, poza śmiercią? Nie giń dzisiaj, byś mógł walczyć jutro, Loretańczyku.

Avaretowi wydało się, że słowa Garraya nieco udobruchały rannego młodzieńca.

Czy podobnie podziałałyby i na mnie?

Wiedział, że czarodziej ma zupełną rację, niemniej zdawał sobie sprawę z tego, że jemu samemu ciężko byłoby podjąć podobną decyzję i pozostać.

Ukryli Jovana przy zwałonym świerku, czyniąc z pourywanych przez zakłęcie Garraya gałęzi dodatkową osłonę. Loretańczyk odprowadzał ich niepewnym wzrokiem, gdy wspinali się w kierunku zamku. Prędko jednak znikli mu z oczu, zasłonięci parawanem iglastych gałęzi.

Droga na szczyt nie zajęła im wiele czasu, jako że zbocze wzniesienia nie było tak gęsto zarośnięte. Przemykali od drzewa do drzewa tak, aby zniwelować szanse zauważenia. Prędko drzewa zaczęły ustępować miejsca porozrzucanym kamieniom, zwałom budulca kiedyś tworzącego zamek, teraz już pokrytych mchem i zwietrzałych.

– Wśród nich będzie czarodziej – ostrzegł towarzyszy Garray, gdy znajdowali się już pod samą bramą zamku. – Nie trąpcie się nim, zostawcie go mnie. Zajmijcie się raczej resztą bandy.

Po przejściu przez bramę ukazał im się zapuszczony dziedziniec, którego bruk dawno już przegrał walkę z pleniącą się wszędzie trawą. Pośrodku niego stały dwa wozy wyładowane orężem, nieopodal nich konie pochylały łby, skubiąc gęste zielsko. Avaret wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Ervillem, a następnie, przywołując na twarz uśmiech, postarał się dodać otuchy Nevenowi.

– Więc jak? – zagadnął szeptem Loretańczyk. – Zabieramy wozy i konie i cicho opuszczamy to miejsce?

Garray zmierzył go krytycznym wzrokiem. Avaretowi zdało się, że dostrzegł coś w spojrzeniu czarodzieja, jakieś ciężkie do nazwania uczucie. Z pewnością nie należało ono jednak do pozytywnych.

– Sądzę, że warto byłoby tę sprawę doprowadzić do końca – odparł sucho czarodziej. – Nie zależy ci na wymierzeniu sprawiedliwości, Nevenie?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył ku przeciwnemu krańcowi dziedzińca,

do miejsca, w którym w murze ział wyłom o rozmiarach pozwalających dorosłemu człowiekowi na swobodne przejście. Pozostała trójka podążyła prędko za nim, starając się trzymać jak najbliżej jego boku.

Znaleźli się w ciemnym korytarzu, którego ściany pokrywały jeszcze gdzieśgdzie poszarpane gobeliny. Na całej jego długości walały się po ziemi kamienie, zniszczony, przeżarty rdzą oręż czy spróchniałe deski. Z którejś z przylegających do niego sal dobywały się odgłosy ożywionej rozmowy, głośne śmiechy i przekleństwa. Avaret prędko zlokalizował źródło tych dźwięków, umiejscawiając je za otworem pozostawionym po wyrwanych, leżących na posadzce drzwiach. Zaciśnął mocnej dłoń na dobytym wcześniej z pochwy półtoraku, przesuając się wolno wzdłuż ściany, aż do krawędzi otworu. U swego boku poczuł obecność Gararya, dalej w rzędzie stanęli Ervill i Neven. Obejrzał się ostatni raz w stronę czarodzieja, a gdy doczekał się znaku z jego strony w postaci skinienia głową, wszystko się zaczęło.

Wpadli raptownie do obszernej sali, dawniej służącej zapewne za jadalną, zupełnie zaskakując mężczyzn zgromadzonych przy ledwo zdatnych do użytku stołach. Avaret doliczył się ich sześciu, błyskawicznie jednak liczba ta zmalała do pięciu, gdy doskoczył do tego stojącego najbliżej wejścia. Zagłębił ostrze w jego brzuchu, lewą ręką przytrzymując z tyłu za szyję, aż do momentu, gdy z jego ust wypłynęły strumienie krwi.

– Kim jesteście...?! – posłyszał gdzieś z boku głos, który zaraz przeszedł w urywane charczenie. Wyswobodziwszy od miecza pierwszą ofiarę, omiółł pospiesznie spojrzeniem pole potyczki. Po jego lewej stronie Garray rozprawiał się ze spokojem ze wspomnianym wcześniej przezeń czarownikiem. Mężczyzna był, a przynajmniej wydawał się być, sądząc po jego gładkiej cerze i gęstych włosach, całkiem młodym i niedoświadczonym adeptem sztuki magicznej. Wystarczyło lekkie skinienie ręki Garraya, aby ciało młodzieńca uniosło się w górę i pofrunęło w kierunku ściany. Rozbiwszy się o nią z impetem, osunęło się bezwładnie na posadzkę. Szeroko otwarte oczy i luźno wisząca szczęka świadczyły o tym, że było już martwe.

– Avaret, uważaj! – krzyk Ervilla doleciał jego uszu w samą porę, by zdołał zablokować klingę zamierzającego się na niego mężczyzny o zezowatych oczach i rzadkich włosach. Odepchnął go z impetem i, nim tamten zdążył zareagować, rozciął mu brzuch.

Gdy oderwał od niego wzrok, było już po wszystkim. W sali nie pozostawał już nikt, kto mógłby im zagrozić. Ervill i Neven zaraz stanęli u boku Avareta; twarz elfa przecinał poprzeczny, krwawy rozbryzg, jednak nie był to ślad jego własnej posoki. Z dalszego kąta sali zmierzał ku nim Garray.

Naraz, gdzieś u stóp Avareta rozległ się krwawy charkot. Najemnik spojrzał w dół.

– Jeszcze żyjesz? – warknął Neven w kierunku mężczyzny o zezowatych oczach, który z całych sił starał się powstrzymać dłońmi krew wylewającą się z głębokiej rany na brzuchu. – Zaraz cię...!

– Nie!

Garray dopadł prędko pozostałych i, odepchnąwszy Loratańczyka, pochylił się nad rannym.

– Zamierzasz go oszczędzić, czarowniku? Po tym, czego się dopuścili?

– Jeszcze przed chwilą w ogóle nie zamierzałeś tu wchodzić – odparł twardo Garray. – Co się tak nagle zmieniło?

Neven jedynie warknął w odpowiedzi. Jego twarz zmieniła się nie do poznania; na przestrzeni całej ich znajomości nie okazał tylu emocji, co w tej chwili. Cały kipiał wręcz złością. Cisnął z impetem mieczem, który odbił się od posadzki, wydając metaliczny dźwięk.

– Róbcie, co chcecie. Nie zamierzam na to patrzeć.

Szybkim krokiem przemierzył odległość dzielącą go od wyjścia, znikając zaraz wśród kamiennych murów. Avaret złowił spojrzenie Ervilla; w jego brązowych oczach malowały się zdziwienie i konsternacja.

– A teraz – z zamyślenia wyrwał go głos Garraya, skierowany do mężczyzny, wydającego się powoli żegnać z tym światem – powiesz nam wszystko, co wiesz.

Nie wiedzieć, czy to sam łotr poczuł nagłą, przedśmiertną skruchę, czy to zadziałały owinięte w jakieś czary słowa Garraya, niemniej zaraz począł z mozołem zdawać relację z ostatnich wydarzeń. Avaret w napięciu słuchał przerywanych charkotem zeznań mężczyzny. Usta otwierały mu się ze zdumienia, a gdy ten wydał już ostatnie tchnienie, ruszył najszybciej, jak mógł, w kierunku dziedzińca.

* * *

Tak, jak przypuszczał, Neven nie czekał na nich na zewnątrz. Brakowało również jednego z koni, szczęściem Loretańczyk, działając w popłochu, nie wpadł na pomysł uwolnienia pozostałych i udaremnienia próby pościgu.

Paskudny uśmiech, będący jakąś zapowiedzią przyszłych wydarzeń, wykrzywił wargi Avareta.

* * *

Dopadli go na nieosłoniętym drzewami trakcie, wiodącym od zamku dalej, w kierunku południa. Neven miał pecha; spośród piętki koni uwiązanych na dziedzińcu, wybrał chyba tego najsłabszego. Na nic zdały się nerwowe uderzenia piętami w jego boki, próżnym trudem było garbienie się w siodle w celu zmniejszenia oporu powietrza. Z każdym kolejnym spojrzeniem rzucającym przez ramię, trójka za jego plecami znajdowała się coraz bliżej. W ostatnim z nich rozpoznać można było mieszaninę wściekłości i przerażenia, w tym wyjątkowym zestawieniu leżących bardzo blisko szaleństwa.

W końcu Avaret i Ervill przypadli do niego, każdy z innej strony. Neven próbował się szamotać, lecz nie miał szans z ich dwójką. Wspólnymi, skoordynowanymi działaniami zrzucili go z konia, który i tak był już bardzo blisko kresu swoich sił po tej szaleńczej gonitwie.

– Niczego o mnie nie wiecie! – wycharczał Loretańczyk, tarzając się po ziemi w paroksyzmach furii i bólu. Żyły na jego szyi nabrzmiały, sprawiając wrażenie gotowych w każdej chwili wybuchnąć i zalać ziemię falą krwi. – Niczego!

Mimo szału, jaki nim targał, nie miał żadnych szans obronić się przed spętaniem.

* * *

Natknęli się na Jovana na wzniesieniu, w bezpośrednim sąsiedztwie ruin zamku. Gnany ciekawością i chęcią działania, przykuśtykał w ich kierunku, bagatelizując mogące z tego wyniknąć niebezpieczeństwo. Neven upadł u jego stóp na twarz, pchnięty zdecydowanie przez Ervilla. Ręce związane miał za plecami.

– Co to ma znaczyć? – warknął oszołomiony Jovan... – Co wyście mu

zrobili?

– To, na co zasłużył. Jest winien wszystkiemu, co was spotkało.

Widać było, że Jovan próbował coś z siebie wykrztusić, lecz słowa Avareta najwyraźniej całkiem odebrały mu mowę. Przenosił nerwowo wzrok z najemnika na przyjaciela i z powrotem, jego brwi poruszały się nerwowo, podobnie jak drżące usta, niezdolne do ułożenia w taki sposób, aby dobyły się z nich jakieś słowa.

– Ten człowiek jest zdrajcą przyjacielu – rzekł Garray. – To on doniósł szpiegom Azhgađu, którzy będą transportować broń. To on uknuł wraz z nimi spisek, mający na celu udaremnienie waszej misji. To on, widząc niezłomność Avareta, zaatakował go w Bibliotece.

– To za jego przyczyną – Avaret zdecydował się przejąć pałeczkę po czarodzieju – Dagonet i Risk nie żyją.

Jovan wbił spojrzenie niewidzących oczu w swego najlepszego przyjaciela, druha, z którym dzielił przygody całego życia, w tym te największe. Sięgnął jedną ręką do czoła i zachwiał się, gdy druga ześliznęła mu się po kiju służącym za podporę. Byłby niechybnie upadł, gdyby nie szybka reakcja Ervilla, który doskoczył w samą porę, by go przytrzymać.

– To... To wszystko prawda? – wydusił z siebie słabym głosem. – Dlaczego?

Neven nie odpowiedział, miał tego spluwając na ziemię mieszaniną śliny i krwi.

– Nie wierzę – spod przymkniętych powiek Jovana wypłynęły łzy, a strumienie, którymi spływały, były szersze, niż wszystkie wylane dotychczas. – Nie wierzę. Zbyt dobrze go znam, zbyt długo. Nie mógł tego zrobić.

Avaret uznał za bezcelowe zapewniać Loretańczyka o tym, że mają rację.

A więc oto jest moment, w którym pokonanie wroga przynosi więcej cierpienia i łez, niż zadane przez niego rany.

– Jovanie, ten człowiek winny jest zdrady ojczyzny. To, czego się dopuścił, ściągnęło śmierć na dwóch waszych towarzyszy, a być może przyniesie i konsekwencje dla całego waszego narodu. Jediną możliwą karą, współmierną do winy, jest śmierć.

Z twarzy Jovana, mimo że już przedtem była przeraźliwie blada,

odpłynęły resztki krwi. Kątem oka Avaret dostrzegł Garraya, ruszającego w dół wzgórze; jego śladem, w odległości ledwie kilku kroków, podążył Ervill.

– Jeśli nie dasz rady, ja to zrobię. Niemniej ta sprawa z nas wszystkich ciebie dotyczy najbardziej – wyszeptał, po czym, obróciwszy się na pięcie, ruszył w kierunku oddalających się przyjaciół, zostawiając Jovana sam na sam z Nevenem.

O nic bardziej okrutnego nie mogłem go chyba poprosić. Ale czy jest inne wyjście?

Czekali na niego na samym dole, opodal rozłożystego dęba, stojącego samotnie nieopodal ściany lasu.

– Uczyniliśmy ohydną rzecz – wyparował Ervill, gdy byli już w komplecie. – Ohydną.

Avaret przystanął zaraz obok niego. Jego myśli przebiegały w szaleńczym tempie.

– Wybraliśmy jedyne słuszne rozwiązanie. Cóż innego moglibyśmy począć? Karą za zdradę, w obliczu nadchodzącej wojny, może być tylko śmierć. To nie ja urządziłem ten świat według obowiązujących zasad, jednak z większością z nich się zgadzam, jak okrutne by nie były. Neven musi umrzeć, a kto powinien zadać mu śmierć, jeśli nie człowiek najbardziej przez niego zdradzony? Tylko jasne i proste zasady oraz ich bezwarunkowe egzekwowanie, mogą zapewnić nam przetrwanie w tym zwariowanym świecie.

Przesunął spojrzenie z elfa w stronę wzgórza, na którym tkwili nieruchomo Loretańczycy, Neven wciąż klęcząc. Czerwone promienie niknącego powoli wśród wzgórz słońca, kładły się na zniszczonych murach niegdysiejszej warowni, malując idylliczny pejzaż, tak nieprzystający do rozgrywającej się tam sceny. O dziwo, krajobraz otaczający ich samych wydał mu się zimny i surowy, okolica cicha, jakby zamarło w niej wszelkie życie. Jedyne chłodny wiatr poruszał się po niej leniwie, owijając ich ciała i wprawiając je w dreszcze. Nie spodziewał się prędkiego wykonania wyroku, pewien był, że Jovan uczyni wszystko, by wpierw zrozumieć intencje przyjaciela.

– Dlaczego on to uczynił? – wyszeptał Ervill. – Dlaczego, do cholery, zdradził swoich rodaków, swoją ojczyznę, swoich przyjaciół?

Garray westchnął smutno.

– To już nieistotne. Nie wszystkie złe rzeczy, jakie czynią ludzie, wynikają z ich własnej nikczemności. Można wierzyć w jakąś ideę tak mocno, że nie dostrzega się jej prawdziwej istoty. Zdrada to z pewnością jedna z najokrutniejszych zbrodni, jakich może dopuścić się człowiek. Śmierć ciała nie jest wbrew pozorom najgorszą rzeczą, jaka może nas spotkać. Znacznie gorsza od niej jest śmierć ducha, upadek nadziei, utrata zaufania. Nie wiem, czy Neven zdawał sobie do końca sprawę z tego, czego się dopuszcza. Nie wiem również, czy Jovan zdobędzie się na czyn, który jednak jego towarzyszom życia nie wróci, a pozbawi go za to innego z nich, jedynie w imię sprawiedliwości, zasad czy zadośćuczynienia.

Avaret zacisnął mocniej pięści.

– Musi. Tak po prostu musi być.

Garry wpatrzył się uważniej w scenę rozgrywającą się pośród ruin. Pytanie, które po chwili opuściło jego usta, zawisło dziwnie w zasnuwającej okolicę ciszy, nie dając Avaretowi całkowitej pewności co do tego, kto właściwie jest jego adresatem.

– A co każdy inny uczyniłby na jego miejscu?

Kwestia skutków

Licznie rosnące przydrożne krzewy pokrywały się obficie pąkami, obwieszczając gromko zwycięstwo wiosny nad zimą. Ta przyszła w tym roku wyjątkowo szybko, ku wielkiej zresztą uciechu zarówno możnych panów marznących w swoich zamkach, jak i gminu, marznącego jeszcze bardziej w drewnianych chatach. Gdziekolwiek, w miejscach mniej wystawionych na działanie promieni słonecznych, jak doły, jamy czy lasy, zalegały jeszcze co prawda resztki śniegu, nie pozostawało im jednak nic, z wyjątkiem oczekiwania na mający wkrótce nadejść sromotny koniec swego istnienia. Wszelkiego rodzaju zwierzyna, czy to ptactwo przysiadające na gałęziach drzew i ćwierkające radośnie, czy to myszy polne pospiesznie przemykające przez rozległe łąki, czy też w końcu niedźwiedź, budzący się z rykiem z zimowego snu, śpiewała, na równi z zieleniejącą się roślinnością, pieśń pochwalną na cześć wiosny. Wszystko wydawało się zmierzać w dobrą stronę.

– Ach, życie – westchnął Ervill, podrzucając w ręce pęką sakiewkę, z którą nie rozstawał się od kilku dni. – Jakież ty jesteś piękne! Spójrz, Avi, jak miło pieści nasze oczy ten piękny krajobraz. Wiosna! Zwycięstwo życia nad śmiercią, jasności nad mrokiem, zapału nad stagnacją!

Zmierzali w kierunku południowym, pełnym kolein, dziur i zalegającej w nich wody gościńcem. Ledwie przed kilkoma dniami zakończyła się ich misja, mająca na celu bezpieczne przeprowadzenie kupieckiej karawany przez przełęcz Garolth, niesławne miejsce licznych napadów zbójceckich. U kresu wędrówki kupcy okazali wielką wdzięczność, której dowód stał się w trakcie ostatnich dni nieodłącznym towarzyszem prawicy Ervilla.

– Poeta się znalazł zasrany – rzucił kpiącym tonem Avaret. – Przyznaj, że to nie budząca się do życia przyroda tak na ciebie działa, a raczej pękaty woreczek, któremu bez przerwy się przyglądasz.

– Ależ z ciebie cynik. Wszystko byś spłycał, wszystko obrzydzał. Przyznaję – rzekł niewinnym tonem – że odrobina pieniędzy wcale mi nie wadzi. W rękach kogoś rozumnego mogą one uczynić świat jeszcze piękniejszym, dostarczając wzniosłych przyjemności ich posiadaczowi, bądź też niosąc, jeśli taka jego wola, pomoc potrzebującym, pocieszenie strapionym, zdrowie chorym.

– W rękach kogoś rozumnego, kto ich pierwszego dnia, na ten przykład, nie przepije. Masz zupełną rację.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz – Ervill albo nie dostrzegł ironii w słowach przyjaciela, albo udawał, że jej nie dostrzega. – Pomyśl, Avarecie, o ile piękniejszy może stać się świat, gdy uczynimy użytek z tych pieniędzy. Ty na ten przykład kupiłbyś sobie nowe, wygodne siodło. Mam już dość twoich ciągłych narzekań na to, że cię dupa boli. Albo ciepły płaszcz, rzecz jasna na przyszlą zimę, bo ta, mam nadzieję, już się skończyła.

– A ty?

– Co ja?

– W jaki sposób ty byś się uszczęśliwił?

Ervill przygryzł dolną wargę w niemym wyrazie nerwowej zadumy. Zmarszczka na jego czole dawała pewien pogląd na wysiłek umysłowy, jakiemu był poddawany. Zamrugał uniesionymi ku niebu oczami, wypchnął językiem policzek, jednak żaden z tych towarzyszących myśleniu grymasów mu nie pomógł.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – Avaret aż parsknął śmiechem, nie mogąc go dłużej powstrzymać. – Jedyne, czego potrzebujesz, to dobrze się uchlać. Wtedy jesteś najszczęśliwszy i niczego więcej ci nie potrzeba.

Ervill zrobił wielce obrażoną minę.

– Tylko głupiec znajduje szczęście li jedynie w beczce wina. Umysł bardziej światły ma bardziej wyrafinowane potrzeby.

– Zgadzam się.

– A niech cię szlag! – warknął poirytowany tą gierką elf. Widok rozwścieczonego Ervilla wprowadził Avareta w stan jeszcze większego rozbawienia, tak, że aż musiał zgiąć się w siodle, chwytając za brzuch. Ervill nie nawykł specjalnie do dąsania, toteż wkrótce sam dołączył do przyjaciela,

śmiejąc się pięknym, donośnym śmiechem.

W takiej oto wesołej atmosferze dotarli w swej wędrownicy do miejsca, w którym trakt zagłębiał się w las. Drzewa rosnące na jego brzegu dopiero wypuszczały pierwsze listki, z tyłu jednak, za tą nieszczelną kurtyną, kryło się również sporo świerków i sosen, które, wiecznie zielone, kontrastowały żywo z nagimi bukami, dębami i brzoźami.

– Cóż, przyjdzie nam, jak widzę, zapuścić się w tę dziką knieję, jeden z ostatnich bastionów zimy – zauważył Ervill, gdy przystanęli na chwilę. Nie namyślając się długo, dźgnął lekko konia piętami, nakłaniając go do ruszenia stępem. Zawsze nieufny Avaret rozejrzał się po najbliższej okolicy, nie dostrzegłszy jednak niczego niepokojącego, podążył za elfem.

W lesie było chłodno i wilgotno. Avaret skulił się w siodle, stawiając sztywno kołnierz swego szarozielonego kubraka tak, aby osłonić szyję od wdzierającego się chłodu. Jego koń posuwał się naprzód, odciskając w błotnistej brei, którą w tym miejscu była droga, ślady swych kopyt. Poruszali się początkowo w milczeniu, przerwany w końcu przykrym dla Ervilla, a komicznym dla Avareta wydarzeniem, kiedy to elf przypadkowo zahaczył głową jedną z wiszących nad drogą gałęzi, a cały śnieg, który na niej spoczywał, wylądował zaraz na jego odsłoniętym karku. Pomstowaniu Ervilla nie było końca, czar, jakim go wiosna ogarnęła, przysł, wydawałoby się bezpowrotnie.

– O dupę rozbić taką wiosnę! – sięgnął ręką za kołnierz, by móc wygrzebać cały śnieg. – Albo przychodzi wszędzie, albo nie, do kurwy nędzy! Nie mam racji, Avarecie? Po jaką cholere mam nas swoim urokiem? Chyba tylko po to, by w najmniej spodziewanym momencie wbić nóż w plecy, jak mi przed chwilą. Zdrada!

– Chyba posuwasz się nieco za daleko, wysuwając takie wnioski. Łajza jesteście i tyle.

– Ech, ty i ta twoja złośliwość. Zgłodniałem z tego nadmiaru wrażeń. Przysiadźmy tu oto, przy tym zwalonym drzewie – to mówiąc wskazał leżące przy drodze, spróchniałe już w znacznym stopniu i porośnięte gęsto mchem buka – i posilmy się. Powinniśmy mieć jeszcze trochę sera, a łyk wina pozwoli mi ogrzać członki po tej mroźnej przygodzie.

Avaret, który sam odczuwał już nieprzyjemną pustkę w brzuchu, przystał

od razu na ten pomysł. Zeskoczył z konia, jednak tak nieszczęśliwie, że przy kontakcie z ziemią nogi rozjechały mu się w błocie i, pomimo usilnych prób złapania równowagi, runął jak długi w mokrą breję. Przyszła kolej na to, by i elf použíwał sobie z towarzysza.

– Niech to jasna cholera! – warknął zdenerwowany Avaret, podnosząc się niezdarne z ziemi. – Niech to jasna cholera!

– Masz za swoje. Los wie, co to ironia i bardzo lubi się nią posługiwać.

Zsiadł z konia najostrożniej, jak tylko mógł, aby nie stać się również uczestnikiem farsy. Nawet nie starał się ukryć uśmiechu.

Sięgnęli obaj do przytroczonych do siodeł toreb, w których spoczywały ich skąpe zapasy, dobywając sera, suszonego mięsa i oczywiście bukłaku z winem. Przysiadłszy na zwałonym buku, przystąpili do spożywania posiłku, poświęcając się tej czynności tak namiętnie, że raz kolejny zapanowała pomiędzy nimi cisza, przerywana jedynie odgłosami towarzyszącymi jedzeniu. Avaret pogrążył się na chwilę w zadumie, wyrażając milczącą nadzieję, że dotrą wkrótce do jakiejś osady, w której będzie mógł zjeść bardziej wystawny posiłek, zazna gorącej kąpieli oraz wyśpi się w ciepłym łóżku.

Głupcze! – upomniał sam siebie. *Dopiero co naśmiewałeś się z elfa, a sam pożądasz przyjemności nie bardziej wzniosłych, niż jego ciągota do alkoholu.*

Szybko jednak odegnał tę myśl, która wszak była osądem wielce niesprawiedliwym, gdyż człowiek dopiero po zaspokojeniu potrzeb niższego rzędu, zdolny jest do pragnień bardziej wyrafinowanych.

Z zadumy wyrwał go nagle Ervill, który naraz zerwał się z siedzenia, szeroko otwartymi oczami wyrażając to, czego nie mogły wypowiedzieć jego pełne jedzenia usta. Avaret obrócił się raptownie przez ramię w kierunku, w który wpatrywał się elf.

– Jasna cholera! – krzyknął. Za jego plecami, po drugiej stronie drogi, stał dzik, groźnie rozgrzebując racicą ziemię. – On będzie szarżował!

Jak gdyby na potwierdzenie przypuszczeń najemnika, zwierz prychnął wściekle i ruszył gwałtownie w ich kierunku.

– Gdzie mój łuk?! Gdzie mój miecz?! – krzyczał Ervill, w popłochu dopadając konia, do którego przytroczony winien być jego oręż. Avaret

uczynił podobnie, świadom jednak tego, że prawdopodobnie nie zdąży dobyć broni na czas.

– Do kurwy nędzy! – warknął wściekle, gdy dzik znajdował się już w odległości ledwie kilku kroków od nich. Spłoszone konie poderwały się do biegu, uniemożliwiając najemnikom dobyte broni. Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Nagle dzik zakwilił żałościwie, wytracając gwałtownie impet, z jakim szarżował w ich kierunku. Nogi ugięły się pod nim, on sam upadł na ryj, z jego boku zaś zaczęła sączyć się krew, prędko rzednąc w błocie. W miejscu, z którego wypływała, tkwiła strzała.

– Co do...? – omal nie zaklął elf, lecz ledwie pół oddechu później zdołał nadrobić tę zaległość, gdyż oto ich oczom ukazał się stwór jeszcze straszniejszy od tego, który dopiero co ich zaatakował.

Dwunożna istota, postury postawnego mężczyzny, od stóp do głów pokryta brązowym futrem, wychynęła spomiędzy iglastych gałęzi na skraju drogi. W rękę dzierżyła kuszę i, co jeszcze dziwniejsze, nosiła na sobie ubranie, na które składały się niebieskie, workowate spodnie i wełniana koszula, odsłaniająca kudłaty tors. Jej stopy były bose, jeśli nie liczyć gęsto pokrywającego je futra.

– Nie lękajcie się – przemówiła ludzkim głosem. – Nie zrobię wam krzywdy.

Obaj, zarówno Ervill, jak i Avaret, zamarli, wprawieni w najwyższe zdumienie.

– Cóż to za cudak? – szepnął elf, na tyle niedyskretnie, że jego słowa z pewnością dotarły do uszu stwora.

Avaret zdecydował, że ktoś, kto dopiero co wybawił ich z opresji, nie może mieć złych zamiarów i postanowił obdarzyć zaufaniem tę niezwykłą istotę.

– Dziękujemy ci za ratunek, przyjacielu.

Ruszył w kierunku stwora, wolnym ruchem unosząc prawicę ku górze. Z każdym kolejnym krokiem oblicze ich wybawiciela zdawało mu się coraz bardziej ludzkie; zielone oczy poruszały się bystro, omiatając Avareta spojrzeniem, wargi ginące wśród brązowej gęstwiny drgały niepewnie, jak

gdyby zachowanie najemnika w jakiś sposób wprawiało bestię w osłupienie. Stwór, w odpowiedzi na gest Avareta, przełożył kuszę do lewej ręki i również wyciągnął prawicę. Wysunięta kończyzna zatrzęsała się nerwowo, po czym prędko opadła, chowając się za plecami.

– Prze... Przepraszam – z trudem wykrztusił z siebie stwór. Zdał się w tym momencie bezbronny, jak niemowlę, garbiąc swą okazałą sylwetkę i kuląc się, niczym przerażona mysz. – Nie nawykłem do kontaktu z innymi ludźmi. Prawdę mówiąc, każdy, kto mnie przypadkiem napotka, zmyka czym prędzej, nie dając mi nawet szansy się odezwać.

– Niepotrzebnie się trapisz, przyjacielu – wtrącił się dziarsko Ervill, pewny już co do tego, że nie spotka ich żadne nieszczęście ze strony ich rozmówcy. Ruszył zważym krokiem ku niemu, przywołując na twarz zawadiacki uśmiech. – Ja i mój kompan jesteśmy bywali w świecie i nie takie dziwadła zdarzyło nam się napotkać. Jestem Ervill – zakończył, znalazłszy się w odległości ledwie kilku stóp od adresata swych słów. Ani przez myśl mu nie przeszło, że spojrzenie, jakim obdarzył go Avaret, pełne jest potępienia dla tak rażącego nietaktu względem istoty, która dopiero co uratowała im życie.

Stwór jakby powoli zaczął się oswajać z towarzystwem, w jakim się znalazł i, wyprostowawszy nieco swą sylwetkę, wyciągnął dłoń, która tym razem już nie drżała. Ze zdecydowaniem uściśnął prawicę elfa.

– Ja zwę się Tamrok. Wybaczcie mi moje podekscytowanie. Prawdę mówiąc odbywam rozmowę po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna – umilkł na chwilę, zastanawiając się nad czymś, po czym, najwyraźniej powziąwszy jakąś decyzję, znów się odezwał. – Mieszkam w całkiem przytulnej chatce, ledwie kilka kroków stąd. Proszę, przyjmijcie moje zaproszenie, a postaram się was ugościć najlepiej, jak potrafię.

Avaret i Ervill wymienili się spojrzeniami. Żaden z nich nie dostrzegł jakichkolwiek przeciwwskazań dla tej propozycji, przeciwnie, moc wrażeń towarzysząca im w ciągu ostatnich chwil podsyciła jeszcze apetyt, niezaspokojony należycie w trakcie lichego posiłku.

Avaret przywołał na twarz serdeczny uśmiech. Włochaty stwór, jakkolwiek wyglądał, wzbudził jego sympatię.

– Właściwie dlaczego nie? Pozwól nam tylko odnaleźć nasze konie. Nie

wyduje mi się, by uciekły daleko.

Oczy Tamroka zaświeciły intensywnym blaskiem, w którym tańczyła nieskrywana niczym radość.

* * *

Zgodnie z obietnicą Tamroka, jego chatka znajdowała się w niewielkim oddaleniu od drogi przecinającej las. Polankę, na której stała, osłaniała z trzech stron ściana drzew. Po jej zachodniej stronie zaś wyrastała z ziemi masywna, pokryta w znacznej części zielonym mchem skała. W trakcie wędrówki uszu Avareta dobiegł szum lawirującego pomiędzy drzewami strumyka; jak się później okazało, przepływał w bliskim sąsiedztwie posesji Tamroka.

– No i jesteśmy – oświadczył kudłacz, przystając w odległości kilku kroków od swego domostwa. Jego spojrzenie spoczęło na twarzy Avareta, by chwilę później przesunąć się płynnie na oblicze Ervilla, jak gdyby starał się doszukać w ich minach wyrazów akceptacji. Najemnicy uwiązali naprędce konie, po czym skupili całą swoją uwagę na posiadłości Tamroka.

– Wcale ładna chatka – skomentował elf; oparłszy pięści na biodrach i odchyliwszy się nieco w tył, począł dokonywać oględzin.

Drewniana chata nie była może wzorem elegancji i szyku, mimo to sprawiała wrażenie bezpiecznej i przytulnej przystani. Obrazu tego nie mącił nawet fakt, że lekko pochylała się ku zachodowi, w kierunku ogromnej skały, która wydawała się czuwać nad nią, by w odpowiednim momencie okazać swoje wsparcie. Okna, choć małe, były czyste i przejrzyste, w dachu nie uświadczyło się żadnych dziur, a ściany wydawały się mimo wszystko dość solidne.

Podczas gdy jego goście dokonywali bezgłośnych oględzin posesji, Tamrok wolnym krokiem zbliżył się do drzwi wejściowych. Zapiszczały z lekka przy otwieraniu, odsłaniając wnętrze domostwa, sam gospodarz zaś, gestem godnym najznamienitszego dworu, zaprosił gości do środka.

Wygląd wnętrza wzmocnił jedynie wrażenie, jakie towarzyszyło już Avaretowi. Mimo otaczającej chatę gęstwiny w obszernej, nieprzedzielonej żadnymi ścianami izbie, było stosunkowo dosyć jasno. Przenikające przez okna światło słoneczne padało na jej centralny punkt, zajęty przez solidny, długi stół, który z powodzeniem odegrałby swoją rolę w najwykwintniejszej

uczcie. Dokładnie za nim, przy ścianie, znajdowało się palenisko. Avaret złażał się w duchu za to, że nie dostrzegł komina wyrastającego z dachu chaty. Drażniły go momenty, w których umykały mu istotne szczegóły, burząc w ten sposób poczucie bezwzględności pojmowania otaczającej go rzeczywistości. Wiedział, że jest ona często zbyt skomplikowana, by zrozumieć ją jedynie poprzez zestawienie ze sobą kilku faktów, wraz z detalami, które umknęłyby mniej dociekliwym oczom, niemniej niejednokrotnie już przekonał się, że spostrzegawczość pozwala rozwikłać wiele z pozoru trudnych do wyjaśnienia spraw. Co zaś za tym idzie, należało ją bezustannie ćwiczyć.

– No, no, no. Całkiem tu przytulnie – rzucił Ervill, przebiegając szybko spojrzeniem po wszystkich kątach. W jego głosie Avaret, o dziwo, nie rozpoznał sarkazmu, którym elf niemal kipiał, jeśli tylko miał ku temu sposobność.

Tamrok wydawał się z lekka onieśmielony tą uwagą.

– Dziękuję. Staram się dbać o swój dom... Dziękuję.

Ervill, ignorując niezgrabność gospodarza w prowadzeniu konwersacji, dopadł miękkiego łóżka stojącego za stołem, w lewym rogu chaty i rozłożył się w nim wygodnie. Porzuciwszy dobry obyczaj, który nigdy nie był mu wiernym towarzyszem, nie pofatygował się, by zdjąć buty, zamiast tego zaplatając ręce za głowę i głośno wzdychając.

Gospodarz tymczasem dopadł drzwi po prawej stronie od wejścia i zniknął za nimi. Chwilę później do uszu najemników doleciał jego przytłumiony głos.

– Poczekajcie. Miałem tu jeszcze pasztet z zająca... A tak, tutaj jest... Trochę suszonej dziczyzny...

– W końcu. W końcu prawdziwy posiłek – rzekł Ervill. – Nie sądziłem, że w środku lasu przyjdzie mi zaznać takich rozkoszy. A ty, Avarecie?

– Ściągnij lepiej te zabłocone buciory, bo jeszcze gospodarz gotów wywalić cię stąd na zbity pysk. Ja przynajmniej bym tak zrobił.

– Ech, ależ z ciebie jest malkontent. Gospodarz, o którym mówisz, zdaje się nie mieć tutaj specjalnie wielu gości. Toteż i nie pozbędzie się tak łatwo okazji, by móc takowych podjąć. Co więcej, dołoży wszelkich starań, by im

dogodzić, tak, aby ich wizyta nie była ostatnią, jaką mu złożyli.

Avaret potrząsnął głową, odpuszczając sobie komentowanie. Elf był już zbyt stary, by się zmienić. Przynajmniej o jakieś pięćdziesiąt lat.

– Znalazłem i trochę bimbru – rzekł Tamrok, pojawiając się na powrót w izbie. W rękach niósł cały stos różnorodnych specjałów, z trudem utrzymując butelkę przezroczystego płynu.

W jednej chwili Ervill zerwał się z posłania, dwoma susami dopadając stołu i zajmując przy nim miejsce.

Głupcze – skarcił się w myślach Avaret. Prawisz mu kazania, z których i tak nic sobie nie robi, a wystarczy pomachać mu zwykłym bimbrem przed nosem, by zrobił, co zechcesz.

Tamrok, wyraźnie zaskoczony taką reakcją elfa, zaśmiał się niepewnie. Począł ostrożnie rozkładać jedzenie na stole, w czym ochoczo pomógł mu jego zasiadający już przy nim gość, na sam koniec odbierając z jego ręki butelkę. Avaret chwycił za oparcie krzesła i ustawił je sobie tak, aby móc rozprostować nogi. Upewniwszy się, że goście siedzą już wygodnie i niczego więcej im nie trzeba, również i Tamrok zajął swoje miejsce.

Ervill wzniósł uroczyście napełniony bimbrem kielich.

– Chciałbym ci podziękować, drogi Tamroku, za twoją szczodrość i okazaną nam pomoc, pijąc twoje zdrowie. No więc... Zdrowie!

Nie zwracając większej uwagi na ciepły uśmiech, jaki wypełził na twarz adresata toastu, pospiesznie opróżnił zawartość naczynia. Avaret jednak przyjrzał się obliczu Tamroka, raz kolejny dostrzegając, jak wiele radości sprawiało mu obcowanie z innymi istotami. Doszedł do wniosku, że stwór musiał spędzić naprawdę szmat czasu w odizolowaniu.

– Wybacz, że spytam – rzekł pod nagłym wpływem tego spostrzeżenia – ale jaką rasę właściwie reprezentujesz, przyjacielu?

Tamrok poruszył się niespokojnie. Nie tyle nie spodziewał się tego pytania, co bał się momentu, w którym zostanie ono zadane. Spuścił ze wstydem głowę.

– Cóż, może to zabrzmie dziwnie, ale... jestem człowiekiem.

Ervill parsknął śmiechem, lecz prędko spostrzegłszy swój nietakt, udał, że zakrztusił się bimbrem. Dość nieudolnie. Avaret przyjrzał się bliżej swemu

rozmówcy, zmuszając go do podniesienia wzroku. Nie chciał, by ten czuł się skrępowany z powodu jego ciekawości.

– Pod tą gęstwiną mam normalną skórę, taką, jak wy – podjął Tamrok unosząc głowę. – Klątwa na mnie ciąży, choroba, czy inne лихо, nie wiem. W każdym razie jestem człowiekiem. Tylko nieco innym, niż wszyscy pozostali ludzie.

Averet upił łyk bimbrowy, krzywiąc się lekko.

– Muszę przyznać, że nie spotkałem się nigdy z niczym podobnym.

– Oj tak – wtrącił się Ervill, drapiąc skórę pod opaską okalającą czoło. Sam również przechylił świeżo napełniony kielich, lecz znacznie śmieiej, niż to zrobił Avaret. – Szczególnie ja z naszej dwójki jestem w świecie bywały i niejedno zdążyłem zobaczyć. Smoki, czary, mityczne krainy i podatki przekraczające trzecią część dochodu, z czego to ostatnie było najbardziej niezwykle. Mówię ci przyjacielu, cuda i dziwy, cuda i dziwy. Ale z twoim... przypadkiem się jeszcze nie zetknąłem, muszę przyznać.

– Smoki. – Tamrok oparł wygodniej łokcie na drewnianym stole. Widać wcale nie uznał wzmianki elfa o olbrzymich podatkach za najbardziej interesującą. – Naprawdę istnieją?

– Oczywiście – Avaret przejął pałeczkę po Ervillu, a w jego błękitnych oczach zatańczyły radosne ogniki, zupełnie jak u bazarza opowiadającego zgromadzonym wokół niego dzieciom niezwykle historie. Tamrok bez wątpienia był takim dzieckiem, nieznanym jeszcze otaczającego go szerokiego świata i z tego powodu bardzo go ciekawym. – Oczywiście, że smoki istnieją, choć nie jest ich dużo i dość trudno je spotkać. Powiedz... Kiedy ostatnio opuszczałeś ten las?

Gospodarz odwrócił pospiesznie głowę, pesząc się wyraźnie. Stojąca na komodzie, wyrastająca spośród warstw stopionego wosku świeca wydała mu się nagle niezwykle ciekawa.

– Czy kiedykolwiek...? – Ervill zaczął formułować pytanie, lecz zanim skończył, zdążył już sobie samemu na nie odpowiedzieć. Pokręcił z niedowierzaniem głową i, uznawszy, że jest to wystarczający powód, by się napić, wznosił kielich do ust.

Tamrok, mimo że wciąż wzdragał się podnieść głowę, zdecydował się

przemówić.

– Prawdę mówiąc... Prawdę mówiąc nie znam życia poza tym lasem. Mam szczęście, że w ogóle jakiegokolwiek znam. Zostałem tu porzucony, będąc niemowlęciem, przez rodziców, których niemało wystraszył potwór, jakiego się dorobili. Nie wiem, czy o tym wtedy wiedzieli, ale las zamieszkiwał pewien pustelnik. Albo nie pragnął tak mocno samotności, jak mogłoby się wydawać, albo ulitował się na porzuconym niemowlęciem, w każdym razie podniósł mnie ze zmarzniętej ziemi i przyniósł tutaj, do tej chaty.

To rzekłszy, rozejrzał się z nieskrywaną wdzięcznością po ścianach dających mu schronienie od najmłodszych lat. Avaret i Ervill słuchali go w milczeniu, nie wykorzystując chwilowej sposobności, by mu przerwać ten wywód.

– Turpi – rozpoczął na nowo Tamrok, przywołując najwyraźniej imię swojego wybawiciela. – Był z niego dziwak, owszem. Ale tak naprawdę wszystko zawdzięczam tylko jemu. Począwszy od życia, poprzez umiejętności łowieckie i znajomość leśnej flory, a na możliwości zdobycia bardziej luksusowych towarów skończywszy. No, ale zmarło mu się kilka wiosen temu i od tego czasu mieszkam tu sam.

– Luksusowych towarów? – Ervill uniósł prawą brew.

– Ano tak. Świece, odzież, przyprawy. Tego las mi niestety nie da. A Turpi nawiązał przed laty znajomość z pewnym handlarzem, którego szlak wiedzie akurat przez ten las. Ja zaś tę znajomość do dzisiaj podtrzymuję. Obaj na tym korzystamy.

– A więc utrzymujesz kontakt z ludźmi z zewnątrz – zauważył Avaret.

– Ludźmi? To zbyt dużo powiedziane. Ów handlarz jest jedyną osobą, z jaką rozmawiam. Turpi ostrzegł go o mojej naturze, zanim nas sobie przedstawił, inaczej ten wiałby na mój widok, aż by się kurzyło.

Avaret zamyślił się, trawiąc ostatnie słowa Tamroka.

– A inni ludzie? Nie próbowałeś nigdy nawiązać jakiegoś kontaktu?

Gospodarz pokręcił smutno głową.

– Wszelkie spotkania z wędrowcami przecinającymi las kończyły się w, mówiąc oględnie, bardzo niemiły sposób. Obelgi, agresja, wyzwiska, w

najlepszym razie ktoś otwierał tylko szeroko oczy, podciągał spodnie i uciekał jak najdalej. Ludzie nie akceptują czegoś, co jest im nieznanym, boją się odmienności.

Avaret odchylił się w tył, kołysząc na dwóch nogach krzesła. Problemu odrębności, czy to mającej podłoże kulturowe, światopoglądowe, etniczne, czy też w końcu wynikającej z różnic w fizycznym wyglądzie, nie dało się sprowadzić jedynie do tego jednego aspektu, jakim jest lęk przed nieznanym. Owszem, kryterium to odgrywało kluczową rolę, ale tylko wśród najciemniejszych warstw gminu. Osoba sięgająca spojrzeniem ponad ten horyzont, zdolna była dostrzec, że to raczej implikacje, jakie ze sobą niesie, mogą, choć nie muszą, stanowić problem.

Z pewnością był to temat do dłuższych rozmyślań, Avaretowi nie było jednak dane się w nich pogрузić. Z sideł krainy rozważań wyrwał go rubaszny śmiech Ervilla, wznoszącego kolejny toast. Tamrok, starając się, aby rozmowa na utknęła w tak przykrym dlań punkcie, począł zachęcać gości do kosztowania wszystkiego, czym był zastawiony stół.

– Opowiedzcie mi więcej – zwrócił się do Avareta, wyciągając jednocześnie w jego stronę półmisek z pasztetem. – O smokach, dalekich krainach, wojnach... O wszystkim, widzieliście przecież tak dużo!

Avaret uśmiechnął się, wychylił łyk bimbrowy i nachylił się ku Tamrowi. Opowiadał długo, a za każdym razem, gdy poczuł suchość w gardle, wyręczał go w tym Ervill. Gospodarz słuchał jak zaszarowany, od czasu do czasu tylko przerywając jakimś pytaniem.

Gdy już pojeśli i popili, szybko dopadło ich zmęczenie i senność. Tamrok przygotował obu gościom posłania na dwóch stojących w izbie łózkach, samemu, mimo ich głośnych protestów, zajmując miejsce na ziemi. Najemnicy, strudzeni drogą i odwykli od miękkiej i ciepłej pierzyny, prędko owinęli się od stóp do głów całunem snu. Nie mogli więc dostrzec otwartych oczu gospodarza, w których odbijał się blask słońca wschodzącego nad jednym z odległych krajów. Nie mogli zauważyć, że w jego duszy kiełkuje mocne postanowienie, mające dać o sobie znać już nad ranem.

* * *

– Jadę z wami.

Uniósłszy wzrok ponad grzbietem kulbaczonego konia, Avaret ujrzał

oblicze Tamroka.

Ranek następnego dnia nosił w sobie wspomnienie niedawno minionej zimy. Choć słoneczny, wstał jednak dość mroźny, co odczuwalne było jeszcze bardziej ze względu na otaczającą chatę gęstwinę.

Ledwie wstał z łóżka, najemnik bez chwili zwłoki zabrał się za przygotowywanie wierzchowca do drogi. Zależało mu, by możliwie szybko znaleźć się ponownie na otwartym trakcie i pozwolić promieniom słońca bez przeszkód kłaść się na plecach. Kilka kroków dalej, jeszcze gorzej znoszący zimno Ervill rozgrzewał się, raz po raz pociągając z przeźroczystej butelki. Upiwszy łyk, wypuszczał z ust strumień pary, machał rękami na zewnątrz i do wewnątrz, po czym znowu przechylał butelkę. Przygotowywanie wierzchowca do jazdy szło mu dość wolno.

Avaret przeszył Tamroka przenikliwym spojrzeniem. Czaiło się w nim jednak sporo serdeczności.

– Przypuszczałem, że coś takiego może się wydarzyć.

– Spodobały się opowieści o cudownym, dalekim świecie, mam rację? – Ervill zdecydował się podłączyć do dyskusji. – Nie dziwię się. Sam bym tu trzech dni nie wytrzymał, a co dopiero mówić o całym życiu...

– Nie mamy trzeciego wierzchowca – Avaret przerwał dywagacje elfa. – Nie zrozum mnie źle, Tamroku. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś z nami ruszył. Prawdę mówiąc, miałem nawet nadzieję, że coś w tobie drgnie po wczorajszym wieczorze...

– I tak się stało – Tamrok skinął głową.

– ... niemniej droga będzie dość trudna. Chcę, żebyś wiedział, na co się piszesz. Możemy się zamieniać co jakiś czas, raz ja użyję ci konia, raz zrobi to Ervill.

– Jestem gotowy – ton głosu Tamroka zdradzał wielki upór i zdecydowanie.

Avaret odwrócił się w kierunku elfa, aby niewsparte żadnym komentarzem przecięcie ich spojrzeń ostatecznie zatwierdziło całe przedsięwzięcie.

– Dobrze – rzekł w końcu.

Słyszając to, Tamrok jednym susem dopadł otwartych drzwi wejściowych i

sięgnął ręką za próg. Po chwili jego dłoń ścisnęła już ramię szczelnie wypchanego tobołka. Sierść na jego twarzy poruszyła się, każąc przypuszczać, że gdzieś głęboko pod nią usta wygięły się właśnie ku górze w szczerym uśmiechu.

– Ha! – ryknął Ervill. – Widać to nie była aż tak spontaniczna decyzja, jak mogło nam się wydawać.

Avaret pokręcił głową, samemu nie mogąc powstrzymać śmiechu. Jak to z większością jego rodzajów bywa, także i ten okazał się zaraźliwy, w konsekwencji czego zaraz śmiali się już wszyscy trzej. Najemnik pomógł Tamrokowi wgramolić się na wierzchowca, a czyniąc to, złowił porozumiewawcze mrugnięcie elfa.

Ruszyli.

* * *

Opadające słońce zetknęło się z jednym ze szczytów pobliskich gór, dając wyraźny sygnał do rozpoczęcia poszukiwań schronienia na najbliższą noc.

Dobiegał końca kolejny wiosenny dzień, w trakcie którego wędrowcy pokonali na tyle spory dystans, by odczuwać już znużenie. Pogoda okazała się przychylna; długie promienie słońca ani na chwilę nie zostały zakryte przez chmury, wiatr, jeśli powiewał, to na tyle lekko, że niósł jedynie orzeźwienie. Nie znaczyło to jednak, że cała trójka nie miała obudzić się następnego ranka przykryta warstwą śniegu, będącą jedną z ostatnich złośliwych manifestacji ustępującej pory roku. Aby tego uniknąć, należało odnaleźć jakiś spokojny, zaciszny azyl, mogący osłonić w razie potrzeby przed kaprysmi pogody.

Płaskowyż, na który się wspięli, pozwalał objąć spojrzeniem całą, ciągnącą się aż po same góry równinę. Majestatyczne morze traw przykuwało raz po raz uwagę Tamroka, za nic niemogącego nasycić się tym widokiem. Jediną rzeczą, jaka mogła go od niego odciągnąć, było słońce osiadające w leżu tworzonym przez dwa sąsiadujące ze sobą szczyty. Avaret nawet nie próbował nakłaniać nowego przyjaciela do pomocy w wypatrywaniu miejsca na nocleg. Zamiast tego sam począł rozglądać się uważniej, pozwalając Tamrokowi rozkoszować się nieznanym dotąd widokiem.

– Oho! – w głosie Ervilla pobrzmiwała silna nuta samozadowolenia. Stojąc w strzemionach, starał się dostrzec coś, co leżało nieco poniżej

grzbietu płaskowyżu, na końcu stromego zejścia łączącego go z przyległą półką skalną. – Zdaje się, że właśnie dostrzegam gospodę. Wystrój jej co prawda skromny, obsługa raczej nieliczna, ma jednak to, co w każdej gospodzie najważniejsze – dach nad głową.

Averet wyciągnął głowę we wskazanym kierunku, osłaniając oczy dłonią. „Gospodą” opisywaną przez elfa okazała się jaskinia, wdzierająca się w masyw płaskowyżu jakieś sto stóp od krawędzi półki. Rosnąca u jej wylotu jodła skutecznie maskowała jej wnętrze, szczególnie w warunkach zapadających powoli ciemności. Avaret kolejny raz oddał w duchu honor niezawodnemu wzrokowi Ervilla.

Pokonali dzielącą ich od zejścia odległość, cały czas bacznie lustrując okolicę. Jaskinia była łakomym kąskiem dla każdego, kto szukał osłony przed przynoszonymi przez noc zimnem i wiatrem. Mimo nikłego prawdopodobieństwa należało się upewnić, że nie jest zajęta przez zbójników. Znalazłszy się u progu wiodącej w dół stromej ścieżki, Ervill zeskoczył z konia, polecając Tamrokowi pójść swoim śladem. Chwycił za wodze i począł ze skupieniem sprowadzać konia w dół. Lekko ugięte kolana oraz stawiane w poprzek stopy pozwalały mu w odpowiedni sposób zachować równowagę. Avaret postanowił wyręczyć Tamroka w obowiązku sprowadzenia konia w dół, jako że nie miał on jeszcze odpowiedniego obycia z tymi zwierzętami.

Znalazłszy się na dole, Ervill przywarł ściśle do ściany zbocza. Przytykając palec wskazujący do ust, dał swemu wierzchowcowi znak, aby nie zdradził ich żadnym dźwiękiem. Cichy, jak kot, począł samotnie skradać się w kierunku wylotu jaskini. Stojący nieco dalej Avaret i Tamrok podziwiali elfa w tej sztuce, próżno starając się dosłyszeć jakikolwiek wydany przez niego odgłos. Dotarłszy do rosnącej w bezpośrednim sąsiedztwie wylotu jodły, Ervill uniósł delikatnie jedną z jej gałęzi, aby móc zerknąć w głąb pieczary. Chwilę trwało, zanim jego wzrok przyzwyczaił się do panujących w niej ciemności.

– Zdaje się, że znajdzie się dla nas wolny pokój – oznajmił w momencie, w którym ostatni skrawek słońca zniknął za horyzontem.

* * *

Ognisko, jakie udało im się rozpalić, dawało niewiele ciepła. Okolica nie

obfitowała w opał, rozsiane po płaskowyżu drzewa rosły raczej rzadko, a u ich podstaw nie znaleźli wielu opadłych gałęzi. Ervill wspiął się na wyższą kondygnację towarzyszącej wejściu do jaskini jodły i uciął kilka konarów. Nie zamierzali kaleczyć drzewa w jego niższych partiach, aby nie pozbawić go funkcji maskującej ich schronienie.

Gdy już uporali się z rozpaleniem maleńkiego ogniska, usiedli wygodnie – Ervill z Tamrokiem oparł się o jedną ścianę jaskini, Avaret o drugą – i dobyli z worków, co mieli w nich najlepsze. W przypadku Ervilla była to oczywiście butelka o znacznie już uszczupionej zawartości bimbru oraz kawałek starego sera, Avaret i Tamrok zdecydowali się z kolei połączyć siły i wspólnie spożyć to, co uznali za najsmaczniejsze. Napitku kojarzonego bardziej z elfem również sobie nie odmówili.

Trwali chwilę w milczeniu, zajęci posilaniem się, od czasu do czasu spoglądając na płomień starając się dosięgnąć najniższych gałęzi jodły.

– Jutro wkroczymy w nowy etap naszej podróży – odezwał się w końcu Avaret, zmagając się z trudnym do przeżucia kawałkiem suszonego mięsa. Spojrzenie jego błękitnych, przenikliwych oczu spoczęło na Tamroku. – Przed nami Kaermen, niewielki kraik, żyjący z pasterstwa i nielicznych kopalni srebra. Przemierzmy go prędko, zatrzymując się może jedynie na chwilę w którejś z osad, aby uzupełnić zapasy.

– Królestwo, choć niewielkie – podjął Ervill – to jednak różnorodne etnicznie. Być może właśnie na skutek niewielkiej odległości dzielącej jego serce od ościennych krajów. Uświadczysz tam i elfów i krasnoludów. Nie w ilości każącej zauważać ich na każdym kroku, niemniej rodowici mieszkańcy tych ziem żyją w zgodzie z przedstawicielami innych ras, znając ich dobrze i szanując. Wydaje mi się, że nie powinieneś wzbudzić wielkiej sensacji. Przyciągniesz zapewne kilka zdziwionych spojrzeń, ale na tym się skończy.

Tamrok spuścił swą kudłatą głowę, najwyraźniej nie do końca dowierając zapewnieniom Ervilla. Dotychczasowe doświadczenia nauczyły go czegoś wręcz dokładnie odwrotnego. Tkwiąc cały czas w odizolowaniu, skonstruował w swej głowie nie do końca oddającą realia wizję świata, w której on, jako manifestacja niedoskonałości natury, skazany jest na rolę antagonisty w stosunku do reszty społeczeństwa. Był przekonany, że już sama jego fizjonomia wykluczała możliwość przestawania z innymi ludźmi.

– Nie martw się – rzekł Avaret, dostrzegając strapienie malujące się na twarzy Tamroka. – Sam podjąłeś decyzję o opuszczeniu domu, a to oznacza, że chęć poznania świata zwyciężyła w tobie strach przed odrzuceniem. Nie pozwól mu teraz pokrzyżować ci szyków. Pamiętaj, że w ostateczności masz nas przy swoim boku, a my nie pozwolimy, aby zaczepiano bezpodstawnie naszych przyjaciół. Mimo wszystko jednak – dorzucił na zakończenie, dla dodania Tamrokowi większej otuchy – liczę, że spotkasz się z ciepłym przyjęciem wśród mieszkańców Kaermen. Jestem tego wręcz pewien.

Tamrok sprawiał wrażenie w pewnym stopniu przekonanego do słów Avareta. Jego sierść poruszyła się w okolicach kącików ust, znamionując pojawienie się na twarzy delikatnego uśmiechu.

– Wierzę ci, Avarecie – rzekł, unosząc do ust kawałek suszonego mięsa. – Koniec końców to ty znasz lepiej świat. A ja cieszę się, że mogę ci towarzyszyć w podróży po nim.

Niespodziewaną puentą tej dyskusji okazało się głośne chrapnięcie Ervilla; elf zasnął nie wiadomo kiedy, oparty plecami o ścianę. Skinąwszy jednocześnie głowami, Avaret i Tamrok dali sobie nawzajem znak do pójścia w ślady towarzysza. Zagasiwszy uprzednio ognisko, przystąpili do umoszczenia sobie legowisk. Tamrok uczynił to niemal przy samym wylocie ściany, aby móc jeszcze przez chwilę podziwiać wiszące nad górami gwiazdy.

Wszystkie kłopoty zaczęły się następnego dnia.

* * *

Z łąki na skraju lasu wieńczącego wzgórze dostrzec już mogli zabudowania leżącej w dole osady. W jej sercu znajdował się szczelnie otoczony kamienicami plac; im dalej od niego Avaret przesunął spojrzenie, tym mniej uporządkowania dostrzegał w architekturze miasta. Domostwa usiane były to tu, to tam, bez wyraźnego wzoru, w znacznych odległościach od siebie. W pobliżu północnych osiedli wznosiło się coś na kształt muru, jednak z uwagi na stan, w jakim się znajdował, z pewnością nie wywiązywał się już ze swojej funkcji.

Tamrok, który po raz pierwszy miał okazję przyglądać się takiemu skupisku form architektonicznych, trwał przez jakiś czas w milczącym zachwycie.

– Więc tak wygląda miasto? Nie przypuszczałem, że może być tak ogromne.

Ervill podrapał się z tyłu głowy, zastanawiając się nad tym, czy Tamrok byłby w stanie uwierzyć, że podziwiana przezeń osada jest śmiesznie mała w porównaniu do największych miast tego świata.

– Zobaczmy, jakie zrobi na tobie wrażenie z bliska – rzekł Avaret, po czym złapał wodze swego konia i krocząc z głową wtuloną niemal w jego grzywę, ruszył w dół zbocza.

Delikatnie wiejący wietrzyk umilił im zejście, igrając z sięgającymi ramion włosami obu najemników, grzywami koni i sierścią Tamroka. Bujnie rosnąca trawa poruszała się miarowo, sprawiając, że całe wzgórze wydawało się ożywać, niczym zwierz przeciągający się po długim śnie.

Po krótkiej chwili okazało się, że wiatr przyniósł coś więcej, prócz samego kojącego dotyku; ich uszu poczęły dobiegać jakieś dźwięki, najpewniej odgłosy toczącej się rozmowy. Wytężywszy wzrok, Avaret dostrzegł jakiś ruch na skraju gęstwiny iglastych drzew, rosnących po lewej stronie ścieżki. Wiodła ona od podstawy wzgórza aż do osady. Im niżej się znajdowali, tym łatwiej było mu wyróżnić spośród zielonej ściany sylwetki pięciu mężczyzn, być może myśliwych. Cała grupa wychyłała zaraz spomiędzy drzew, wychodząc na spotkanie Avaretowi, Ervillovi i Tamrokowi.

– Proszę, proszę – rzekł stojący na czele grupy mężczyzna, dłonią osłaniając oczy przed świecącym słońcem. W drugiej dzierżył łuk, przez jego pierś przebiegał ukośnie pasek utrzymujący kołczan. Choć nie był już młodzikiem, sprawiał wrażenie niedoświadczonego myśliwego; przyczepione do złotego, rzucającego się w oczy kaftana drobne gałązki i liście znamionowały nieostrożność w poruszaniu się wśród gęstwiny, niemal pusty kołczan idący w parze z brakiem upolowanej zwierzyny świadczył o niskich umiejętnościach łuczniczych. Stojący za nim towarzysze wydawali się mu podlegać, co z kolei nie najlepiej świadczyło o nich samych. Nie wszyscy byli uzbrojeni w łuki – dwójka z nich dzierżyła w dłoniach włócznie. – A więc oczy nas nie myliły. Cóż to za bestię ze sobą wiedziecie? – zwrócił się do Avareta i Ervilla, unosząc zaczepnie podbródek.

Avaret przystanął raptownie, obdarzając pytającego srogim spojrzeniem.

Tamten cofnął się pół kroku, najemnik zaś, nie uznając za stosowne odpowiadać, wznowił marsz w kierunku osady. Nie spodobało mu się to niemiłe powitanie, nie zamierzał jednak wdawać się w żadną dyskusję, czy tym bardziej doprowadzać do jakiegoś poważniejszego zatargu.

Tamten nie dał jednak tak łatwo za wygraną.

– Chwila, chwila – rzekł stając na drodze Avareta. – W dalszym ciągu oczekuję odpowiedzi na swoje pytanie. Cóż to za dziwny stwór podróżuje w waszym towarzystwie? Nie zamierzacie chyba przyprowadzić tego plugastwa do naszej osady, mam rację?

– Nie potrzebujemy tu żadnych dziwactw – poparł go stojący za nim wąsaty włócznik. – Po prawdzie to elfa też nie potrzebujemy.

Ervill ściągnął brwi, nie bardzo dowierzając wygłoszonej w jego stronę uwadze.

– Baczcie na słowa – wysyczał Avaret przez zaciśnięte zęby. Znajdował się teraz nie więcej niż w odległości dwóch kroków od łuczника przewodzącego reszcie. – Wszyscy trzej zamierzamy spędzić dzisiejszą noc pod dachem, w tej osadzie – jego ręka wyprostowała się ponad barkiem mężczyzny, wskazując nieodległe domostwa. – Nie szukamy konfliktu.

Nie tego się spodziewałem – pomyślał Avaret, z uwagą lustrując twarze myśliwych. *Nie tego, do jasnej cholery.*

– Wynocha stąd! – usłyszał w odpowiedzi głos któregoś z mężczyzn, nie dojrzał dokładnie, którego.

– Zabierać się stąd! Już was tu nie ma!

– Wypierdalać!

Prężąca się dumnie sylwetka przywódcy kontrastowała niemiło z kulącym się w sobie, niemało wystraszoną takim przyjęciem Tamrokiem. Kudłacz cofnął się kilka kroków, przygotowując do odwrotu.

Naraz jakiś przedmiot pomknął w stronę włochatego stwora. Ugodzony boleśnie, złapał się za głowę, z najwyższym trudem usiłując zdusić ryk cierpienia. U jego stóp upadł kamień wielkości śliwki.

Tego było już za wiele. Nie namyślając się wiele, Avaret rąbnął potężnie w brzuch stojącego naprzeciw niego mężczyznę. Myśliwy upadł na ziemię, usiłując złapać oddech, podczas gdy najemnik, puszczając wodze swojego

konia, pomknął ku następnemu przeciwnikowi. Zdzielił go pięścią w twarz, zanim tamten w ogóle zdążył się połapać, co się dzieje. Ułamek sekundy później w powietrze wzbily się dwa groty włóczni, ścięte jednym, wprawnym ruchem przez Ervill, który poszedł w sukurs przyjacielowi. Oniemiali włócznicy zaraz wpadli na pomysł, by dołączyć do ostatniego z grupy mężczyzny. Ten gnał już przed siebie, nie czekając na swoją porcję ciosów. Za plecami całej trójki wzbil się tuman przydrożnego pyłu.

Ervill otrzepał symbolicznie ręce.

– Poszło bardziej gładko, niż myślałem.

– Nic ci nie jest? – Avaret podszedł do Tamroka, aby dokonać oględzin rany, jaka mogła powstać w wyniku tego niefortunnego incydentu. Kilka kroków dalej Ervill obdzielał leżących na ziemi napastników kopniakami w żebra, nie szczędząc przy tym siły ani precyzji. Jedynym, na co tamci mogli się zdobyć, były głuche jęki. Nie zapowiadało się, by powstałi z gleby przez najbliższe pół godziny.

O dziwo Tamrok wyprostował się pewnie, nie zdradzając żadnych oznak uszczerbku na ciele.

– Wszystko w porządku. To futro ma, jak widać, także i swoje zalety.

Mimo tej deklaracji Avaret przyjrzał się jeszcze raz towarzyszowi, nie kryjąc przy tym troski. Zdał sobie sprawę, że draży go poczucie winy za zaistniały incydent. Z trudem usiłował odepchnąć narzucającą się myśl, zgodnie z którą on sam i Tamrok reprezentowali dwa odmienne światy. Przypomniał sobie swoje rozważanie sprzed ledwie dwóch dni, dotyczące problemu odmienności i jej skutków.

Nie mam prawa czuć się winnym. To nie ja na niego napadłem, wręcz odwrotnie, stanąłem w jego obronie. Czy jestem podobny do napastników? Z pewnością nie. O wiele więcej łączy mnie z Tamrokiem.

Tak czy inaczej zawiódł przyjaciela. Zapewnienia o poszanowaniu Kaermeńczyków dla innych istot okazały się nic niewarte. Co dziwniejsze, również i Ervill nie uniknął nieprzychylnych spojrzeń.

– Jak nazywa się ta osada? – zwrócił się elf do zwijającego się wciąż z bólu przywódcy bandy. Dla potwierdzenia, że to do niego skierowane było pytanie, kopnął go raz jeszcze w żebra. Musiał odczekać chwilę, aż tamten

złapie oddech.

– S... Srebrnisko – wychrypiał ten po chwili. Kosztowało go to tyle sił, że po wszystkim głowa opadła mu na glebę i jakby stracił przytomność.

– Wcale ładna nazwa! Nie ma na co czekać. Na koń, przyjaciele!

Spostrzegłszy, że akurat jemu wypada iść teraz pieszo, mina mu nieco zrzedła. Na krótką chwilę rzecz jasna, gdyż elf nie należał do istot nadmiernie się trapiących. Ruszył żwawym krokiem, aby utrzymać tempo narzucone przez obu jeźdźców, co nie przyszło mu jednak z wielkim trudem. Tamrok siedział w siodle milczący, ani Avaret, ani tym bardziej Ervill nie potrafili w tej chwili znaleźć dla niego jakichś słów pocieszenia.

Oby to był naprawdę incydent, a nie reguła – przemknęło przez myśl Avaretowi, gdy przelotnie spojrział na kudłatego stwora.

Jechali powoli, nie odzywając się do siebie. Ścieżka była mocno wydeptana, nie natrafili jednak po drodze na nikogo jadącego z naprzeciwka. Las niejednokrotnie niemal wdzierał się na nią, zmuszając do ucieczki w bok.

Mniej więcej w odległości sześciuset stóp od skraju osady napotkali coś dziwnego. Stojąca tuż przy ścieżce drewniana rzeźba przedstawiała mężczyznę o, jak to przemknęło Avaretowi przez głowę, opętanym żądą mordy obliczu. Ostre zęby współgrały z cienkimi, wyciągniętymi ku górze brwiami, źrenice znajdujących się pod nimi oczu były nienaturalnie duże. Całego obrazu dopełniał topór, trzymany przez mężczyznę oburącz, jawnie ostrzegający przed konsekwencjami zatargu z jego posiadaczem. U stóp figury leżało kilka pozornie niezwiązanych ze sobą przedmiotów: chustka, fajka i jakiś wisiołek.

– Cóż to za straszny typ? – Ervill przystanął przy rzeźbie, przyglądając się najpierw jej oczom, a następnie leżącym na ziemi drobiazgom. – Wygląda to na obiekt kultu.

Avaret zatrzymał konia obok przyjaciela.

– Nie pamiętam dokładnie, jakiemu bogowi oddają cześć Kaermeńcy, ale nie przypuszczałbym nigdy, że może on mieć tak okrutne oblicze. Musiało się tu doprawdy bardzo wiele ostatnimi czasy pozmieniać... O wiele za dużo, jak na mój gust, a przecież nawet jeszcze nie dotarliśmy do osady.

Ruszył naprzód, nie przyglądając się zbyt długo paskudnej rzeźbie. Zaczął

sobie zadawać w duchu pytanie, czy ominięcie Srebrniska nie byłoby dobrym pomysłem.

Jego obawy potwierdziły się chwilę później. Na odcinku pomiędzy skrajem osady, a jej sercem napotkali tyle nieprzychylnych spojrzeń, ilu nigdy by się po tej krainie nie spodziewał. Wrogie nastawienie miejscowych nie знаło kryterium wieku, czy majątności; niemal wszyscy, młodzi chłopcy i dziewczęta, starcy podpierający się kijami, ubrani w potargane łachmany wozacy i pasterze oraz z szykiem odziani handlarze witali Tamroka, a czasami także i Ervilla, wrogim grymasem. Nie obeszło się bez kilku obelg, cichnących jednak za każdym razem, gdy któryś z najemników kładł dłoń na rękojeści miecza.

Atmosfera ta towarzyszyła im aż do samego rynku.

– Patrzcie – rzekł Tamrok wskazując coś wyciągniętą ręką. Jego głos był inny, niż do tej pory, bardziej zduszony. – Kolejna rzeźba.

Istotnie, sam środek placu zajmowała niemal identyczna drewniana figura, z jaką zetknęli się wcześniej. Wiedziony instynktem Avaret, momentalnie odszukał u jej podstawy gliniany kubek.

Dookoła kręcili się ludzie, zajęci swoimi codziennymi obowiązkami. Avaret zauważył, że Tamrok kuli się w sobie, jak gdyby usiłował schować się przed napastliwym wzrokiem mieszkańców.

– Zdaje się, że dostrzegam jakąś gospodę – w głosie Ervilla wyraźnie pobrzmiwało zadowolenie. Spoglądał w przeciwległy róg rynku, od którego biegła dalej prosta uliczka.

Avaret uśmiechnął się. Łudził się trochę, że cztery ściany zdołają uchronić Tamroka przed kolejnymi szykanami.

– W samą porę. Ruszajmy czym prędzej. Ostatni stawia obiad!

Spiął konia, puszczając w kierunku elfa łobuzerski uśmiech. Aż do progu gospody słyszał za sobą odgłos szaleńczo uderzających o ubitą ziemię podeszew Ervilla, opleciony bogatym repertuarem wyzwisk. Dotarł na miejsce jako pierwszy, nim zdążył zsiąść z konia dołączył do niego Tamrok, Ervill rzecz jasna zameldował się jako ostatni, głośno dysząc. Gdy już doszedł do siebie, nabrał w płuca tyle powietrza, by starczyło mu na kolejną wiązanke, Avaret uciszył go jednak unosząc dłoń.

– Żartowałem. Wiem, ile znaczy dla ciebie każdy miedziak, gdy masz ochotę się schlać.

Wciąż śmiejąc się pod nosem, poprowadził konia na dziedziniec karczmy, aby tam go uwiązać. Gdy już uporali się z wierzchowcami, wrócili przed wejście od strony ulicy i pchnęli drzwi.

Nie uderzył w nich rejwach właściwy każdej zacnej gospodzie. Owszem, wewnątrz był spory tłok, jednak przemierzając spojrzeniem oblegane przez gości stoły, Avaret dostrzegł, że żaden z nich nie czuje się swobodnie. Siedzieli posepni, z rzadka się do siebie odzywając, zgarbieni, z głowami spuszczonej ku ziemi. Na drugim końcu izby wsparty o ladę karczmarz zmarszczył czoło, tym jedynym gestem witając nowo przybyłych. Kilku mężczyzn wyprostowało się, zerkając w stronę drzwi wejściowych, prędko jednak powrócili do bacznej obserwacji drewnianych stołów. Grający jakąś rzewną melodię bard bardzo dobrze wpasowywał się w panujący wewnątrz nastrój. Najemnik poczuł nagle suchość w gardle.

– Uwielbiam takie huczne powitania.

Ervill skwitował jego komentarz machnięciem ręki. Wyciągając przed siebie długie nogi, ruszył dziarskim krokiem ku ladzie. Avaret i Tamrok podążyli za nim.

– Czym się martwić? Przyszliśmy tu, żeby się napić, to nasz główny cel. Ewentualnie coś zjeść, bądź przespać noc pod dachem. Czy potrzebne nam jest do tego serdeczne powitanie? Ja na ten przykład potrafię schlać się o własnych siłach i zbędna jest mi czyjkolwiek pomoc. Grunt, że gościmy w karczmie, a każda karczma ma to do siebie, że podaje się w niej piwo.

Avaret mniej więcej w połowie przestał słuchać wywodu elfa, dostrzegając szereg kwaśnych min i krzywych spojrzeń, jakie siedzący cicho goście serwowali osobie Tamroka. Żaden z nich jednak nie powążył się na jakiś komentarz.

– Piwo karczmarzu! – krzyknął Ervill w kierunku stojącego po drugiej stronie lady wąsatego jegomościa. – A właściwie trzy piwa, gdyż moi druhowie zapewne również chcą uraczyć swe podniebienia.

– Nie ma.

Elf przymknął oczy i pokręcił żywo głową, udając, że się przesłyszał.

– Że co? Nie żartuj sobie ze mnie, przyjacielu, nie w takiej kwestii.

– To nie żart. W całym Srebrniku już o dłuższego czasu nie uświadczysz żadnego alkoholu.

Obaj wraz z Avaretem obrócili się gwałtownie w stronę miejsca, z którego dobiegły słowa. Nie wyszły one bowiem z ust karczmarza, niezbyt kwapiącego się do prowadzenia rozmowy z najemnikami. Korzystając z okazji, oddalił się ku zapleczu.

Siedząca przy ladzie młoda dziewczyna trzymała w ręce kubek owiany ziołowym aromatem. Z jej głowy spływały na ramiona gęste kasztanowe włosy, po czerwonych ustach błąkał się cień uśmiechu, intrygująco współgrając z odważnym spojrzeniem brązowych oczu.

– A cóż to za dziwne zwyczaje? – rzucił napastliwym tonem Ervill. – Jak żyję, nie widziałem karczmy, w której nie można by się było napić!

Dziewczyna uśmiechnęła się nieco szerzej.

– Jesteście tu od niedawna, prawda?

Avaret skinął głową w odpowiedzi, jako że to do niego, a nie elfa skierowane było pytanie.

– Nazywam się Lenli – rzekła ich rozmówczyni, jak gdyby czyniąc wstęp do dłuższej rozmowy. Łypnęła na krótką chwilę na skrywającego się za plecami najemników Tamroka, po czym na powrót skierowała spojrzenie na Avareta. Ervill wysunął się przed przyjaciela, szykując się już do dworskiego ukłonu, lecz ten odepchnął go z powrotem za plecy, nie dając sposobności do błazeńskich wygłupów.

– Jestem Avaret. Przygląp za moimi plecami zwie się Ervill. Kompanii naszej dopełnia osoba Tamroka.

Tamrok uniósł nieśmiało dłoń, wciąż czając się z tyłu. Lenli obdarzyła go ciepłym uśmiechem, upiła łyk ziołowego naparu i wzięła głębszy oddech.

– Pewnie niemało dziwi was atmosfera panująca w Srebrniku, mam rację?

– Prawdę mówiąc zaskoczyło nas jak dotąd dosłownie wszystko. Agresywne nastawienie ludności, osobliwe rzeźby... Brak piwa w karczmie... Nie odwiedzałem nigdy wcześniej tych terenów, jednak panująca powszechnie w świecie opinia o Kaermen jest zgoła inna od tego, co

zastaliśmy.

Lenli pokiwała ze zrozumieniem głową, zakładając nogę na nogę. Avaretowi nie umknął ten ruch.

– Zamówcie lepiej coś do picia. Opowiem wam o tym, co się u nas dzieje.

– Ale cóż mielibyśmy zamówić? – Ervill rozłożył bezradnie ręce. Wyraz, jaki przybrała jego twarz był na tyle komiczny, że Lenli parsknęła niepowstrzymanym śmiechem.

– Cóż, polecam gorące mleko, jest naprawdę pyszne. Znajdą się również i innego rodzaju napitki, wszystkie warte spróbowania.

Elf nie wydawał się usatysfakcjonowany taką propozycją.

– Co ja, dziecko jestem, żeby mleko pić? – mruknął przywołując gestem dłoni karczmarza. – Przyjacielu, nalej mi... Nalej mi... A psiakrew! Nalej czego chcesz, przecież w takiej sytuacji i tak jest mi wszystko jedno!

– Dla mnie to samo – rzucił Avaret, nawet nie odwracając się w kierunku gospodarza. Zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu spojrzenia jego i Lenli napotykają się wzajemnie. Z trudem uciął to zaskakujące go połączenie.

Karczmarz, jak się okazało, posiadał dobry słuch, a co więcej sprawnie notował w pamięci zasłyszane informacje. Korzystając z przyzwolenia, jakiego udzielił mu Ervill, zdecydował się zaoferować nowym gościom po kubku gorącego mleka. Elf skrzywił się ujmując naczynie w dłoń, nie powiedział jednak słowa.

– Zdaje się, że stół w rogu się zwolnił – rzekła Lenli. – Przesiadźmy się, będzie nam wygodniej prowadzić dyskusję.

Avaret skinął głową, po czym cała czwórka oderwała się od lady, bacznie obserwowana przez stojącego za nią gospodarza. Odsuwając krzesła i odstawiając kubki uczynili nieco hałasu, który w tradycyjnych warunkach zginąłby wśród powszechnego gwaru, teraz jednak okazał się głównym aktorem tej krótkiej chwili, wspartym jedynie niemrawymi brzdąknięciami barda. Lenli, gdy już tylko zajęła wygodną pozycję, nachyliła się nad stołem, dając sygnał, że rozmowa będzie prowadzona ściszym tonem.

– Zacznę od tego, że bardzo miło mi was widzieć. Mówiąc „was” mam na myśli kogoś z zewnątrz, kogoś, dla kogo to, co tu się dzieje od początku do końca jest czystym absurdem.

Ervill pokiwał potakująco głową. Avaret potrafił odgadnąć, że na wzmiankę o „absurdzie” myśli elfa skoncentrowały się tylko i wyłącznie na ubogiej w alkohol ofercie karczmy, nie zahaczając nawet o inne incydenty tego dnia.

– Trzeba wam wiedzieć, że opinia o Kaermen, jaka ciągle jeszcze panuje w świecie, nie wzięła się znikąd. Owszem, przez długi czas byliśmy bardzo tolerancyjnym krajem. Ściągały do nas duże gromady elfów i krasnoludów, a także ludzi z innych, dalekich krajów. Kwitł handel, wielu obcych decydowało się tu osiaść, wrastając w kulturę i tradycję Kaermen, lub przynajmniej ją respektując. Wszystkie procesy zachodziły pokojowo, a kraj rozwijał się zachowując przez wieki swoją tożsamość.

– Miejscowi – wtrącił Avaret, przywołując na twarz delikatny uśmiech – zdecydowali się, jak widzę, zmienić nieco definicję tolerancji...

Dziewczyna pokręciła przecząco głową, wprawiając w ruch kasztanowe włosy.

– To nie tak. Nic nigdy nie dzieje się bez przyczyny.

Widzicie, podłoża takiego stanu rzeczy trzeba szukać w przeszłości... Prawdę mówiąc nie wiem kiedy dokładnie, być może w czasach mojego dziadka, a może jeszcze wcześniej... Kaermen zawsze słynęło z kopalni srebra, czego dowodem może być choćby nazwa tego miasteczka. Wydobycie tego metalu przysparzało od lat bogactwa mojemu krajowi, podnosząc jego pozycję wśród potężniejszych sąsiadów. Lecz paradoksalnie ta sama rzecz założyła jarzmo na jego szyję.

– Nie bardzo rozumiem – ozwał się nieśmiało Tamrok. Białe krople mleka widoczne na sierści wokół ust ujmowały mu nieco powagi. – Jak źródło takiego bogactwa może być problemem?

– Cóż, być może źle się wyraziłam. Kopalnie nie są oczywiście bezpośrednią przyczyną naszego nieszczęścia. Są nią raczej ludzie, którzy w nich pracują. A ściślej mówiąc: pracowali.

Tak jak mówiłam, wszystko zaczęło przed kilkudziesięciu laty. Takie rzeczy nie dzieją się najwidoczniej z dnia na dzień, to raczej powolny, długotrwały proces. Tym gorzej, bo trudniej zauważyć jego zgubny wpływ.

– No dobra, do rzeczy – przerwał zniecierpliwiony długim wstępem Ervill.

Brak piwa potęgował w nim nerwowość, a właściwie sam w sobie był jej przyczyną, o dziwo jednak pogardzane przez elfa mleko szybko znalazło ujście w jego gardle. – Co się właściwie wydarzyło?

Lenli wzięła głębszy oddech, jak gdyby przygotowując się do wyłożenia wszystkiego na stół.

– Wydobycie srebra to interes, jak każdy inny. A w interesie najbardziej liczy się zysk, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Wiemy to my, wiedzieli to i również moi przodkowie, którzy wiele lat temu zadecydowali, aby powierzyć wydobycie ludziom biegłym w tej dziedzinie, a przy tym żądającym mniejszej zapłaty, niż rodowity Kaermeńczyk. Nieco na południe od granic naszego kraju żyje lud Gorla, na wpół dziki, nie posiadający zorganizowanego państwa.

– Kojarzę te ziemie – wtrącił się Avaret, korzystając z okazji, by przyciągnąć spojrzenie Lenli. – Gorlanie żyją w niewielkich osadach, rzekłbym, że bardzo prymitywnych. Nie uprawiają ziemi, trudnią się tylko polowaniem.

– Nie tylko. Ich ziemie bogate są w złoto i srebro. Gorlanie zajmują się również wydobywaniem tych metali i tylko dlatego nie żyją na skraju nędzy. Każda wyższa cywilizacja uczyniłaby z tych ziem kraj mlekiem i miodem płynący, oni są jednak zbyt mało zorganizowani i leniwi, by mieć większe ambicje.

Spytacie zapewne jak to się stało, że żaden z sąsiadów nie zainteresował się podbojem tak bogatej krainy?

– Ja odpowiedź znam bardzo dobrze – ozwał się Ervill tonem godnym największych mędrców. – W długiej już historii tego świata mieliśmy wiele przykładów, kiedy to uzbrojony po zęby najeźdźca liczył na łatwy podbój pozornie nie mającego szans mu się przeciwstawić ludu. Mnożyć można by takie przypadki i historia Gorlan się do nich zalicza, bo mimo, że nie posiadają wyrafinowanego oręża, to są bardzo bitni, zawzięci i okrutni dla swoich wrogów. I jak dotąd potrafili skutecznie bronić swojej suwerenności.

Lenli pokiwała głową z uznaniem dla wiedzy elfa, nieco jednak zła, że ten ją wyręczył

– Co do tego, że są okrutni nie ma żadnych wątpliwości. Okrucieństwo można uznać za jeden z dogmatów ich religii, którą przywlekli ze sobą do

Kaermen. To właśnie ich zaprosili do naszego kraju moi przodkowie. Gorlanie czczą przerażającego boga – Mazuba. Jego kult wymaga krwawych ofiar i nie mam tu na myśli tylko zwierząt.

Ervill zmrużył oczy.

– Chwila, chwila. Czy to przypadkiem nie jego rzeźby napotkaliśmy zarówno w drodze do Srebrniska, jak i w samym jego sercu, nieopodal tej karczmy?

Dziewczyna skinęła bezgłośnie głową. Avaretowi zdało się, że cień przerażenia na krótki moment zasnuł jej oblicze. Zdziwiło go to nieco, bo do tej pory Lenli zdążyła zrobić na nim wrażenie dość odważnej, można by wręcz powiedzieć, że nieco bezczelnej i bezkompromisowej kobiety. W tej chwili wydała mu się jednak dość kruchą istotą.

– Co oznaczają rzeczy zgromadzone u stóp zarówno jednej, jak i drugiej figury? – usłyszał swój własny głos, tak odległy, jakby dobiegał z dalekiej krainy rozmyślań, do której przywiodła go osoba Lenli.

Krótki moment, w trakcie którego dziewczyna zbierała się w sobie, by udzielić odpowiedzi, wypełniło kilka smutnych akordów. Pośród nie – Avaret dałby sobie za to rękę uciąć – zamieształ się również urwany szloch Lenli, jednak jej spuszczone głowa i gęste, opadające w dół włosy uniemożliwiły stwierdzenie tego z całą pewnością.

– Te rzeczy należały do ludzi, którzy złamali święte prawa religii Gorlan. Zostali zabici przez tych dzikusów, bo jawnie występowali przeciw ich bogu i ich prymitywnym zwyczajom, jakie próbują zaszczepić u rodowitych Kaermeńczyków. Drobiazgi, które widzieliście, to trofea ofiarowane Mazubowi – symbol przelanej krwi.

Przy ostatnich słowach głos Lenli wyraźnie się załamał. Ukryła twarz w dłoniach i tym razem Avaret nie musiał już dociekać, czy rzeczywiście usłyszał łkanie. Trwało to jednak niemal okamgnienie, dziewczyna prędko pozbierała się w sobie i uśmiechnęła szeroko, acz dość sztucznie, starając się zaprzeczyć chwili kobiecej słabości.

– Czegoś tu nie rozumiem – rzekł Ervill. – Jak tak nieliczna grupa zdołała w tak znaczący sposób wpłynąć na rdzennych mieszkańców tych ziem? Dlaczego nie pogoniliście ich jak najdalej stąd widząc, co się dzieje? Przecież to zaledwie garstka ludzi.

Lenli prychnęła głośno, zerkając z ukosa na przygaszonych gości gospody.

– To nie takie proste, jak by się mogło wydawać. Widzicie, przez te dziesiątki lat kolonia Gorlan urosła dość znacznie. Kłopoty nie zaczęły się od razu; potrzeba było czasu, by ci ludzie urosli w siłę, poczuli się pewnie na obcej ziemi i przystąpili do stawiania odważniejszych kroków. Lata pobłażania i robienia dobrej miny do złej gry tylko im w tym pomogły. Mężczyźni w Srebrniku i okolicy są słabi; to starcy, którzy już dawno zapomnieli, czym jest walka, młodzi zaś wychowywani byli w duchu źle pojmowanego szacunku należnego innym kulturom. Ponadto żaden z nich nie ma w sobie na tyle męstwa, by móc tej sytuacji zaradzić. Nieliczni jedynie próbowali się przeciwstawić nowej rzeczywistości, lecz bez poparcia całej ludności nic nie mogli wskórać. Ich odwaga przyniosła im tylko śmierć. Daremną, bo nie spowodowała ona żadnego zrywu wśród Kaermeńczyków, którzy w imię podtrzymania pokojowych relacji z Gorlanami zdecydowali się ponieść taką ofiarę.

Avaret odchylił się w tył, trawiąc słowa Lenli. Przyjrzał się uważniej twarzom innych gości. O żadnej z nich nie mógł stwierdzić, że czai się w niej jakaś ikra buntu, czy choćby pierwiastek sprzeciwu.

– Wszystko to spowodowało – podjęła niespodziewanie Lenli w chwili, gdy wydawało się, że zakończyła już swoją opowieść – że dzisiaj całkowicie wypaczone jest znaczenie tolerancji. Pod jej płaszcz można schować największą nikczemność, najokrutniejszą zbrodnię. Z drugiej strony wśród części mieszkańców podświadomie narastają bezsilność i frustracja. Miejscowi nie mają wystarczająco siły, by sprzeciwić się Gorlanom, ich agresja koncentruje się więc na istotach bezbronnych. Odmienność sama w sobie stała się wadą, podstawowym kryterium oceny, nie zaś zło, jakie ze sobą niesie, bądź nie. Tak jest niektórym łatwiej. Przepraszam.

Z ostatnim słowem zwróciła się do Tamroka, który z zaskoczenia niemal podskoczył w miejscu. Znać było, mimo gęstego futra skrywającego jego mimikę, że onieśmieliła go serdeczność i szczere ubolewanie Lenli.

– Dziękuję – odparł.

– Ja również dziękuję – rzucił z westchnieniem Ervill, choć to nie jego osoby tyczyć się przeprosiny. – Również i ja stałem się przyczyną wielu

kwaśnych min i niewybrednych komentarzy ludzi tej osady. Cóż, nie powiem, by miły był mi los wyrzutka, nie powiem jednak również, by był mi obcy. Taki już jest ten świat...

Naraz krzyknął głośno, łapiąc się za kostkę i zwracając oburzone spojrzenie ku Avaretowi.

– Wybacz mu – zwrócił się ten do Lenli. – Wybrano mu rolę przygłupa w tej sztuce zwanej życiem i nic na to nie poradzi.

Dziewczyna uśmiechnęła się niemrawo i choć jej usta szybko na powrót się ściągnęły, w oczach jeszcze przez chwilę bawił jakiś trudny do określenia blask.

Masując obolałą kostkę, Ervill zwrócił się ponownie do Lenli:

– Zgaduję, że deficyt alkoholu wynika z jednego z „prymitywnych zwyczajów” Gorlan? Innego wytłumaczenia nie znajduję, jak i nie akceptuję.

– Masz rację. Według ich wierzeń alkohol jest szczególnie niemiły oczom Mazuba, jako że osłabia ciało i umysł człowieka, upadła go i zniewala.

– Ciemnota i zabobon. Nie mam pojęcia, który z bogów jest tym prawdziwym, na pewno nie jest nim jednak ten dający swym dzieciom alkohol po to tylko, by go zabronić.

Zerknął tęsknym wzrokiem na dno swego kubka, gdy tymczasem Avaret gestem dłoni przywołał karczmarza. Wąsaty mężczyzna dość niechętnie zareagował na to wezwanie, zapewniając jednak, że w przeciągu krótkiej chwili stawi się przy stoliku najemnika.

– Wiemy już zatem wszystko, co wiedzieć powinniśmy o tej krainie – zwrócił się Avaret do Lenli. Poblądził czas jakiś spojrzeniem po jej ustach, włosach i ramionach, by koniec końców skupić się na oczach. – Współczuję takiego położenia i przykro mi, że nic nie mogę temu zaradzić...

Głos dziewczyny na powrót nabrał siły i stanowczości.

– Wcale tego nie oczekiwałam. Opowiedziałam wam o tym nie dlatego, że liczyłam na jakąś pomoc, ale dlatego, że miło było znów ujrzeć w tej krainie prawdziwych mężczyzn, nieskażonych absurdem tutejszej rzeczywistości. Z naszym problemem musimy uporać się sami, boję się jednak, czy jest to jeszcze możliwe. Czy nie jest już za późno.

Avaret pokiwał ze zrozumieniem głową. W milczeniu wytrwali do czasu

stawienia się przy ich stoliku gospodarza, który na szczęście nie kazał na siebie długo czekać.

Avaret przywołał najserdeczniejszy ton, na jaki mógł się w tej chwili zdobyć.

– Przyjacielu, bylibyśmy bardzo radzi, gdybyś zaoferował nam jakiś nocleg dzisiejszej nocy. Znajdzie się coś dla nas?

Szczęka karczmarza zacisnęła się i chwilę trwało, zanim odpowiedział.

– Niestety nie mam wolnych miejsc.

– Jakże to? – wyparował oburzony Ervill, niezwykle przydatny w prowadzeniu delikatnych dyskusji. – Co też mi tutaj opowiadasz? Nie dostrzegłem żadnych innych koni, prócz naszych, gdyśmy je uwiązywali, zgaduję tedy, że nie gościsz zbyt wielu podróżnych. Jak też zdążyłem usłyszeć, kraina ta nie zachęca do odwiedzin, pustych pokoi powinieneś mieć zatem w bród!

– Nie mogę wam pomóc, przykro mi – odparł karczmarz, na okamgnienie przenosząc spojrzenie na Tamroka. Nie uszło to bacznej uwadze Avareta.

– Więc o to chodzi. Boisz się, lub zwyczajnie nie chcesz udzielić schronienia komuś, kto w twoich oczach odstaje od reszty.

Tamrok spuścił smutno głowę, gospodarz zaś niemal zgrzytnął zębami ze złości.

– Najlepiej będzie – rzucił odwracając się na pięcie i ruszając z powrotem w kierunku, z którego przyszedł – jeżeli przestaniecie nadużywać mojej gościnności.

Zniknąwszy gdzieś na zapleczu, starał się od tej pory nie pokazywać na widoku.

Poirytowany Ervill walnął pięścią w stół.

– Psiakrew! Ależ baran z tego karczmarza! A taką miałem ochotę przespać się dziś w miękkim łóżu.

– Nie martwcie się – rzekła Lenli, starając się swym kojącym tonem uspokoić nieco elfa. – Myślę, że mogę wam zaoferować nocleg w domu mego ojca. Całej trójce. Nie musicie być zdani na czyjąś łaskę bądź niełaskę.

– Nie chcielibyśmy... – zaczął szczerze zaskoczony tą propozycją Avaret,

jednak stanowcza reakcja Lenli zmusiła go do urwania w pół zdania.

– Dość. Choć tyle mogę zrobić, abyście wywieźli ze Srebrniska choć jedno dobre wspomnienie. Również i wy zrobicie mi przysługę, przystając na moją ofertę.

Najemnik skinął głową, usiłując nie dać po sobie poznać, jak bardzo złożona propozycja jest im na rękę. Bądź co bądź należało zachować pewne pozory grzeczności, mimo, że przecież w żaden sposób nie starali się narzucać dziewczynie.

Mając przed sobą zupełnie już puste kubki, zdecydowali się pójść za radą karczmarza, i nie marudzić dłużej w jego przybytku. Opuścili budynek, zabrali konie i nie tracąc więcej czasu ruszyli w kierunku lesistego wzgórza, na którym miał się znajdować dom ojca Lenli.

Avaret raz po raz przyłapywał swe myśli na krążeniu wokół osoby dziewczyny. Nieregularne podmuchy wiatru odgrywały wraz z jej kasztanowymi włosami spektakl, od którego z trudem potrafił się oderwać. Pełen gracji chód, bystre spojrzenie i krwista czerwień ust zniewalały coraz mocniej umysł najemnika, który na próżno usiłował podjąć walkę ze wzbierającą coraz silniej falą niepożądanych emocji. Nie był w stanie obiektywnie tego stwierdzić, ale wydało mu się, że również Lenli zerka w jego stronę częściej, niż na pozostałą dwójkę.

Morze przeważnie negatywnych uczuć skutecznie zakneblowało usta Tamrokowi. Posuwał się naprzód ze zwieszoną głową, nierzadko odstając w swym marszu na tyle, że trzeba było na niego zaczekać. Pytania o zasadność oraz skutki podjętych decyzji nie dawały mu spokoju, dręcząc niczym najgorsza tortura. Początkowy entuzjazm zgasł już całkowicie i w tym momencie biedny Tamrok oddałby zapewne wszystko, by znaleźć się znów w swojej chatce, z dala od jakichkolwiek ludzi.

Co do Ervilla, to miał on tylko nadzieję, że ojciec Lenli gwizdże sobie na nowe zwyczaje. Nie miał ochoty po raz wtóry gasić pragnienia gorącym mlekiem.

* * *

Dojście do podstawy wzgórza zajęło im z górą pół godziny, jako że droga prowadziła na wskroś przez całą osadę, później biegnąc jeszcze jakiś kawałek pośród okalających ją pastwisk. Avaret odwrócił się przed rozpoczęciem

wspinaczki, aby ostatni raz przyjrzeć się budynkom Srebrniska. Lenli zatrzymała się kilka kroków wyżej, opierając prawą dłoń o jedno z rosnących wzdłuż ścieżki drzew.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – rzekł Avaret. – Nie spotkaliśmy jak dotąd nikogo z plemienia Gorla, pomimo że dość sporo czasu spędziliśmy w samym Srebrniku, jak i jego okolicy. Dlaczego?

Lenli uśmiechnęła się, jak gdyby od dłuższego czasu spodziewała się tego pytania.

– Oni nie żyją pośród nas. A przynajmniej nie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Mają swoją kolonię poza osadą, w pobliżu kopalń. Pojawiają się jednak dość często w Srebrniku, a każda taka wizyta kończy się ostatnio źle.

Nim skończyła mówić, Avaret dojrzał ponad jej ramieniem jakichś jeźdźców, niespiesznie pokonujących drogę w dół wzniesienia. Z daleka potrafił już dostrzec, że rysy ich twarzy różnią się dość znacznie od kanonu kaermeńskiej urody; pociągłe, szczupłe twarze o długich nosach przydawały obliczom każdego z trzech mężczyzn pewnego rodzaju zwierzęcej drapieżności. Zauważywszy, że wzrok Avareta skupił się na czymś za jej plecami, Lenli obróciła się niepewnie. To, co zobaczyła, sprawiło, że cofnęła się o kilka kroków, zrównując się z najemnikiem.

– To oni – rzuciła na w pół ścisłym głosem. – Gorlanie.

– Czego tutaj szukają? – spytał Ervill dołączając do Avareta i Lenli. Tamrok przyczał się tuż za jego plecami, z niepokojem spoglądając w górę.

– Nie wspomniałam wam wcześniej, że ojciec jest właścicielem jednej z kopalń – wyjaśniła Lenli, z wolna wypowiadając każde ze słów. Elf skomentował tę informację krótkim gwizdnięciem. – Ludzie, którzy w niej pracują, regularnie przyjeżdżają do niego po zapłatę. Ostatnio coraz częściej, mimo że w kopalni nie ma już prawie srebra. Ojciec wstrzymuje się z jej zamknięciem w obawie przed gniewem górników.

Cholernie dobry interes – zdążyło przemknąć przez myśl Avaretowi, nim trójka jeźdźców zatrzymała się przed nimi. Myny mieli bardzo zadowolone, do wierzchowca jednego z nich przytroczona była pokaźna sakwa, pobrzękująca przy każdym ruchu konia.

– Witaj Lenli – rzekł mężczyzna na czele. Nieprzyjemny uśmiech

zatańczył na jego twarzy, gdy przebiegał spojrzeniem postać dziewczyny. Zniknął zupełnie nagle w momencie, w którym dojrzał osobę Tamroka. Zeskoczył z konia, splunął soczyscie na ziemię i podszedł do wystraszonego kudłacza, nie zwracając większej uwagi na obu najemników. Jego towarzysze postanowili go wesprzeć, cokolwiek zamierzał zrobić.

– Co to za szkarada, co Lenli? – wycedził, wbijając nieprzeciętnie długi palec wskazujący w pierś Tamroka. – Wydaje ci się, że Mazub dobrze patrzy na to, że dobierasz sobie takie towarzystwo?

Prawica Avareta niczym strzała poszybowała w kierunku wyciągniętej ręki, łapiąc ją za nadgarstek.

– Lenli gównem obchodzi, co o tym wszystkim myśli Mazub

Wykręcił kończynę Gorlanina nie szczędząc przy tym siły. Mężczyzna krzyknął głośno, a kolana pod nim zaczęły się stopniowo uginać. Widząc to, pozostała dwójka zerwała się nagle, aby czym prędzej pójść mu z odsieczą. Wściekłość wymalowana na ich obliczach musiała ustąpić miejsca strachowi, gdy na spotkanie pofrunął im dobytey z nienacka miecz Ervilla. Postąpili dwa kroki w tył, aby znaleźć się w miarę bezpieczniejszej odległości od śmiercionośnego oręża.

– Zabierajcie się stąd, ale już! – warknął Avaret puszczając w końcu ścisną rękę. Jej właściciel jęknął z cicha, łapiąc się za obolały nadgarstek. Rzucił Avaretowi pełne nienawiści spojrzenie i pospiesznie dosiadł konia.

– Pilnuj się dziewczyno – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie zawsze będziesz mieć tyle szczęścia.

Lenli nie odpowiedziała, hardo zadzierając głowę. Reakcja najemników musiała wywrzeć na niej spore wrażenie, dodając pewności siebie i wzmacniając poczucie bezpieczeństwa.

– Dobra, spierdalać stąd, sio! – rzucił Ervill, grożąc mężczyznom uniesionym ostrzem. Podziałało. Spięli konie i pognali przed siebie, ani razu nie oglądając się przez ramię.

Lenli uśmiechnęła się szeroko.

– Dawno nie widziałam czegoś takiego.

Avaret wzruszył jedynie ramionami. Opór wobec kogoś, kto obraża jego przyjaciela wydawał mu się najzwyklejszą rzeczą w świecie, obojętne, kto by

to robił. Zerknął na Tamroka, który zdawał się jeszcze bardziej przygaszony, niż do tej pory.

– Nie trap się. Nie waż się myśleć, że to z tobą jest coś nie tak. Nie zdążyłeś jak do tej pory nikomu zaszkodzić, wszystkie szykany pod twoim adresem są nieuzasadnione i będą się zawsze spotykać z moim sprzeciwem. Tak jak teraz. Zrozumiano?

– Avaret ma rację – Ervill nadał swojemu głosowi poważny ton. – Nie martw się tymi barbarzyńcami.

Tamrok skinął nieznacznie głową. Jego spojrzenie pobłądziło chwilę po rosnących wzdłuż ścieżki drzewach, przenosząc się następnie ku leżącemu w oddali Srebrnisku.

– Dziękuję. Miałem dużo szczęścia spotykając was przed kilku dniami. Nie żałuję, że ruszyłem w świat, spodziewałem się jednak, że będzie mimo wszystko trochę mniej okrutny...

– To wina tego miejsca, Tamroku – wtrąciła Lenli. Jej słodki głos sprawił, że futro Tamroka poruszyło się w okolicach ust. – Ruszajmy w górę, prawie już widać dom mego ojca.

Przemierzenie reszty drogi wymagało już od nich nieco bardziej wzmoczonego wysiłku, jako że zbocze było miejscami na tyle strome, że należało się mocniej zaprzeć nogami. Przyzwyczajona do częstego pokonywania tego odcinka Lenli posuwała się jednak naprzód z gracją i wdziękiem, które Avaret podświadomie skojarzył – choć wydawało mu się to nieco głupie – ze zwinnością kozicy górskiej. Poły jej spódnicy odsłaniały raz po raz szczupłe, acz silne nogi, rażno stawiające kolejne kroki. Nim słońce zetknęło się z linią horyzontu, dotarli do celu.

Powiedzieć, że dom na szczycie wzgórza był okazały, to jak stwierdzić, że ryba potrafi całkiem dobrze pływać. Wznoszący się na dwa poziomy w górę – nie licząc poddasza – budynek kryty był elegancką, czerwoną dachówką. Solidne mury nasuwały skojarzenie z jakąś twierdzą, gotową w każdej chwili odeprzeć wrogą napaść.

– No, no, no – rzekł Ervill, nie kryjąc uśmiechu. – I pomyśleć, że mogliśmy spędzić dzisiejszą noc w jakiejś podłej karczmie.

– Dom został wzniesiony jeszcze za czasów mojego dziadka – wyjaśniła

Lenli. – Chodźcie, zaprowadzimy wasze konie do stajni.

Okружиł dom od zachodu, korzystając ze sposobności, by przyjrzeć mu się od innej strony. Na jego tyłach zastali budynek stajni, dość sporych rozmiarów, choć jak się okazało zamieszkiwały go na stałe jedynie dwa wierzchowce; jak wyjaśniła dziewczyna, jej ojciec nie był już tak chorobliwie zarażony miłością do koni, jak jej dziadek. Zaraz zajęła się wszystkimi zwierzętami, zapewniając im paszę i wodę.

– Stajenny pewnie drzemie gdzieś z tyłu, oparty plecami o ścianę. Straszny z niego leń, mimo że nie ma prawie nic do roboty.

Avaret podrapał się po szyi.

Może nie mimo, a właśnie dlatego.

Na zewnątrz światło opadającego słońca utworzyło z okalającymi posesję drzewami niesamowitą kompozycję, zachwycającą piękną, ulotną tonacją. Nie tylko opatulone ciepłą barwą igły, ale paradoksalnie również i nagie pnie pozbawionych liści drzew zdołałyby przekonać największego sceptyka, że wiosna jest porą budzącego się życia.

Lenli poprowadziła trójkę swoich gości do frontowego wejścia. Pchnęła drzwi, przepuszczając przodem Avareta, Ervilla i Tamroka. Gdy już trzasnęły za ich plecami, gromko oznajmiła swój powrót:

– Ojczy, wróciłam!

Znaleźli się w krótkim korytarzu, którego ściany zbiegały się ze sobą, tworząc łuk. Na jego końcu znajdował się ogromny hol; jego sięgające kolejnej kondygnacji sklepienie wsparte było dwiema kolumnami. Za nimi, w samym środku wytyczonego przez nie toru, rozpoczynały się biegnące w górę szerokie schody, zabezpieczone z obu stron drewnianą balustradą. Wiszące na ścianach misternie utkane gobeliny przedstawiały sceny z różnych legend bądź mniej lub bardziej znanych podań ludowych.

– Jesteś wreszcie. Już zacząłem się dener...

Ojciec Lenli nie nadszedł od strony schodów, jak się tego spodziewali, a wychynął z jednego z pomieszczeń leżących po lewej stronie korytarza. Zażywny jegomość o bujnej czuprynie i dobrodusznym obliczu sprawiał wrażenie wyraźnie zbitego z pantałyku widokiem trójki towarzyszących jego córce mężczyzn.

– Będziemy mieć gości dzisiejszej nocy – oznajmiła mu Lenli, całując go na powitanie w prawy policzek.

– To bardzo miło... – rzekł niewyraźnie mężczyzna. Uświadomiwszy sobie w końcu, że musi głupio wyglądać stojąc jak słup soli i bąkając niemrawo jakieś wyrazy, ożywił się nagle, przybierając zgoła odmienny, jowialny ton. – Witajcie, drodzy przyjaciele! Nazywam się Artem al'Morem. Z radością udzielię wam schronienia na dzisiejszą noc.

Podszedł bliżej, aby móc każdemu z osobna ucisnąć dłoń; Avaret, Ervill i Tamrok wykorzystali tę sposobność, by wyjawić z kolei swoje imiona i wyrazić wdzięczność za zaofiarowane schronienie. Gdy już formalnościom stało się zadość, pan al'Morem zaprosił swych gości do spożycia wspólnej wieczerzy. Objął córkę ramieniem i to szepcząc jej coś do ucha, to oglądając się niepewnie przez ramię, poprowadził niespodziewanych przybyszy ku stojącemu w prawej części holu stołowi. Avaret zdołał dosłyszeć takie słowa, jak „trochę dziwny”, „niespotykany” oraz „zastanawiający”, lecz o ile znał się na ludziach, to wynikały one raczej z zaskoczenia – wszak sam był nie lada zdziwiony po raz pierwszy spotykając Tamroka – aniżeli jakiejś ksenofobicznej postawy.

Gdy już zasiedli przy stole, Artem klasnął raz w dłonie, każąc służącej przynieść dodatkowe nakrycia. Wzrok Ervilla uciekał raz po raz w kierunku, w którym się oddaliła. W końcu elf zdecydował się powstać.

– Jest dla mnie wielkim honorem być twoim gościem, panie al'Morem. Dom twój zaiste godzien jest najznamienitszych osobistości tego świata, tym bardziej doceniamy wszyscy trzej twą serdeczność, hojność i nadzwyczajną mądrość.

Gospodarz nieco zgłupiał słysząc te słowa. Nie bardzo chyba wiedział, kiedy zdążył sobie zasłużyć na nazwanie go mądrym, Avaret domyślił się już jednak tego, dokąd mają prowadzić te mało wyrefinowane podchody.

– Nie wiem – kontynuował uroczystym tonem elf, wzbogacając swój głos o nieco dramatycznie brzmiącą nutę wdzięczności – jak należycie chwalić twą ofiarność, dlatego chciałbym przynajmniej wypić twoje zdrowie, a niech tam, przynajmniej to mogę zrobić. Każ proszę przynieść służącej również kapkę czegoś mocniejszego.

– Wybacz memu druhowi panie al'Morem – Avaret zdecydował się

przerwać tę żenującą farsę. – Czasami nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co mówi, w najlepszym przypadku ośmieszając samego siebie, w najgorszym obrażając swego rozmówcę.

– Hola! Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co mówię!

Na czole Artema pojawiła się zmarszczka znamionująca, że nie bardzo wie, jak zachować się w takiej sytuacji. Obawiając się być może, że obaj mężczyźni skoczą sobie zaraz do gardeł, uniósł obie dłonie w pojednawczym geście.

– Przykro mi – rzekł – ale sytuacja wygląda tak, że w całym domu nie znajdzie się ani kropla czegoś mocniejszego. Żałuję, panie Ervillu, że nie mogę ci w tym względzie dogodzić, ale nieformalne prawo, jakie nas obowiązuje, wymusza taki stan rzeczy.

– Do kroćset! – warknął Ervill. – To już nawet do waszych domów weszły te głupie obyczaje? Jak możecie sobie na to pozwalać?

Nadejście służącej odegrało rolę swoistej pauzy, rozładowującej napięcie. Kobieta postawiła puste naczynia przed każdą z przybyłych osób, kładąc obok nich sztucce. Po chwili powróciła z misami pełnymi jedzenia. Mogli przystąpić do wieczerzy.

– Niestety! – w głosie Artema słychać było nieskrywany lament. – Gorlanie za bardzo zdążyli nam już wejść na głowę. Oni dyktują tutaj prawo i obyczaje, a my nie potrafimy sobie z tym poradzić. Jest nas więcej, ale nie jesteśmy wystarczająco zjednoczeni. Jedni mówią, że trzeba szanować obcą kulturę, że z tego zawsze słynął nasz kraj. Inni dodają, że nie ma przeciwwskazań dla funkcjonowania naszych ludów obok siebie.

– Bzdura – skwitował elf nakładając sobie porcję pasztetu. – Kultura, w której się pije i kultura, w której jest to zakazane, wykluczają siebie wzajemnie. Gdzie tu pole do wspólnego egzystowania?

Choć Ervill posłużył się przykładem o marginalnym znaczeniu, pan al'Morem nie mógł odmówić mu racji. Dla uzupełnienia wymienił kilka jeszcze rażących sprzeczności pomiędzy obiema społecznościami. Okazało się, że Gorlanie przestrzegają bardzo prymitywnego, opartego na okrutnych zasadach prawa, które karało śmiercią za pozorne błażostki, a usprawiedliwić potrafiło najgorsze nawet zbrodnie.

– Bardzo słusznie prawisz, ojczy – zwróciła się do Artema Lenli z nutą pretensji w głosie. – Wszystko to absurd, nie masz co do tego żadnych wątpliwości, a mimo to sam pozwalasz Gorlanom się okradać.

– A cóż ja mogę? – rzekł Artem, tłumacząc się raczej swoim gościom, aniżeli córce. – Nie mam takiej mocy, by się im przeciwstawić. Nie mogę zamknąć kopalni, mimo że nie przynosi już żadnych zysków. Doskonale wiesz Lenli, jacy oni potrafią być okrutni. Gdyby...

– Jeśli nie człowiek o twojej pozycji, to kto? Masz poważanie w tym mieście. Ktoś powinien wziąć sprawy w swoje ręce, zespolić ludność, trafić do ich głów i serc. Nie zrobi tego zwykły głupek wioskowy, choćby miał najszczęśliwsze intencje. Przykład musi pójść z góry, od kogoś, kto ma na tym terenie realną władzę.

– Przeceniasz mnie Lenli – westchnął smutno Artem, być może żałując, że nie potrafi sprostać oczekiwaniom córki.

Zapadła cisza, przerywana jedynie pobrzękiwaniami noży i widelców.

– Pańska córka ma rację, panie al'Morem.

Wszystkie głowy uniosły się naraz znad talerzy. Ku zaskoczeniu wszystkich głos, który przed chwilą wybrzmiał, należał do milczącego do tej pory Tamroka. Kudłaty mężczyzna, na ile można było to ocenić, minę miał dość poważną.

– Minęło ledwie parę dni, odkąd zacząłem poznawać świat. Moje odczucia były jak do tej pory bardzo mieszane, pozwoliły mi jednak ułożyć sobie w głowie wiele spraw. Duża w tym zasługa mych druhów, Avareta i Ervilla, którzy z uporem wskazywali mi co należy nazwać dobrym, a co złym. Ty i twoja córka, mieszkańcy Srebrniska, Gorlanie... Pomogliście mi właściwie na wszystko spojrzeć. Teraz jestem już nieco mądrzejszy, niż zanim wyruszyłem w tę podróż, choć wiem, że dużo jeszcze nauki przede mną. Różnorodność istot na tym świecie jest wręcz oszałamiająca, choć ja widziałem jak dotąd jedynie mały jej ułamek. Moi przyjaciele uświadomili mi, że to nie wygląd, pochodzenie czy kultura określają nasze miejsce w hierarchii dobra i zła. To nasze czyny o tym decydują.

Avaret, Ervill, Lenli i Artem słuchali Tamroka w skupieniu, nie śmiać mu przerwać najdrobniejszym chrząknięciem. Artem wyglądał na wyraźnie poruszonego słowami przemawiającego; jego córka przyglądała mu się z

uwagą.

Szybko się uczy skurczybyk – pomyślał Avaret. Poczuł coś na kształt dumy, spoglądając na przyjaciela, któremu w tak krótkim czasie udało się – przynajmniej w jakimś stopniu – odgadnąć skomplikowany wzór, według którego funkcjonował świat.

– Jest jedna rzecz, którą już teraz mogę powiedzieć z całą pewnością – kontynuował Tamrok. – Wpływ Gorlan na waszą społeczność umiejscawia ich w hierarchii, o której wspomniałem, tak blisko zła, jak to jest tylko możliwe. Im później to dostrzeżecie, im później zdecydujecie się temu przeciwstawić, tym gorzej dla was. Czasu jest już być może bardzo mało.

Artem ukrył twarz w dłoniach, przygnieciony dodatkowo napierającym nań spojrzeniem Lenli.

– Masz absolutną rację Tamroka – rzekł po chwili. – Absolutną rację. I nie tylko ja potrafię ci ją przyznać, w Srebrniku znajdzie się wielu ludzi dzielających moje zdanie.

Gdym cię pierwszy raz zobaczył, to, muszę przyznać, nieco się zląkłem. Wybacz mi, nieczęsto widzujemy tutaj takie... Kogoś... Jakby to powiedzieć...?

Urwał, świadom swojej niezręczności w opisanu osoby gościa i byłby niechybnie zaniechał dalszej wypowiedzi, gdyby nie pełne zrozumienia spojrzenie Tamroka, żywo zachęcające go do kontynuowania.

– Nieważne... Chciałem tylko powiedzieć, że osoby takie jak ty, są żywym dowodem prawdziwości dopiero co wypowiedzianych przez ciebie słów. Gdybyśmy byli wszyscy ślepcami, nikomu nie przyszłoby do głowy traktować cię jak wyrzutka. Nikt nawet nie domyślałby się twojej fizycznej odmienności, a oceniano by jedynie twoje czyny.

– Cóż z tego ojczy – wyparowała Lenli – że tak doceniasz słowa Tamroka? Pytanie brzmi: czy pokiwasz tylko głową i przyznasz mu rację, czy może postanowisz pójść krok dalej i spróbujesz zmienić tę chorą rzeczywistość?

– Nie chcę się mieszać do waszych spraw – wtrącił się Avaret – ale od samego gadania nic się nie zmieni. Wszystko jest w waszych rękach; to wy jesteście gospodarzami tej ziemi, żyjecie tu od wieków i jesteście znacznie

liczniejsi. Jedyne co należy zrobić, to przestać lekceważyć sytuację, otworzyć oczy tych, którzy opowiadają głupstwa o udanej koegzystencji waszych ludów i dać wyraźny odpór agresji Gorlan. Tylko tyle.

– I aż tyle – dodał całkiem poważnym tonem Ervill. – W przeciwnym razie ta rozmowa nie miałaby miejsca.

Stwierdzenie elfa, choć najzupełniej prawdziwe, wyraźnie dotknęło Artema. Rysy twarzy mu stężały, szczęka zacisnęła się mocno, w oczach pojawiła się złość. Nie była ona jednak wymierzona w któregokolwiek z jego gości, wynikała raczej z rosnącego od dłuższego czasu poczucia winy.

Naraz jednak cień ulgi przemknął po zastygłym obliczu pana al'Morem. W szalonej gonitwie myśli stawiał w końcu czoła własnym błędom. Ta oczyszczająca refleksja przywiodła go w końcu do miejsca, w którym podjęcie najtrudniejszej decyzji przychodzi o wiele łatwiej.

– Jutro udam się do burmistrza – rzekł w końcu cichym, acz zdecydowanym głosem. – Pora, bym odbył z nim poważną rozmowę.

Lenli pokiwała głową, po czym niespodziewanie wstała i ucałowała policzek ojca. Artem nie poruszył się nawet o cal, unieruchomiony myślami zaprzętymi mu głowę.

Dziewczyna ruszyła ku schodom, w międzyczasie przywołując starszą służącą. Ta pojawiła się od razu z naręczem świeżej pościeli. Wspięli się na wyższą kondygnację, gdzie każdemu z gości została przydzielona osobna izba.

Gdy już został sam w pustym pokoju, Avaret nie ociągał się zbyt wiele. Rozebrał się, obmył twarz i dłonie w przygotowanej uprzednio misce wody i wskoczył pod pierzynę.

Sen przychodził powoli, wypierany przez trudny do zdefiniowania rodzaj niepokoju.

* * *

Drzwi uchyliły się niemal bezgłośnie, a do środka wemknęła się jakaś postać. Avaret, który nie zdążył jeszcze zapaść w twarde sen, zamrugał oczami, starając się przyzwyczaić je do ciemności. Wsparłszy się na łokciach, wbił coraz bardziej wyostrające się spojrzenie w kobietę sylwetkę, która przystanęła na środku pokoju, na wysokości okna. Wpadająca przez nie

poświata księżycowa załamywała się na krągłościach wyraźnie zarysowanych pod cieniutkim, jedwabnym okryciem. Gęste, brązowe włosy lśniły niczym gładko wypolerowany metal, okalając długą szyję i opadając kaskadami na prawe ramię. Spojrzenie orzechowych oczu przesunęło się niespiesznie po jego pokrytej krótkim zarostem twarzy i umięśnionych,znaczonych bliznami ramionach.

– Czekałam na ciebie – szepnęła, po czym ruszyła ku niemu.

* * *

Sen przez długi czas nie przychodził po Tamroka. Biedak krążył niespokojnie po swoim pokoju, rozmyślając gorączkowo. W końcu zdecydował się przystanąć na chwilę przy oknie, licząc, że piękny widok skąpanego w świetle gwiazd i księżyca Srebrniska wpłynie kojąco na jego umysł. Odsunął sięgającą podłogi zasłonę i skupił spojrzenie na leżącej w dole osadzie.

Dziwne światła, które dojrzał daleko za nią, sprawiły, że niepokój jeszcze bardziej w nim wezbrał.

* * *

Avaret zbudził się, gdy tylko pierwsze promienie wschodzącego słońca przedostały się przez szpary pomiędzy zasłonami i uderzyły go w oczy. Sprawdził ręką miejsce obok siebie, nie wyczuł już jednak ciepła grzejącego je ciała. Zsunął kołdrę, zeskoczył z łóżka i przeciągnął się porządnie. Słońce coraz natarczywiej przedzierało się do środka. Postanowił ułatwić mu zadanie i rozsunął zasłony, doprowadzając światło do najodleglejszych kątów pokoju. Wszystkie blizny znaczące jego ciało zaślniły dumnie. Czym prędzej wciągnął na siebie ubranie i wyszedł na korytarz.

Roześmiał się niemal w głos dostrzegając nogi wystające z jednego z pomieszczeń służącego za spiżarnię. Sięgające niemal kolan buty z cholewami były pełne dziur, jednak i bez tego charakterystycznego znaku Avaret dałby sobie głowę uciąć, że właścicielem obu kończyn jest Ervill.

Elf na wpół leżał, na wpół siedział, oparty o drzwi, których pełne otwarcie blokował od środka jakiś regał. Przepaska zazwyczaj zdobiąca jego czoło i powstrzymująca włosy przed opadaniem kryła teraz oczy, pozwalając im dłużej cieszyć się przyjemnym mrokiem. Do piersi czule przytulał butelkę, wygrzebaną najwyraźniej w nocy z zakamarków spiżarni. Była całkiem

pusta.

– Nie wstyd ci – zagadnął Avaret przyjaciela, nie bardzo wiedząc, czy się śmiać, czy raczej go zganić – przez całą noc używać alkoholu naszego gospodarza, bez jego wiedzy i pozwolenia?

Ervill podwinął kciukiem opaskę, wydostając spod niej prawe oko. Pomacał dłonią głowę, krzywiąc się z bólu. Ta drobna dokuczliwość nie powstrzymała go jednak przed przywołaniem na twarz łobuzerskiego uśmiechu. Wyglądał teraz jak mały chłopiec przyłapany na psocie, który dobrze wie, jak umknąć tarapatom.

– A tobie nie wstyd, przyjacielu, używać przez całą noc córki naszego gospodarza, bez jego wiedzy i pozwolenia, co?

Avaret rozdziawił usta, starając się poskładać naprędce jakąś ripostę, jednak uderzenie elfa tak go zaskoczyło, że całkiem odebrało mu mowę.

A to cwany kawał sukinsyna.

Dał za wygraną, kwitując komentarz Ervilla szerokim uśmiechem. Ten w międzyczasie zdążył jakoś powstać z ziemi, ciskając butelkę w miejsce, w którym ją znalazł.

– Sam jest sobie winien. Zapierał się, że nie ma w domu żadnego alkoholu. No, to teraz naprawdę nie ma.

Zeszli na dół do holu, w którym uprzedniego wieczoru spożywali kolację. Przy stole czekali na nich Tamrok i Lenli, oboje będąc już w trakcie śniadania. Dziewczyna posłała w stronę Avareta delikatny, niemal niedostrzegalny uśmiech. Udało się go złowić i Ervillovi, który zmrużył łobuzersko oczy.

– Dzień dobry – rzuciła w stronę zbliżających się mężczyzn, jednocześnie smarując chleb masłem. – Mam nadzieję, że spało wam się dobrze? Tamrok, jak mi już zdążył wyznać, miał trochę problemów z zaśnięciem...

Tamroka zmieszała nieco ta uwaga.

– To moja wina, niepotrzebnie rozmyślałem o zupełnie nieistotnych sprawach... Łóżko było bardzo wygodne, a kołdra ciepła i...

– Jestem przekonany – wtrącił się Ervill – że Avaretowi spało się najprzyjemniej od bardzo, bardzo dawna. Miękkie łoże, czysta, pachnąca pościel, dach nad głową... Choć należy do wybrednych, to chyba o niczym

więcej nie mógł marzyć.

Łypnął psotnym wzrokiem na przyjaciela, delektując się tym jakże wyrafinowanym w jego mniemaniu podtekstem.

– Również i Ervill zwierzył mi się – Avaret postanowił nie pozostać dłużny elfowi – że jego sen tej nocy był nadzwyczaj mocny.

Zmierzyli się wzrokiem, Lenli tymczasem roześmiała się pięknym, perlistym śmiechem, domyślając się gry, jaką między sobą prowadzą.

Zasiedli do stołu, czym prędzej przystępując do zaspokojenia narosłego przez noc głodu. Ervill, nie zważając na wszelkie normy dobrego obyczaju, nakładał sobie wszystkiego, co tylko znalazło się w zasięgu jego wzroku. Spora część jedzenia, zwyczajnie nie mieszcząc się na talerzu, lądowała zaraz na obrusie w jego bezpośrednim sąsiedztwie.

– Jak się miewa twój ojciec? – zagadnął Lenli Tamrok, posilając się bez pośpiechu. W przeciwieństwie do Ervilla używał w tym celu sztucców. – Nie zje razem z nami? Mam nadzieję, że jego sen był spokojny, gdy się wczoraj rozstawaliśmy, wyglądał na strapionego.

– Chcielibyśmy mu podziękować, nim udamy się w dalszą drogę – dodał Avaret. Uczucie żalu ukłuło go lekko, gdy zdał sobie sprawę, że niedługo będzie musiał pożegnać piękną dziewczynę. – Nie zamierzamy długo tu zamarudzić.

Słyszając deklarację przyjaciela, Ervill jeszcze bardziej zwiększył tempo jedzenia. Avaret zerknął na niego z trudną do ukrycia odrazą, jednocześnie lękając się, że elf zaraz się udławi.

– Ojciec do późnej nocy rozmyślał przy tym stole – odparła Lenli. – Mimo tego jestem pewna, że jego sen był tej nocy najspokojniejszy od wielu lat, Tamroku. Powinien się zresztą zaraz pojawić, nie zwykł spać, gdy słońce już świeci. Nim wyruszyście, napełnimy wasze torby żywnością. Chcielibyśmy zresztą oboje potowarzyszyć wam przez chwilę w drodze, przynajmniej do miasta. Ojciec ma tam dzisiaj pewne sprawy do załatwienia.

O ile wytrwa w swoim postanowieniu.

Avaret upił łyk wody, zastanawiając się, na ile plany Lenli będą pokrywać się tego ranka z planami jej ojca.

Naraz za jego plecami rozległy się dźwięki stóp stąpających po schodach

w dół.

– Dzień dobry! – powiedział głos Artema.

Avaret obrócił się, aby skinieniem głowy odpowiedzieć na powitanie gospodarza. Dostrzegł, że jest on dzisiaj w znacznie lepszym humorze, niż ubiegłego wieczoru, gdy zostawiali go sam na sam z myślami. Jego twarz nabrała zdrowych kolorów, rozjaśniona szerokim, niewymuszonym uśmiechem. Sprężysty chód ujmował mu co najmniej kilku lat. Wydawać się mogło, że przez noc ktoś zdjął z jego barków wszystkie towarzyszące im znoje.

Człowiek, który przed nimi stanął, promieniował wręcz siłą i pewnością siebie. Oraz chęcią wykorzystania tych atrybutów.

– Miło cię widzieć w dobrym humorze, ojczy – rzekła Lenli. – Już dawno uśmiech nie gościł na twoich ustach. Nawet nie wiesz, jak bardzo cieszy mnie taka odmiana. Mogę spytać, co jest jej powodem?

Artem zręcznym ruchem odsunął krzesło od stołu, spoczął i zajął się nakładaniem jedzenia na talerz. Avaretowi zdało się, że pogwizduje sobie przy tym z cicha.

– Uporałem się ze wszystkim, Lenli. Od dawna wiedziałem przecież, że coś mi doskwiera, wczoraj jednak po raz pierwszy stawiałem czoła przyczynie moich trosk. Uświadomiłem sobie, że podjęcie działania wiąże się z szalenie mniejszym ryzykiem, niż pozostawienie spraw własnemu biegowi. Jest tylko jedno wyjście. To bardzo ułatwia sprawę; każdy krok, który uczynimy w jego kierunku, będzie krokiem ku dobremu.

Dziewczyna uniosła prawą brew, dając ojcu znak, że oczekuje bardziej konkretnej deklaracji. Artem spojrzał jej prosto w oczy, po czym bez żadnego wahania rzekł:

– Zaraz po śniadaniu ruszam rozmówić się z burmistrzem. Uczynię wszystko, by przekonać najpierw jego, a później i inne bardziej znaczące osobistości Srebrniska, że najwyższy już czas odważnie postawić się Gorlanom. Zamknę swoją kopalnię, żaden już z niej pożytek. Górnikom nie zapłacę ani miedziaka więcej.

– To dość odważne z pańskiej strony, panie al'Morem – wtrącił się Avaret. Nie zamierzał w żadnym wypadku wybijać Artemowi z głowy jego

planów, czuł się jednak w obowiązku przestrzec go przed grożącym mu niebezpieczeństwem, przysłoniętym być może przypiływem entuzjazmu. – Jeszcze wczoraj wzdragał się pan przed zamknięciem kopalni. Górnicy zareagują gniewem, jest pan tego świadom. Jeśli uda się panu przekonać burmistrza oraz innych obywateli, nie będzie już odwrotu. Czy jesteście na to gotowi? Po tym, co dotąd widziałem i usłyszałem wnioskuję, że nie obejdzie się bez rozlewu krwi. Mniejszego lub większego, niemniej konieczność zaciśnięcia dłoni na orężu wydaje się oczywista.

Lenli łypnęła na niego gniewnie, odbierając jego słowa jako próbę wyperswadowania jej ojcu powziętych zamiarów. Lekki ruch głową, jakim jej odpowiedział, rozwiązał jednak wszelkie jej wątpliwości.

Czy to naturalne, że potrafimy się w ten sposób porozumieć?

– Nie możemy dłużej czekać – odpowiedział mu pan al’Morem. – Tchórzostwo w tym przypadku nie pozwoli nam uniknąć zagrożenia. Głupota nie usprawiedliwi bezczynności. Musimy działać, to pewne. I to czym prędzej. Jeśli ja to sobie uświadomiłem, to wierzę, że i inni przejrzą na oczy.

Avaret przytaknął rozumowaniu Artema. Spostrzegł, że Ervill i Tamrok mają już przed sobą puste talerze, podobnie Lenli. Gospodarz nie ociągał się z jedzeniem, chwilę później cała piątka była już więc gotowa, by zejść w dół wzgórza. O dziwo tym razem stajenny znalazł się na posterunku, gdy odbierali konie. Nakarmione i napojone, lśniły starannie wyszczotkowaną sierścią.

Trzymając swe wierzchowce za uzdy, Avaret i Ervill ruszyli w dół, w kierunku Srebrniska, mając u swych boków kroczących również pieszo Tamroka, Lenli i Artema.

Nieprzysłonięte ani jedną chmurą słońce zdążyło porządnie już wznieść się do góry, zapowiadając spokojny, pogodny dzień.

Największy blagier nie mógł wymyślić bardziej ironicznego tła dla mających nastąpić wydarzeń.

* * *

Nie od razu dostrzegli, że coś jest nie tak. Pozornie nie mieli zresztą ku temu żadnych powodów; skąpane w blasku słońca ulica i przystające do niej budynki zamazywały niemal nieprzyjemne wrażenie, jakie Srebrnisko

wywarło na Avarecie, Ervillu i Tamroku poprzedniego dnia. Nie przyciągnęli żadnych nieprzychylnych spojrzeń, nie usłyszeli żadnych obelg, co można było wiązać z faktem, że towarzyszyła im tak szanowana w mieście osobistość, jak Artem al'Morem.

Powód był jednak inny; być może to idylliczny krajobraz przysłonił im początkowo wzrok i omamił słuch, teraz jednak Avaret zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy, które do tej pory mu umykały: po pierwsze wokoło nie było żadnych innych ludzi, nie ważne, czy przemierzających ulice, czy wyglądających z okien, bądź stojących w drzwiach, po drugie zaś od strony serca osady dobiegał ich coraz wyraźniejszy odgłos bijącego dzwonu. Zerknął z ukosa na Ervilla. Elfowi zorientowanie się w sytuacji zajęło jeszcze więcej czasu; dopiero po chwili uświadomił sobie, że czyjeś spojrzenie usilnie próbuje złowić jego uwagę. Pokręcił głową na boki, zupełnie jak ktoś, kto obudził się nagle w nieznanym sobie miejscu, po czym rozdziawił lekko usta, gdy w końcu jego słuch zarejestrował dźwięk dzwonu.

– Dzwon? Cóż to za okazja?

Naturalnym adresatem pytania był pan al'Morem, jednak wyraz jego twarzy zdradzał, że i on mocno głowi się nad powodem wysyłania mieszkańcom tego sygnału. Mieszkanina zdziwienia i niepokoju zajęła u niego miejsce porannego entuzjazmu.

– To rzeczywiście dziwne – odpowiedziała zamiast ojca Lenli. – Dzwon bije bardzo rzadko, prawdę mówiąc w tej chwili trudno mi sobie przypomnieć, kiedy miało to ostatnio miejsce...

– Może dzisiaj jest jakieś święto? – podpowiedział nieśmiało Tamrok. Dziewczyna pokręciła jednak przecząco głową.

W miarę, jak zbliżali się do rynku, docierał ich uszu coraz wyraźniej jeszcze jeden dźwięk: plątanina podniesionych ludzkich głosów. Towarzyszący im do tej pory stukot kopyt uderzających o bruk utonął prawie całkiem we wrzawie, gdy tylko wkroczyli na plac przez jego południowo-wschodni narożnik.

Na środku rynku stał jakiś sklecony na szybko podest, zajmowany przez kilku przekrzykujących się mężczyzn. Obok, jakieś dziesięć kroków od tego miejsca, młody chłopak energicznie pociągał za sznur ukrytego pod drewnianym, spadzistym dachem dzwonu. Wokół coraz liczniej gromadzili

się nerwowo wymieniający między sobą jakieś uwagi ludzie, napływając nieprzerwanym strumieniem ze wszystkich biegnących do rynku ulic. Im dalej od podestu, tym bardziej tłum rzedł, dzięki czemu cała piątka mogła precyzyjnie się nieco bliżej. Artem rozglądał się z zaniepokojeniem to w prawo, to w lewo. W końcu zaczepił stojącego samotnie z założonymi rękami mężczyznę, ubranego w zdobiony haftem kaftan.

– Co tu się dzieje Mazrimie? Co to za szalone poruszenie?

Mazrim nie odpowiedział od razu. Powiódł wzrokiem po twarzach całej piątki, poruszając od czasu do czasu sumiastym, czarnym wąsem. Tumult wokół całej piątki narastał; wśród chaotycznych wymian zdań Avaret pochwycił takie słowa, jak „atak”, „pożoga”, czy w końcu to, które w zestawieniu z poprzednimi powiedziało mu najwięcej: „Gorlanie”. Był już w stanie odpowiedzieć sobie przynajmniej na część pytań, jeszcze zanim Mazrim zdążył się odezwać.

– Dzisiaj, nim jeszcze świt na dobre wstał, przybył jeździec. Ze Starego Cła, musiał być w drodze przez pół nocy, albo dłużej, zważając na jego stan... Zsunął się z konia, ledwie tylko napotkał w Srebrniku pierwszą osobę. Spod potarganej szmaty, którą owinął głowę, wciąż sączyła się krew, zabrano go więc czym prędzej do medyka.

Lenli przysunęła się do Avareta; poczuł, jak jej ciało drży, napęniając się coraz mocniej strachem. Artem z kolei trwał nieruchomo, niczym posąg, z zaciśniętymi ustami słuchając relacji przyjaciela.

– Podobno majaczył, cały czas bredził coś bez sensu. W końcu udało mu się jednak przekazać informację, z jaką przybył.

Artem złapał mężczyznę za ramiona i potrząsnął nim, gdy ten uczynił kolejną pauzę.

– A cóż to za informacja? Gadajże Mazrimie!

Mazrim zagryzł dolną wargę. Jakieś dziecko przemknęło tuż koło nich, ogółem jednak plac wypełniali w większości dorośli mężczyźni, dużo rzadszym widokiem były kobiety z przyklejonymi do kיעy pociechami.

– Wczoraj Gorlanie napadli na Stare Cło. Spalili całą osadę. Podobno idą od kolonii do kolonii powiększając swoje szeregi i napadają na leżące po drodze osady. Wszystkie jak dotąd były na tyle małe, że nie zdołały stawić

żadnego oporu. Srebrnisko jest ich pierwszą poważną przeszkodą. W nocy musieli już dotrzeć do naszej kolonii, teraz zapewne szykują się już do ataku na nas.

Ervill zrobił taką minę, jakby chciał się czym prędzej ulotnić. Nim jednak zdążył coś powiedzieć, ozwał się Artem:

– A burmistrz i reszta? – wskazał mężczyzn na podeście. – O co się tam teraz przekrzykują?

Mazrim wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że nie są zgodni co do tego, co w tej sytuacji począć. Bronić się? Uciekać? Poddać bez walki?

– Musze się tam dostać.

Pan al'Morem począł przeciskać się przez tłum, potracając kogoś od czasu do czasu. Najwyraźniej uznał, że nie jest to czas na dbanie o dobre maniery. Avaret wypatrzył rosnące nieopodal nich drzewo, przywiązał czym prędzej konia i ruszył w ślad za Artemem. Uczyniwszy podobnie, Ervill podążył zaraz za nim, a wraz z nim Tamrok i Lenli.

– Musimy zachować spokój! – usłyszeli głos jednego z trzech mężczyzn zajmujących podest. Nie mógł mieć więcej, niż czterdzieści lat. Równo przystrzyżona broda i kosztowne odzienie kazały przypuszczać, że wywodzi się z miejscowej elity.

– To Omar Teyn – szepnęła do ucha Avareta Lenli. – Jego rodzina posiada najstarszy w Srebrnisku bank.

– Musimy zachować spokój! – powtórzył Omar. – Przez lata nauczyliśmy się żyć wspólnie z Gorlanami! Bywały w tym czasie trudne momenty, zdarzały się incydenty, ale czy kiedykolwiek zadaliśmy sobie pytanie, co było ich prawdziwą przyczyną? Czy zwyczajnie obarczyliśmy winą Gorlan, nie dostrzegając własnej ignorancji dla ich kultury i zwyczajów? Ta ziemia należy do Gorlan w takim samym stopniu, jak do nas. Nasze ludy znakomicie się uzupełniają, przez lata wspólnie pracowaliśmy na bogactwo tego kraju. Apeluję do wszystkich, którzy od dawna szukają tylko pretekstu do zerwania tej owocnej współpracy: nie siejcie paniki! Gorlanie są naszymi braćmi i z pewnością nie mamy się czego obawiać! Być może powinniśmy winy poszukać w nas samych! Być może oni starają się tylko wyrazić sprzeciw dla

postaw, jakie niektórzy z nas prezentują!

Z ostatnimi słowy zwrócił się do grupki kilkunastu młodych mężczyzn stojących tuż pod sceną jego wystąpienia, którzy odpowiedzieli mu buczeniem, gwizdami i stekiem wyzwisk.

– Ależ on bredzi... – skwitował Ervill. Twarz zastygła mu w wyrazie lekkiego szoku. – Jak ktoś może prawić podobne dyrdymały?

Miejsce Omara zajął starszy od niego jegomość, którego włosy poznaczone już były pasmami siwizny. Podszedł niemal na sam skraj sceny, po czym przystanął lekko się garbiąc.

– Deloran al'Tan – przedstawiła go Lenli. – Nasz sędzia.

Deloran chrząknął głośno, a następnie ozwał się lekko skrzeczącym głosem:

– Musimy uciekać. Nie stać nas na obronę naszego miasta; ich jest zbyt wielu, uzbrojonych i silnych, my nie mamy nawet porządnej straży miejskiej. Nie ma innego wyjścia, jak oddać Gorlanom ten kawałek ziemi.

Wśród tłumu podniosła się jeszcze większa wrzawa, której nie uciszyły uniesione dłonie Delorana; dopiero pomoc burmistrza pomogła opanować rzesze ludzi.

– Meldon al'Rei. Nasz burmistrz. Przyjaciel mego ojca.

Meldon odczekał jeszcze chwilę, aż na placu zapanuje całkowita cisza. Na jego twarzy malowały się troska i zagubienie. Splótł palce obu rąk, następnie rozłożył je szeroko, po czym jeszcze raz powtórzył ten proces. Po zmarszczone drgającej na jego czole widać było, że stara się pozbierać słowa przelatujące mu w głowie w tempie błyskawicy i powiedzieć coś sensownego. Zniecierpliwiony tłum zaczął lekko szemrać, widząc jak strach czyni ich przywódcę tak nieporadnym, że nie może nawet się wysłowić.

– Niewątpliwie sytuacja jest kryzysowa – rozpoczął, po czym zamilkł.

– Idę tam – rzekł niespodzianie Artem. Rzucił Lenli spojrzenie mające dodać jej nieco otuchy, po czym nie bez trudu wspiął się na podest. Zajął miejsce obok Meldona, który niemal niedostrzegalnym westchnieniem ulgi przyjął tę niespodziewaną odsiecz.

– Słuchajcie! – krzyknął tak głośno, by dotrzeć i do tych najbardziej od niego oddalonych. – Żałuję, że dopiero teraz mam okazję to powiedzieć. Los

zaiste jest okrutny; najlepsze rozwiązania przychodzą nam do głowy zazwyczaj, gdy nie możemy już na nic wpłynąć. Godzina, która właśnie wybiła, jest późna. Ale nie pozwólmy, by była ostatnia! Wszyscy wiemy dobrze, jak Gorlanie zepsuli nasz kraj. Kiedyś opływaliśmy w dostatku i szczęśliwości, a każdy, kto zawitał do naszego kraju, był przez nas mile witany. Dzisiaj żyjemy w strachu, musimy przestrzegać tego ich cholernego prawa i płacić im haracze, a gości witamy w najlepszym razie z rezerwą. Dość tego! Być może to dobrze, że stoimy w obliczu takiej katastrofy, bo właśnie teraz jak nigdy wcześniej widać, że wszystko poszło w złym kierunku.

Wśród tłumu rozległy się dość liczne brawa, kilka osób zaczęło nawet skandować nazwisko Artema.

– Nie słuchajcie go – wtrącił się Omar wyskakując zza pleców pana al'Morem. – To, do czego nakłania, może nas doprowadzić do katastrofy! Zrozumcie: to nie Gorlanie są winni zaistniałej sytuacji, a ci z nas, którzy ich nie akceptowali! Musimy przyjąć ich tutaj z otwartymi ramionami i zapewnić o chęci dalszej koegzystencji. Dla przykładu należy zaś ukarać tych, którzy jej się sprzeciwiają!

– Nie wierzę – rzekł sucho Ervill. – Jak w obliczu oczywistych faktów można pleść takie bzdury?

– Trzymaj mnie – zwrócił się do niego Avaret – bo zwyczajnie mam ochotę mu przywalić.

Tymczasem między Artemem a Omarem rozgorzał spór, do którego zaraz dołączył Deloran. Trzy różne koncepcje starły się ze sobą w kłótni nie mogącej zakończyć się kompromisem. Atmosfera udzieliła się i reszcie ludzi; małe grupki zaczęły kłócić się ze sobą, gdzieniegdzie na tyle zaciekle, że niektórzy wręcz rzucali się sobie do gardeł. Avaret napiął mięśnie, modląc się, by nie był to początek krwawej masakry.

– Pan al'Morem ma rację – dobiegł ich z góry znajomy głos. Avaret poderwał głowę, wypuszczając głośno powietrze. Słowa stojącego na podeście Tamroka przykuły uwagę przeważającej części tłumu.

Co on tam do cholery robi? – przemknęło mu przez myśl ledwie sekundę przed tym, jak stojący za jego plecami ludzie zdążyli wyrazić swoje zdziwienie. Na chwilę zapomnieli całkiem o strachu, przyjmując nader

agresywne postawy.

- Złaź stamtąd kreaturo!
- Gdzieżeś wlaźł? Nie wtrącaj się w nasze sprawy!
- Ściągnąć go szybko! Zróbmy z nim porządek!

Tłum napał na podest, jednak prędko obaj najemnicy zagroźli mu drogę, obnażając groźnie miecze. Mężczyźni na jego czele cofnęli się znacznie.

– Posłuchajcie mnie – spróbował raz jeszcze Tamrok. Artem stanął u jego boku, okazując niejako swoje wsparcie. Nieśmiało dołączył do nich również i burmistrz, zapewne przez wzgląd na swoją przyjaźń z panem al’Morem. – Nie jestem jednym z was – co poniekąd w dole zaszemrali, obyło się jednak bez żadnych obelg. – Prawdę mówiąc przebywam w Srebrniku zaledwie od wczoraj. Niewiele wiem o świecie. Nie zdążyłem go jak do tej pory dobrze poznać. Lecz być może właśnie dzięki temu potrafię trzeźwiej na wszystko spojrzeć. Zgodnie z naturalnym, wrodzonym instynktem, jaki ma w sobie także każdy z was. Choć przykryty szczelnie sprzecznymi ze zdrowym rozsądkiem konwenansami, wciąż tli się gdzieś w środku, próbując cały czas przebić się do świadomości.

– Marnował się w tym lesie – mruknął Ervill, wciąż trzymając dłoń na rękojeści. Avaret skinął głową. Z prawdziwym podziwem słuchał słów Tamroka, tego przestraszonego, kudłatego stwora, którego spotkali ledwie parę dni temu.

Kim byłby, gdyby nie jego niesamowity wygląd? Jak wielką szansę odebrał mu ten przeklęty los?

Najemnik odwrócił na chwilę wzrok od przemawiającego przyjaciela i powiódł nim po twarzach zgromadzonych. Z radością stwierdził, że Tamrokowi udało się wzbudzić ciekawość u swoich słuchaczy, choć niejeden nie potrafił się jeszcze pożegnać ze srogą miną.

– Zanim moja noga stanęła na tej ziemi, zapewniano mnie, że w Kaermen nie spotka mnie żadna krzywda. Że mimo, iż dla wielu jestem dziwadłem, tutaj zostanę przyjęty zgoła inaczej, niż gdziekolwiek indziej. Zznałem właściwej waszemu ludowi życzliwości – to mówiąc zerknął na stojącego obok Artema oraz na patrzącą na niego z dołu Lenli – skłamałbym jednak,

gdybym powiedział, że płynęła ona z każdej strony.

– Zna język dyplomacji – skwitował nieco kąśliwie Ervill prowokując Avareta do zdawkowego uśmiechu.

– Potrafię jednak zrozumieć, czym jest to spowodowane. Ufność ofiarowana Gorlanom zawiodła was. Dlaczego mielibyście więc obdarzyć nią inne istoty?

Urwał na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu. Na placu panowała taka cisza, że Avaretowi niemal wydawało się, że słyszy świst powietrza napływającego do nozdrzy kudłacza. Było coś niezwykłego w tej chwili, zarówno dla Tamroka, jak i mieszkańców Srebrniska, choć być może ani jedna, ani druga strona nie zdawała sobie z tego sprawy.

– To jest wasza ziemia, waszych przodków i potomków, nie zaś Gorlan. Jeśli więc nie szanują waszych tradycji, swobody i obyczajów, należy dać im odpór. Być może wtedy powróci do tej krainy dawno zapomniana umiejętność odróżniania dobra od zła, jakże pożyteczna dla podobnych do mnie istot, których odmienność nie świadczy bynajmniej o wrogich zamiarach. Jeśli zdecydujecie się bronić waszego miasta, możecie liczyć na moje wsparcie.

O ile na placu do tej pory panowała cisza, tak teraz można było odnieść wrażenie, że nawet wiejący do tej pory lekki wietrzyk zatrzymał się, by pozwolić spokojnie wybrzmieć ostatnim słowom Tamroka. Dopiero gdy ten zdecydował się opuścić podest, rozległy się pierwsze odgłosy przyciszonych rozmów.

– To bardzo szlachetna deklaracja – zauważył Avaret, gdy Tamrok już do nich dołączył. – Raczej nie zasłużyli sobie na takie słowa.

Tamrok zanurzył swe spojrzenie w błękitnych oczach najemnika. Avaret poczuł coś na kształt wstydu, zupełnie jak złajany uczeń; wpatrzone weń brązowe źrenice kryły w sobie mądrość, o jaką nigdy nie posądzałyby kogoś, kto całe dotychczasowe życie spędził w odgradzeniu od wszystkiego i wszystkich. Zrozumiał bez słów, co chciał mu przekazać przyjaciel.

– Szlachetna i głupia – oświadczył Ervill, który najwyraźniej nie dostrzegł tego czegoś w oczach Tamroka. – Mam nadzieję, że to tylko taka gadanina ku pokrzepieniu serc, co? Trzeba nam jak najszybciej opuścić to miejsce, oczywiście ruszając w kierunku przeciwnym do tego, z którego nadchodzi

niebezpieczeństwo. Czas nagli! Nie możemy zwlekać ani chwili! To nie nasza walka, nic nam do tego.

Gromady mężczyzn i kobiet na dobre zdążyły już rozpędzić ciszę, jaka jeszcze przed chwilą zasnuwała rynek, prowadząc ożywione dyskusje. Ludzie przemieszczali się we wszystkie strony, pragnąc przekazać temu i owemu swoją opinię bądź jakąś decyzję. Avaret dostrzegł, że Omar i Deloran znowu kłócą się zaciekle z burmistrzem, Artem tymczasem zniknął gdzieś wśród tłumu. Jeden z przechodzących obok nich mężczyzn klepnął Tamroka przyjacielsko w ramię, co ten przyjął z lekkim wzdrygnięciem.

– Zdaje się – rzekła Lenli – że twoje przemówienie coś w nich złamało.

– To prawda – Artem wyrósł obok nich jak spod ziemi. Jego delikatnie wygięte kąciki ust znamionowały, że dostrzegł jakiś promyk nadziei. – Decyzja już zapadła; będziemy bronić naszego miasta. Chwycimy za broń, jaką kto ma i spróbujemy odeprzeć atak. Omar i Deloran próbują jeszcze nakłonić burmistrza do zmiany decyzji, jednak nie sądzę, by im się to udało. Znam Meldona, w rzeczywistości jest twardszy, niż mogłoby się wydawać. Przespacerowałem się wśród ludzi, zagadując po drodze kilkoro. Wierzę, że do walki stanie nas na tyle dużo, by móc ją wygrać.

Położył obie dłonie na ramionach Tamroka dziękując mu skinieniem głowy. Pełen uznania uśmiech zastąpił najbardziej wzniosłe słowa.

– Pozostaje nam życzyć mieszkańcom powodzenia – podjął znowu Ervill, gdy już pan al'Morem na powrót wmieszał się w tłum, by przeprowadzić kolejne rozmowy. – Przykro mi Lenli, ale Srebrnisko nie jest mi tak drogie, abym mógł za nie zginąć. Avarecie! Tamroku! W drogę!

Ruszył żwawo ku drzewu, do którego przywiązali konie.

– Ja zostaję – dobiegł go z tyłu głos Tamroka.

Stanął jak wryty i obejrzał się. Kudłacz stał nieruchomo, wzrok wbijając w ziemię wokół stóp. Ervill cofnął się o kilka kroków i zgiął w pół, by móc spojrzeć od spodu w oczy Tamroka.

– Czy ty się słyszysz? Przecież to szaleństwo! Czyste szaleństwo! Chcesz zginąć za ludzi, którzy jeszcze wczoraj obrzucali cię w najlepszym razie stertą wyzwisk, w najgorszym zaś kamieniami? Spełniłeś swoją rolę; być może twoja gadka natchnęła jakoś mieszkańców. To i tak więcej, niż im się z

twojej strony należało.

– Nie oczekuję, że dochowasz wierności swoim słowom – wtrąciła Lenli niespodziewanie wspierając Ervilla. – Nie jesteś nam nic winien.

– Widzisz? – elf rozłożył szeroko ręce. – Nie musisz tu zostawać. Uciekajmy czym prędzej, póki jest jeszcze na to czas.

Tamrok uniósł głowę. Wpatrywał się przez moment w drgające powieki Ervilla, po czym pokręcił nią przecząco.

– A niech ci będzie! – warknął zirytowany najemnik. – Chodź Avaret! Nic tu po nas!

– Ja również zostaję – odparł spokojnie Avaret. Decyzję podjął nagle, bez rozważań, na które nie było i tak czasu. Coś jednak podpowiedziało mu, jak należy postąpić, być może ten instykt, o którym mówił wcześniej Tamrok, ułatwiający kroczenie prawidłowymi ścieżkami.

Tym razem Ervill nie próbował perswadować mu swoich racji. Być może drugi cios był dlań zbyt mocny, a być może znał Avareta na tyle dobrze by wiedzieć, że nie odstąpi on od swojego postanowienia. Prychnął, z niedowierzaniem kręcąc głową, po czym splunął na ziemię i ukazawszy im swoje plecy, oddalił się w stronę swojego wierzchowca.

– Postarajcie się przeżyć – rzucił przez ramię, po czym zniknął im z oczu zasłonięty przez kłębiących się na placu ludzi.

* * *

Podczas gdy słońce leniwie wspinało się do góry, a białe obłoki z wolna przesuwały się po niebie, na dole sprawy zaczęły się toczyć w zawrotnym wręcz tempie.

Pierwszym poleceniem burmistrza było zgromadzenie w jednym miejscu wszelkiego nadającego się do walki oręża. Setki mężczyzn i kobiet ruszyły czym prędzej do swych domów, aby przetrząsnąć strychy i piwnice w poszukiwaniu broni, która od lat pełniła jedynie rolę zapomnianej pamiątki rodzinnej. Myśliwi dostarczyli łuków, kusz i włóczni, jednak nie w ilości pozwalającej wyposażyć choćby trzy drużyny po dwanaście osób w każdej. Po godzinie od zarządzenia zbiórki sterta zgromadzonego oręża przedstawiała się dość mizernie. Dostrzegłszy, że przyjdzie im cierpieć niedobory uzbrojenia, Meldon poszerzył zakres gromadzonego asortymentu

wojennego o widły i kosy.

Nie było czasu na zbudowanie porządnej palisady, jedyną ochronę stanowiły szczątki muru po północnej stronie miasta. Ponieważ to stamtąd spodziewano się ataku, Avaret podszeptał burmistrzowi, aby wzmocnić go prowizoryczną zaporą z wozów, skrzyń, lub czegokolwiek, co by się mogło do tego nadawać. Razem z Tamrokiem brali czynny udział przy wznoszeniu fortyfikacji.

Ervill miał rację. To szaleństwo.

Zerknął z ukosa na chłopca, który usiłował ułożyć niemalże większy od niego samego kufer na leżącej już na ziemi skrzyni. Malec zmagał się długo i dzielnie z ciężarem, głośno dysząc i stękając. W końcu zupełnie niespodzianie, gdy już wydawało się, że ugnie kolana pod zbyt dużym balastem, uporał się z zadaniem, wsuwając kufer na swoje miejsce. Wypuścił głośno powietrze, otrzepał ręce i zadowolony z siebie ruszył z powrotem po następny czekający na ułożenie element. Nie miał prawa zauważyć dyskretnie podtrzymującej kufer ręki Avareta.

– Dlaczego ze mną zostałeś?

Pytanie Tamroka dopadło go, gdy akurat siadał, opierając plecy o koło ustawionego dosłownie przed chwilą wozu. Zgiął prawą nogę w kolanie, oparł na nią rękę, po czym odchylił głowę tak, aby móc spojrzeć z dołu na uwijającego się przy wznoszeniu bariery przyjaciela.

– Sam zadaję sobie to pytanie.

– I?

Avaret zastanowił się przez chwilę. Odpowiedź była dość skomplikowana, jednak znał ją już wtedy, gdy podejmował decyzję.

– W pewien sposób zawstydziłeś mnie. Chcąc uratować twarz nie mogłem postąpić inaczej.

– Zawstydziłem? – Tamrok zmieszał się nieco. – Niczego takiego nie zamierzałem...

– Nie chodzi o to, że wystawiłeś mnie przed kimś na śmieszność. Widzisz, całe życie staram się kroczyć właściwymi ścieżkami, niezależnie od konsekwencji, jakie to niesie. To z pozoru dość naiwne, dla niektórych wręcz głupie, ja jednak wierzę, że ma większy sens. Honor i prawda biorą górę w

mojej hierarchii nad bezpieczeństwem i własnym interesem.

– Obawiam się, że nie rozumiem...

Najemnik parsknął śmiechem. Zdawał sobie sprawę, że jego tłumaczenie jest dla Tamroka dość pokrętnie, zdecydował się więc przejść do puenty.

– Nie powiem, że miałem ochotę brać udział w tej walce. Lecz ty postawiłeś mnie niejako pod ścianą; chcąc pozostać wierny swoim wartościom musiałem stanąć u boku człowieka, który mimo szykan, jakich doznał, ofiarowuje tym ludziom swą pomoc. Bo skoro on potrafił się na to zdobyć, to i ja musiałem. Kaermeńczycy nie są idealni, mimo wszystko jednak to im należy się wsparcie. Moja obojętność dawałaby złu większe szanse na triumf.

– Ervill nie podziela twojego zdania.

Najemnik przeniósł spojrzenie na zachód, milknąc na krótką chwilę. Był jedną z niewielu osób, którym udało się poznać nie tylko powierzchowną, ale i tą szczególnie ukrytą naturę elfa.

– Z pozoru – rzekł w końcu. – Tylko z pozoru.

* * *

Ervillowi mina stężała, ledwie tylko odwrócił się plecami do Avareta i reszty i ruszył przed siebie. Teraz, po ujechaniu jakiejś pół staj, był już właściwie pewien, że źle postąpił zostawiając przyjaciół.

Tak naprawdę wiedział to od samego początku.

Ty głupi elfie! Kiedy ty w końcu dorośniesz? Znowu pozwoliłeś, żeby gniew przysłonił ci rozum!

Od gniewu gorsza była duma. Ten pierwszy minął właściwie jeszcze zanim zdążył odwiązać konia od drzewa, ta druga dopiero powoli zaczynała go opuszczać. Duma, jaką mógł się unieść tylko największy głupiec.

Nie to, że nie miał racji. Obrona Srebrniska była pomysłem szalonym dla kogoś, kto właściwie pierwszy raz w nim gościł. Rozumiał rzecz jasna mieszkańców; dla nich to miasto znaczyło przecież o wiele więcej niż dla kogokolwiek z zewnątrz. Był świadom, że jego wyrachowanie miało racjonalne uzasadnienie.

Wiedział jednak również, że żaden z jego przyjaciół nie zachowałby się

tak, jak on to zrobił. Z tego też powodu duma ustępowała powoli miejsca wstydomi.

Ścisnął mocniej boki konia, zmuszając go do żwawszej wspinaczki w górę niezbyt wysokiego wzniesienia. Decyzja o powrocie została już powzięta, należało jednak starannie ukryć jej prawdziwy motyw. To, że przyznał się do błędu przed samym sobą nie oznaczało, że równie dobrze może okazać skruchę w obecności Avareta.

Martwisz się o swoją godność? Ty, król głupców? A to dopiero pyszny żart...

Znalazłszy się na szczycie wzniesienia, zatrzymał konia. Wbił spojrzenie brązowych oczu w równinę, jaka znajdowała się po jego drugiej stronie, po czym, mając już w głowie świetne wytłumaczenie, zawrócił wierzchowca i ruszył z powrotem w stronę miasta.

Z zachodu, w którego kierunku zmierzał, maszerowała jakaś setka uzbrojonych Gorlan.

* * *

Wsparty o sięgającą mu klatki piersiowej skrzynię, Avaret starał się oszacować wzrokiem liczbę Gorlan, którzy wstrzymali swój marsz w odległości mniej więcej tysiąca kroków od barykady. Bariera była bez ustanku poszerzana i uszczelniana; dziesiątki chłopców, dziewczyn i dorosłych kobiet umacniały ją, nie ustając w wysiłkach. Nie towarzyszyli im mężczyźni; ci z kolei, wyposażeni w broń często mającą zgoła inne przeznaczenie, niż walka zbrojna, oczekiwali w skupieniu na to, co wydawało się nieuniknione.

Cztery setki jak nic. Młodych, krzepkich i okrutnych.

Najemnik obejrzał się przez ramię, omiatając wzrokiem najbliższe budynki, na których czaili się leżący płasko na dachu łucznicy. Było ich może czterdziestu, Avaret liczył jednak, że okażą się kluczowi w nadchodzącej batalii. Cała taktyka, którą ledwie przed kwadransiem omówił wraz z burmistrzem, Artemem i kilkoma bardziej znaczącymi osobistościami, opierała się właśnie na nich. Rozmieszczone na obu krańcach barykady oddziały uzbrojone w miecze, topory, widły i kosy miały skutecznie zniechęcić Gorlan do okrążenia miasta i zaatakowania od nieosłoniętej strony. Plan skupiał się na zmuszeniu ich do próby sforsowania

prowizorycznego muru w trakcie której ich szeregi miały zostać przetrzebione przez nadlatujące z góry strzały. Najważniejsze było, aby stworzyć pozory, że sama barykada obsadzona jest w mniejszym stopniu, niż jej obie flanki. W tym celu właśnie łucznicy leżeli teraz na brzuchu, ściśle przywierając do dachów, a setka wspartych na mieczach, bądź widłach mężczyzn kryła się pod nimi. Ci drudzy mieli uderzyć z zaskoczenia, gdyby Gorlanie pokonali bronioną przez pikinierów zaporę. Plan nie był taki trudny do rozszyfrowania, Avaret liczył jednak, że horda ogarniętych rządzą mordu Gorlan nie opiera swych działań na żadnej wyrafinowanej strategii.

Niespodziewanie tętent kopyt oderwał go od rozgrywki, jaką toczył w myślach. Dostrzegł jeźdźca, który jak z procy wystrzelił z wyrwy w barykadzie i pognął ku armii napastników. Avaret otworzył szerzej oczy, gdy wtem jakaś ręka opadła na jego ramię. Odwrócił się raptownie. Do dyszącego głośno Artema dołączyli po chwili Meldon i dwaj inni, nieznani Avaretowi mężczyźni. Zgięli się wpół, wspierając dłonie na kolanach i usiłując złapać oddech.

– On... Oszalał...! – wycharczał Artem.

– Kto to był?

– To Omar Teyn – odpowiedział burmistrz. – Próbowaliśmy... Próbowaliśmy go powstrzymać, ale uparł się...

– Umyślił sobie wprowadzić w czyny swoje poranne słowa – wyjaśnił Artem. Wyprostował się z trudem, biorąc jeszcze kilka głębokich wdechów, zanim podjął na nowo. – Wydaje mu się, że zdoła udaremnić walkę, wchodząc w dialog z Gorlanami. Żadną siłą nie mogliśmy go powstrzymać. Wskoczył na koń i pognął do nich, my zaś za nim pieszo, ale nie zważał na nasze pokrzykiwania.

Avaret oparł na powrót ręce o skrzynię, przyglądając się, jak Omar zbliża się do pierwszego szeregu napastników. Kilku stojących w nim mężczyzn rozstąpiło się, za ich przykładem poszedł następny szereg, a także kilka kolejnych. Uznając to za zaproszenie, Omar zsiadł z konia i wmieszał się pomiędzy Gorlan, ginąc najemnikowi z oczu.

– Przywitali go jak swojego... – stwierdził zaskoczony Meldon. Oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki, a kącik ust lekko drgnął; być może zaczął podświadomie liczyć, że uda się polubownie załatwić całą sprawę.

– Wątpię – stwierdził gorzko Avaret.

Niemal równo z tym, jak wygłosił swoją uwagę, w szeregach Gorlan na nowo utworzyła się luka. Jak trzaśnięty biczem, wystrzelił z niej wierzchowiec Omara, niosąc jego samego na swoim grzbiecie. Nim zbliżył się na odległość trzystu stóp, z czterech gardeł wydostały się zduszone okrzyki. Jedyne Avaret w milczeniu śledził posępnym wzrokiem powrót samozwańczego dyplomaty.

Z jego pleców sterczała sztywno długa na jakieś sześć stóp włócznia. Drogocenny kaftan barwił się coraz silniejszą czerwienią krwi wypływającej z poderżniętego gardła.

Najemnik miał niejasne przeczucie, że jest właśnie świadkiem feralnego końca idei koegzystencji Kaermeńczyków i Gorlan.

Nawet gdyby chciał, to nie zdążyłby podzielić się z towarzyszami tą myślą. Szeregi napastników poruszyły się gwałtownie, zmniejszając w szybkim tempie dzielący je od miasta dystans.

– Wszyscy na miejsca! – warknął Avaret, przywołując do porządku rozproszonych po okolicy pikinierów.

Oczy błysnęły mu złowrogo, zapowiadając nadchodzący spektakl.

* * *

Zachęconym dotychczasowymi sukcesami Gorlanom nie przyszło do głowy zaatakować w jakiś bardziej wyrafinowany sposób. Cała ich siła leżała w agresji i gwałtowności. Ruszyli prosto na barykadę, prześcigając się między sobą i wznosząc wojownicze okrzyki. Avaret przyglądał się tej szarzy, uważnie wypatrując odpowiedniego momentu na danie sygnału łucznikom. Kątem oka dostrzegł Tamroka, który uporawszy się z odprowadzeniem Lenli oraz kilku innych kobiet i dzieci do względnie bezpiecznej kryjówki, dołączył do obrony rubieży miasta.

– Teraz!

Grad strzał zasypał obie flanki atakujących, zmuszając ich do zbicia się w bardziej zwartą kupę. Niedostateczna liczba pikinierów wymuszała taki manewr; dzięki niemu Gorlanie mieli próbować przeprawić się przez zapórę na stosunkowo krótkim, dobrze obsadzonym odcinku.

Niespodziewany atak z góry spowolnił na moment ich szarzę, która jednak

przybrała jeszcze bardziej na gwałtowności po krótkiej chwili dezorientacji. Najemnik zdążył dać jeszcze dwa sygnały łucznikom, nim Gorlanie dobili do skleconego naprędcie muru. Wtedy to z ziemi poderwali się pikinierzy, zaskakując napastników po raz drugi. Wielu pchanych impetem Gorlan, nawet nie zauważyło grotów, jakie naraz przed nimi wyrosły. Ich ciała usłały ziemię w pobliżu muru.

Było jednak oczywiste, że barykada w końcu padnie. Piętrzące się pod nią stosy trupów odegrały rolę stopni ułatwiających wspinaczkę. Gdy już pierwsi Gorlanie przedostali się na drugą stronę, zostali zaskoczeni po raz trzeci. Z okolicznych budynków wyskoczyli wszyscy kryjący się w nich Kaermeńczycy, mieszając swoje okrzyki z okrzykami atakujących. Wyrznęli pierwszą grupę, której udało się pokonać zaporę, jednak zaraz zastąpiły ją trzy kolejne. Minął czas taktycznych sztuczek, zaczęła się krwawa rzeź.

Avaret od razu skoczył w wir walki. Nie musiał specjalnie zastanawiać się nad kolejnymi pchnięciami, z każdej bowiem strony otoczony był przez wroga. Starał się, aby troska o bijącego się nieopodal Tamroka nie rozpraszała go zanadto, mimo to nie mógł się powstrzymać przed rzucaniem urywanych spojrzeń w jego stronę. Poczuł pewną ulgę zauważając, że przyjaciel całkiem sprawnie posługuje się toporem, posyłając na ziemię kolejnych Gorlan.

Pierwszy szal bitewny nieco opadł, dając obu stronom czas na uporządkowanie swoich szeregów. Avaret wycofał się kawałek. Ciężko było stwierdzić, na ile szeregi wroga się przerzedziły, kolejni Gorlanie wciąż przeskakiwali barykadę dołączając do tych, którym już się to udało. Obrońców wzmocniły oddziały zabezpieczające miasto od wschodu i zachodu, dając im swego rodzaju drugi oddech.

– Musimy bronić pozycji łuczników jak długo się da – rzucił w stronę Tamroka. Nadlatujące strzały znów zasiały trochę popłochu wśród Gorlan.

Rozwścieczeni napotkanym oporem agresorzy wznieśli jeszcze głośniejszy niż do tej pory okrzyk, sławiący imię ich okrutnego boga. Runęli do ataku, spychając Kaermeńczyków dalej w stronę miasta. Avareta obległo trzech przeciwników, zapewne dostrzegając w nim jednego z dowódców obrony. Najemnik krótkim cięciem rozplątał pierwszemu z nich gardło, lecz potknął się, pod równoczesnym naporem dwóch pozostałych. Na mgnienie

oka strach ścisnął mu serce.

Naraz krwawa plama wykwitła na samym środku klatki piersiowej jednego ze stojących nad nim Gorlan. Mężczyzna osunął się na kolana, oddając ostatnie tchnienie. Drugi nie miał zbyt dużo czasu na wyrażenie zaskoczenia, gdyż jakaś postać doskoczyła do niego nim w ogóle zdążył pojąć, co się dzieje. Mgnienie oka później ostrze przeszło brzuch nieszczęśnika.

Zamroczony Avaret nie od razu dostrzegł twarz swego wybawiciela. Potarł pięściami oczy, by móc przyjrzeć się tajemniczej postaci.

Jedno z mocno spiczastych uszu krwawiło, ich właściciel zdawał się jednak nie zwracać na to uwagi. Schylił się, aby wydobyć sztylet z piersi pierwszej ofiary, dopiero potem wyciągając rękę do wciąż leżącego na ziemi Avareta.

– Jednak wróciłeś.

Ervill zaśmiał się tak, jak mógł to zrobić tylko on w czasie trwającej krwawej bitwy.

– Sam widzisz, że nawet na chwilę nie można cię samego zostawić. Poza tym mam niestety złą wiadomość: ze wschodu nadciąga jeszcze jakaś setka Gorlan.

Avaret zaklął głośno. Atak z drugiej strony drastycznie obniżał ich szanse.

– Powiadomiłeś o tym kogoś oprócz mnie?

– Po drodze spotkałem Artema – odparł elf, jednocześnie rozpruwając brzuch wrogowi, który znalazł się w zasięgu jego miecza. – Będzie się starał zorganizować obronę w tamtym rejonie, ale...

– Ale nie ma już ani mężczyzn zdolnych do walki, ani mieczy, które można włożyć im w dłoń – dokończył gorzkim tonem Avaret. Odkoczył, unikając nadciągającego ataku, po czym wbił ostrze w bok napastnika. – Jasna cholera!

Wzmógł napór wroga zepchnął obrońców jeszcze bardziej w tył, przecinając ich zwartą do tej pory linię. Z jednego z dachów, na których stali łucznicy, wzbil się do góry dym. Najemnik dostrzegł, że ich liczba drastycznie się zmniejszyła; nie dość, że nie mieli na dole należytej osłony, to jeszcze byli atakowani nadlatującymi z tyłów strzałami Gorlan.

– Musimy się wycofać! – warknął Ervill, spluwając na ziemię mieszaniną śliny i krwi. – Jest jakieś miejsce, które się do tego nadaje?

Avaret skinął głową, w ostatniej chwili unikając nadlatującego z góry ostrza. Ciął napastnika na odlew, rozpruwając mu pierś. Wyłowił spośród płataniny kończyn i oręza postać Tamroka i przywołał go czym prędzej do siebie.

– Odwrót! – krzyknął do wszystkich walczących pod jego komendą. – Odwrót!

Poczęstował jednego ze stojących najbliżej Gorlan sztyletem dobytym z za pasa. Kilku Kaermeńczyków minęło go w biegu, stosując się czym prędzej do wydanego rozkazu. Miał nadzieję, że wraz z Ervillem, Tamrokiem oraz grupką biegłej posługujących się mieczem mężczyzn zdołają umożliwić umkniecie z pola walki jak największej rzeszy walczących.

– Gdzie się schronimy? – spytał Ervill, bacznie wyglądając nadciągających ataków. – Co ustaliliście z burmistrzem?

Avaret z furią rzucił się na dwóch tarasujących przejście pomiędzy budynkami Gorlan, siekąc na prawo i lewo. Nie byli w stanie się przed nim obronić.

– Świątynia Boga o Trzech Twarzach – wyjaśnił ocierając pot i krew z czoła. Kolejna grupa obrońców umknęła wyrąbaną przez niego ścieżką. – Kaermeńczycy czczą go od wieków, a sama świątynia podobno w przeszłości już nie jeden raz pełniła funkcję warowni. Otoczona jest murem, obecnie niestety znacznie już zniszczonym. To nasza ostatnia szansa.

Czy na pewno? Widzisz jeszcze w ogóle jakąś nadzieję?

Błysk w oczach Ervilla kazał mu podejrzewać, że przyjaciel odczytał jego wątpliwości. Elf uśmiechnął się krzywo, przeszywając mieczem powietrze ponad ramieniem zwróconego twarzą do niego Tamroka. Ciemnowłosa mężczyzna za plecami kudłacza złapał się za przeszyte gardło, po czym upadł okropnie charcząc.

– Nie martw się Avarecie. Z nie takich opresji udawało nam się wyjść cało. Tymczasem lepiej sami uciekajmy. Nie ma już za bardzo kogo osłaniać.

Ervill istotnie miał rację; omiatając spojrzeniem najbliższą okolicę Avaret dostrzegł, że ostatni żywi Kaermeńczycy wciskają się w zaułki pomiędzy

budynkami, w pośpiechu opuszczając pole walki. Słupy dymu zdążyły się rozmnożyć; praktycznie cały skraj miasta ogarnięty był już płomieniami.

Najemnik ani myślał dalej się temu przyglądać; zerwał się do biegu, przypadkowo uderzając barkiem Tamroka. Cała trójka pomknęła w kierunku świątyni, goniona szaleńczymi okrzykami Gorlan.

Niemal zderzyli się z Artemem, gdy już wpadli na rynek. Pan al'Morem wspólnie z Meldonem poganił tych, którzy jeszcze tam byli, w kierunku świątyni leżącej za południowo-wschodnim narożnikiem placu. Obaj byli lekko ranni i potwornie zmęczeni, mimo to nie ustawiali w swoich wysiłkach.

– Nasza obrona padła – zameldował Avaret usiłując jednocześnie złapać oddech. Płuca paliły go jak rozgrzane węgle. – Gorlanie zaraz tu będą.

– Niedobrze, niedobrze! – Artem pokręcił energicznie głową. – Ci z zachodu już dostali się do miasta, nie byliśmy w stanie ich powstrzymać... Skrajne domostwa już płoną, a to dopiero początek...

Pierwsi nadciągający z zachodu Gorlanie wdarli się na rynek, wzmagając tym samym grozę, jaka wisiała w słowach pana al'Morem. Zwarli się na chwilę z kilkoma uzbrojonymi w drewniane pałki Kaermeńczykami, jednak posiłki, jakie zaraz za nimi nadciągnęły, szybko przechyliły szalę na ich korzyść. Obrońcy padli martwi, otwierając drogę fali agresorów.

– Szybciej! – wrzał Meldon, poganiając swoich ludzi. – Szybciej, nie ma już czasu!

Avaret już miał dołączyć do ostatniej grupy opuszczającej plac, gdy wtem dostrzegł jakąś młodą dziewczynę, pomagającą rannemu mężczyźnie wyjść z jednego z budynków. Widok ten sprawił, że momentalnie zaschło mu w ustach.

– Co ona tu jeszcze, do cholery, robi?! – warknął w kierunku Artema.

– Lenli... – szepnął blady jak ściana pan al'Morem. Nogi mało się pod nim nie ugięły, gdy uświadomił sobie, że jego córka znajduje się najbliżej zagrożenia z nich wszystkich.

Avaret ruszył żwawo w stronę Lenli, nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo. Za plecami usłyszał, jak podeszwy butów jego przyjaciół uderzają o bruk niemal dokładnie w takt jego długich susów. Odgłos zniknął jednak nagle, zastąpiony dźwiękiem szczękającego oręza. Gorlanie jak

szarańcza rozlali się już po całym rynku, odgradzając go od towarzyszy.

– Lenli! – krzyknął będąc już ledwie kilka kroków od niej.

Dziewczyna poderwała głowę na dźwięk swojego imienia. Przez ułamek sekundy jej wzrok spoczął na sylwetce nadbiegającego Avareta. Krótka chwila, w której najemnikowi wydawało się, że czas się zatrzymał, pozwoliła mu przedostać się poprzez ich skrzyżowane spojrzenia daleko w głąb duszy dziewczyny. W jej wnętrzu, niczym w kalejdoskopie, przeplatały się ze sobą feerie emocji i uczuć. Ostatnie z nich pochwyił już w drodze powrotnej, gdy w jej rozszerzonych oczach zarysowała się sylwetka nacierającego Gorlanina.

Avaret runął na napastnika dosłownie w ostatniej chwili, gdy ten już niemal zamierzał się na bezbronną dwójkę. Najemnik odtrącił go barkiem z taką mocą, że aż chrupnęło mu w kościach. Wykorzystując przewagę, jaką zdobył już na samym początku, ciął bez litości, rozpruwając przeciwnikowi brzuch.

Naraz ból w barku, którym przed chwilą zaatakował, wzmógł się nienaturalnie mocno. Lenli wrzasnęła, omal nie wypuszczając z rąk ранego mężczyzny. Avaret obejrzał się przez ramię. Z jego łopatk sterczała strzała.

– Do środka! – krzyknął wskazując Lenli budynek, który starała się opuścić. Paraliżująca niemoc nie pozwoliła mu całkiem wyprostować ręki. – Liczmy, że w tej całej zawierusze nas nie dostrzegli!

Wspólnie zdołali jakoś przenieść coraz bardziej osuwające się ciało ранego do wnętrza kamienicy. Usadzili mężczyznę na ziemi, opierając jego plecy o ścianę. Avaret dopiero teraz dostrzegł paskudną ranę, biegnącą od rozerwanego ucha aż do szyi.

– On nie żyje – stwierdził beznamiętnym tonem. Nie potrafił wykrzesać z siebie choć odrobiny wrażliwości. – Złam strzałę, jeśli możesz.

Lenli stanęła za nim, po czym bez żadnego ostrzeżenia zrobiła to, o co ją poprosił. Poczuł na sobie drżenie jej palców. Zwalczył chwilowy atak bólu próbując rozerwać mu ciało, po czym osunął się na ziemię i oparł o ścianę. Na zewnątrz zrobiło się jakby spokojniej; zapewne wszyscy mieszkańcy zdołali już umknąć do świątyni.

– Tchórzliwe kundle! – rozległ się naraz gdzieś w okolicy placu donośny, charczący głos. – Mówi do was Madrel, kapłan Mazuba. Poddajcie się! Nasz

zryw ogarnął cały wasz żałosny kraik! Wszędzie, na wschodzie i zachodzie, północy i południu, płoną wsie i miasta. Obejmiemy we władanie wszystkie wasze ziemie, lecz od was zależy, co z wami uczynimy. Wyrzeknijcie się swego fałszywego boga i opuśćcie jego świątynię, a okazemy wam łaskę, czyniąc naszymi sługami, miast wyrznać, jak się wyżyna prosięta! Oddajcie pokłon Mazubowi, a ocalicie swe nic niewarte istnienia!

– Nie wierzyłbym mu – rzekł cicho Avaret. Krew – jego własna oraz wrogów, których pomordował – zakrzepła mu na twarzy i ubraniu, czyniąc jego wygląd iście makabrycznym. – Przepraszam, że tak to się kończy.

Lenli drgnęła, rozplatając założone ręce.

– Za co mnie przepraszasz?

– Za to, że popchnęliśmy was do tej walki. To nie miało prawa się udać.

Dziewczyna prychnęła głośno, gromiąc Avareta swym spojrzeniem.

– Nie śmiej przepraszać mnie za podobne rzeczy. Mogę mieć pretensje jedynie o to, że nie zjawiliście się wcześniej, choć to oczywiście nie miałyby sensu. Być może dzisiaj wszyscy zginiemy. I co z tego? To i tak by nastąpiło. Lepiej, że śmierć przyjdzie nagle, niż gdyby nasza agonია miała się ciągnąć latami. Mamy okazję napisać krwawą kartę w dziejach historii, która w przyszłości może stać się przestrogą dla podobnych nam głupców. Rozwleczenie tego w czasie nie pozostawiłoby żadnego echa.

Niespodziewanie cała duma i zawziętość uleciały z Lenli, a gwałtowny szloch wstrząsnął całym jej ciałem. Zasłoniła usta dłonią, lecz nie pomogło to powstrzymać fali żalu, która zalała ją od stóp do głów. Strugi łez popłynęły wartkim nurtem, lądując na ubraniu bądź na ziemi. Poruszony tym widokiem Avaret wyciągnął rękę w stronę dziewczyny, która chętnie skorzystała z ofiarowanej pomocy. Przysiadła obok najemnika, wtulając głowę w jego pokrytą brudem, krwią, a teraz już także jej łzami pierś. Jego palce wsunęły się pomiędzy jej gęste, kasztanowe włosy, on sam zaś poddał się w końcu zmęczeniu, którego nie sposób było dłużej powstrzymać.

Tak oto, bez zbędnych słów, postanowili zaczekać na mający nieuchronnie nadejść koniec.

* * *

Dźwięk rogu rozszedł się po najskrytszych zakamarkach Srebrniska,

budzając Avareta z płytkiego snu, w jaki zapadł. Nim na dobre oprzytomniał, zdążył jeszcze rozpoznać odgłos kopyt uderzających o bruk, a także głośne okrzyki, które brzmiały jakby inaczej od tych wznoszonych przez Gorlan.

– Co to? – spytała Lenli. Musiała również się zdrzemnąć, gdyż z wyraźnym trudem uniosła ospałą głowę.

Najemnik dźwignął się, tłumiąc w ustach przekleństwo. Ból w plecach wzmógł się; Avaret starał się nie zwracać na niego uwagi. Podszedł powoli do dziury ziejącej w miejscu, w którym wcześniej znajdowały się drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Z zasnuwających ulice i budynki kłębow dymu wyłonił się najpierw sztandar przedstawiający godło Kaermen, a następnie oddział jazdy konnej, który z krwiożerczym wręcz impetem wbił się pomiędzy zebranych na placu Gorlan. Odziani w kolczugi jeźdźcy bez zbędnych ceregieli przystąpili do wyrzynania wroga.

– To wojsko królewskie... – oznajmiła z niedowierzaniem Lenli, stając u boku Avareta. – Przybyli nam z odsieczą!

Tuż za jeźdźcami pojawiła się piechota, dopadając tych, którzy usiłowali umknąć przed spadającym z góry mieczem. Dźwięk nieustannie grającego rogu mieszał się z wrzaskami ginących bądź starających się pierzchnąć Gorlan oraz wściekłym rykiem królewskich żołnierzy.

Naraz chaos wśród szeregów wroga wzmógł się jeszcze bardziej. Grymas przerażenia wykrzywił twarze napastników, gdy ze świątyni wypadli nagle wszyscy kryjący się w niej mężczyźni, odcinając wrogowi kolejne drogi ucieczki. Avaret nie zamierzał przyglądać się z boku tej ofensywie. Poślawszy Lenli złowieszczy uśmiech, ruszył czym prędzej w wir walki, starając się zapomnieć o nękającym go bólu.

– Kaermen!

– Śmierć Mazubowi!

– Śmierć Gorlanom!

Wypatrzył wśród walczących Ervilla i Tamroka i dołączył do nich. Zauważył, że nie tylko on poważnie ucierpiał: lewe ramię Ervilla zdobyła długa od barku niemal do samego łokcia, widoczna spod rozerwanego kaftana rana. Prawe oko elfa było tak opuchnięte, że z całą pewnością nie

mógł nic na nie widzieć. Mimo tych obrażeń zaryzykował walkę, wzbudzając tym jego szczery podziw. Co do Tamroka, to nie dało się zaobserwować u niego poważniejszych obrażeń, co nie znaczyło, że jakieś nie kryły się pod gęstym futrem.

– Wygląda na to, że nam się upiecze! – rzucił z radością elf. Avaret nie zdołał mu odpowiedzieć, gdyż ten dopadł grupy trzech zdezorientowanych Gorlan, znikając wśród kłębow niesionego wiatrem dymu. Najemnik przysiągłby, że chwilę później szara chmura w tym miejscu zabarwiła się na czerwono.

– Wszystko w porządku? – zwrócił się do Tamroka. Towarzysz skinął ramię głową, po czym sam wmieszał się pośród walczących.

Avaret rozejrzał się. Krajobraz wokół jakby się przerzedził; większość Gorlan albo nie żyła, albo opuszczała pospiesznie plac, ścigana przez zdeterminowanych Kaermeńczyków. Wiatr z zachodu dął coraz mocniej, nie tylko przynosząc dym, ale również pomagając rozprzestrzeniać się pożarowi. Dostrzegł, że znaczna część ludności skupiła się na gaszeniu żywiołu, pozostawiając rozprawienie się z wrogiem reszcie. Zerkając w jedną z bocznych uliczek zauważył sznurek biegnących z wiadrami osób, kierujących się w stronę pożaru.

– Prawdziwy cud! Któż mógłby przypuszczać, że zjawi się pomoc?

– Nikt – odparł Avaret, oglądając się w stronę wyrosłego jak spod ziemi Artema. Ojciec Lenli wydawał się cały i zdrowy, nie licząc draśniętego policzka. – Choć przypuszczam, że żołnierze dokładnie wiedzieli, gdzie się kierować.

– Masz rację. Jak się już zdążyłem dowiedzieć, walki rozgorzały w większej części kraju. Król zareagował jednak bardzo szybko i skutecznie; rozprawił się z wrogiem na zachodzie, po czym – zdając sobie doskonale sprawę z zamiarów Gorlan – wysłał posiłki do miejsc, które miały być ich następnymi celami. Uprzedził tym samym ich plany zdobycia bardziej strategicznych punktów.

Avaret skinął ze zrozumieniem głową. Pomachał mieczem dla rozgrzania nadgarstków, po czym ruszył ku ostatnim niedobitkom Gorlan. Na chwilę zapomniał całkiem o bólu w plecach. Emocje związane z walką okazały się najskuteczniejszym remedium na tę przykrą dokuczliwość. Zablokował

cięcie, które opadło na niego zniecka, wolną dłonią uderzając przeciwnika w twarz. Wykorzystując moment, gdy ten zachwiał się na nogach, wbił miecz prosto w jego brzuch. Obnażył zęby przyglądając się, jak z młodej twarzy ulatują ostatnie resztki życia.

Brzęk skrzyżowanego tuż nad jego uchem oręza sprawił, że nagły dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. Odwrócił się gwałtownie, unosząc jednocześnie miecz na wysokość klatki piersiowej. Tuż przed nim Ervill mocował się z silnej budowy Gorlaninem. Drżące ramiona elfa ścisnęły ostrze, które w ostatniej chwili uchroniło Avareta przed niechybną śmiercią. Napór przeciwnika oraz częściowa niesprawność lewej ręki sprawiały, że z każdą sekundą to życie Ervilla znajdowało się coraz bliżej śmiertelnego zagrożenia.

Avaret bez chwili wahania zerwał się do pomocy przyjacielowi. Już sama gwałtowność tego ruchu zdołała wytrącić Gorlanina z równowagi. Ervill wykorzystał nadarżającą się okazję odrywając swój oręż i błyskawicznym ruchem rozcinając przeciwnikowi brzuch.

– Nie ma za co – rzekł zwracając się ku Avaretowi. Niemrawy, zakrwawiony uśmiech, spuchnięte oko i poszarpane, czarne włosy sprawiały, że jego twarz prezentowała się doprawdy paskudnie.

– Chciałem się zrewanżować. Właściwie to mi się to udało: gdyby nie ja, nie zyskałbyś takiej okazji, by go rozplątać.

– Dobre sobie – parsknął Ervill. – Jesteś moim dłużnikiem, nie wymiguj się od tego.

– Chyba prędko nie uda mi się spłacić tego długu – odparł Avaret, rozglądając się po placu.

Smugi rzednącego dymu owijały stosy trupów i połamanego oręza. Większość konnych ruszyła w pościg za uciekinierami, kilku jednak zostało, aby pomóc rannym. Rzesza ludzi opuściła świątynię, aby czym prędzej przystąpić do gaszenia płonących budynków.

– Wygląda na to, że jest już po wszystkim – potaknął Ervill. – Postarajmy się znaleźć Tamroka. Straciłem go z oczu w ferworze walki. Choć z tego, co widziałem, nie ma potrzeby się o niego martwić. Usiekł tych łotrów chyba więcej ode mnie!

Oslaniając dłońmi usta wykrzyczał imię przyjaciela, równocześnie usiłując odnaleźć go wzrokiem wśród setek wybiegających ze świątyni i przecinających rynek osób. Avaret szybko wsparł jego starania, rozglądając się żwawo na boki.

W miarę, jak posuwali się naprzód, w najemniku rosła nerwowość. Złapał się na tym, że mimowolnie zaczyna baczniej przyglądać się stosom trupów i rannych. Skarcił w myślach swój pesymizm, odwracając wzrok na powrót ku żyjącym. W ostatniej chwili złowił jednak kątem oka coś, przez co serce na moment mu stanęło.

– Tamrok!

Kudłacz leżał na splamionym krwią bruku z nogami przygniecionymi przez martwego wroga. Z jego piersi sterczała włócznia.

Avaret dopadł do niego jednym, długim susem. Instynktownie złapał prawą ręką za drzewiec, lewą wsadzając pod głowę przyjaciela.

– Tamrok! – krzyknął Ervill, spostrzegając, co przykuło uwagę drugiego z najemników. Równie szybko, ja ten uprzednio, dołączył do leżącego na ziemi towarzysza.

– Zostaw... – wykrztusił z siebie Tamrok. Krew wypłynęła mu z ust, barwiąc futro na brodzie. Avaret zamrugał wzbierającymi łzami oczyma; wydało mu się, że gdzieniegdzie spod gęstej otuliny zaczyna przezierać naga skóra. – Zostaw – powtórzył Tamrok bardziej zdecydowanie, kładąc gładką dłoń na prawicy Avareta.

– Zawiedliśmy cię – rzekł Ervill przyklękając. Zdjął z czoła poszarpaną opaskę i cisnął nią ze złością gdzieś przed siebie. – Mieliśmy pokazać ci świat, do kurwy nędzy! Tylko pokazać ci świat!

Za ich plecami ludzie poczęli przystawać. Najpierw pojedynczo, później coraz liczniej. Postronnego obserwatora mogłaby zdziwić ich ciekawość, wszak dookoła rozgrywało się co najmniej kilka podobnych scen. Jednak ten konający mężczyzna był inny. Był dziwolągiem, który mimo odrzucenia, z jakim spotkał się w Srebrniku, zdecydował się bronić jego mieszkańców.

A co więcej teraz, w chwili śmierci, stawał się coraz bardziej podobny do nich samych. Gęstwina pokrywająca całe jego ciało rzedła, odsłaniając smukłą twarz, gładką szyję oraz szczupłe dłonie.

– A więc to był czar – szepnęła ojcu do ucha Lenli. Wtuliła się w jego ramię, aby kolejny raz tego dnia znaleźć miękki grunt dla swoich łez. – Niezwykły czar, pod którym krył się zwykły człowiek.

Panu al'Morem z trudem przychodziło patrzenie na śmierć człowieka poznanego ledwie dzień wcześniej. Miał tylko nadzieję, że wstyd i żal, jaki on sam czuje, dzielają wszyscy otaczający go mieszkańcy.

– Nie zawiedliście mnie – rzekł gładkolicy mężczyzna, którego głowę podtrzymywał Avaret. W jego głosie nie było śladu pretensji.

Umarł z lekkim uśmiechem rozjaśniającym przystojną twarz.

Marcin Pindel

– nowotarżanin, absolwent II Liceum Ogólnokształcącego im. św. Jadwigi Królowej w Nowym Targu. Z wykształcenia inżynier, studiował Inżynierię materiałową na Politechnice Krakowskiej i Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Choć z przyjemnością zagłębia się w różne gatunki literatury, w największym stopniu jego wyobraźnię kształtowali mistrzowie fantasy, jak Tolkien, Sapkowski, Martin czy Jordan.

Miłośnik kinematografii i historii oraz wierny kibic Juventusowi. Aby oderwać się czasem od kanapy i fotela, z chęcią wyrusza w górskie wędrówki, bądź przemierza świat na dwóch kółkach (na rowerze, nie motocyklu).

Pisanie stało się dla niego najlepszym sposobem gospodarowania zasobami wyobraźni.

Spis treści

[Bez przebaczenia](#)

[W księżycową straszną noc](#)

[Synowie wojny](#)

[Kwestia skutków](#)

[Marcin Pindel](#)